MITY O TEMPLARIUSZACH
Zniszczeni przez bogactwo i plotki o dziwnych rytuałach

CZARNY SAMURAJ
Ostatnia misja olbrzymiego Yasuke przeszła do historii

NIEZNANE LUDOBÓJSTWO
Na przełomie XX i XXI w. w Kongu wymordowano ok. 6 mln ludzi

NR 8(127)/2023 SIERPIEŃ 2023

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

W obronie prawdy o średniowieczu

TRIUMF EUROPY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031

Codzienne pasmo z najnowszymi informacjami z Polski i ze świata.
Komentarze, dyskusje i rozmowy na tematy społeczno-polityczne.
Najlepsi eksperci, politycy, dociekliwi dziennikarze prowadzący
oraz serwisy informacyjne o 12:00, 13:00 i 14:00.

REPUBLIKA

DZIEŃ
Z REPUBLIKĄ



codziennie
od **12:00**
do **15:00**

zapraszają
Ilona Januszewska
Emilia Wierzbicki
Piotr Nisztor
Aleksander Wierzejski
Marcin Bąk

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 2fc267a1cd

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
p.o. redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Kraków, 18 czerwca 1933 r.

Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego w drodze na Wawel, w 600. rocznicę koronacji Kazimierza Wielkiego



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Mit „ciemnych wieków"

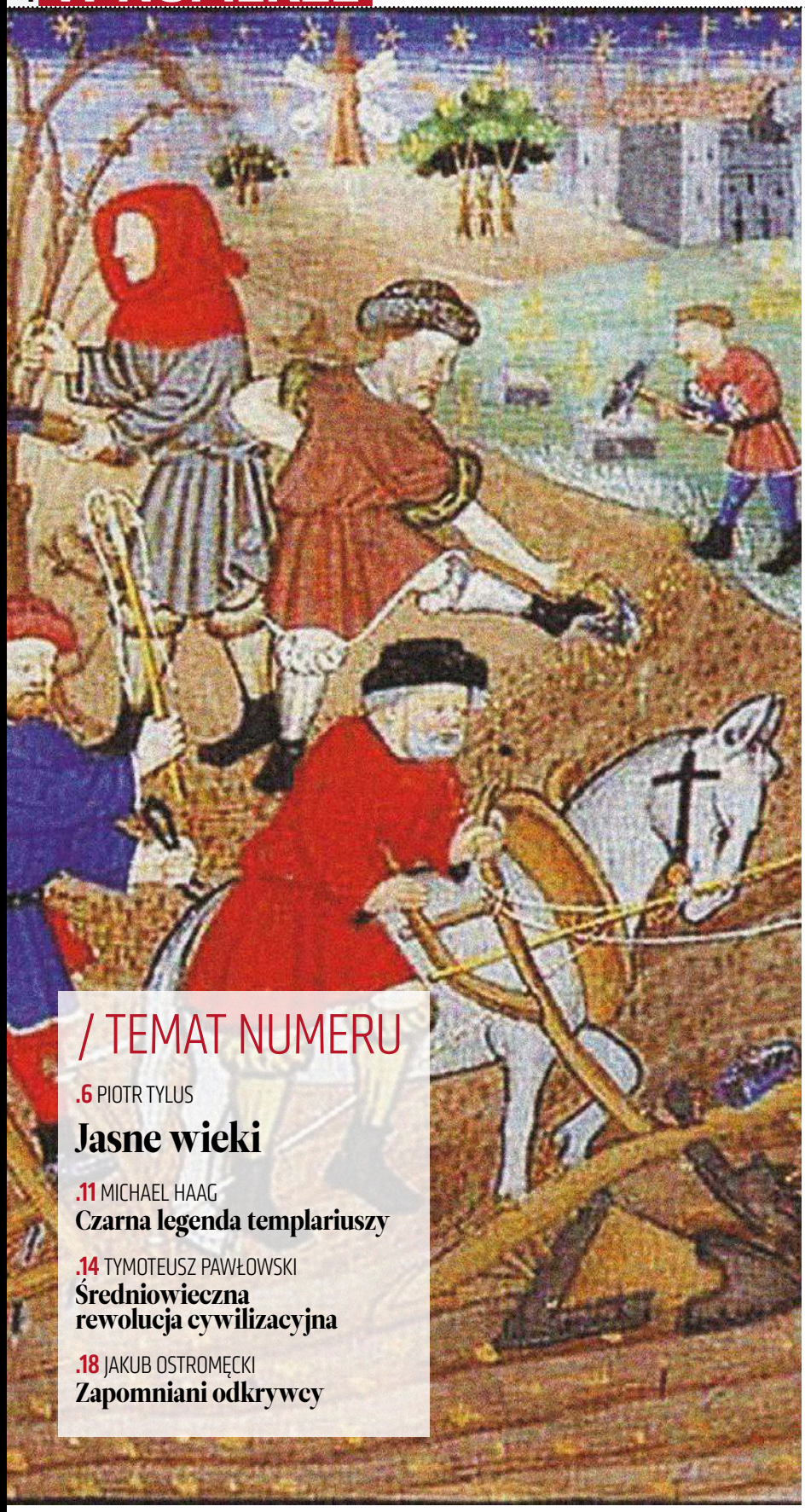
Średniowiecze było czasem totalnej zapaści, nędzy i zacofania. Kościół nie robił wtedy nic poza tropieniem czarownic, rycerze z krzyżami na tarczach prześladowali Bogu ducha winnych muzułmanów, a chrześcijańska Europa zaprzepaszczała wspaniałe osiągnięcia starożytnej nauki i sztuki. Oczywiście mówimy tu jedynie o brudnym, szarym średniowieczu w Europie.

Na innych kontynentach ten okres w dziejach był, rzecz jasna, dużo bardziej kolorowy i owocny. Weźmy choćby Majów i ich nowatorskie rytuały polegające na odseparowaniu serc od ciał, pacyfistyczne islamskie podboje i handel niewolnikami zorganizowany w iście korporacyjnym stylu przez wyznawców Allaha czy słynne osiągnięcia techniczne ludów zamieszkujących wówczas afrykańskie sawanny i azjatyckie stepy. Przyglądając się naszej popkulturze, można odnieść wrażenie, że Europa gniła przez tysiąc lat, podczas gdy wszędzie indziej świat spokojnie rozwijał się w kierunku tak wyczekiwanego oświecenia.

Więcej – ci, którzy mówią o „mrokach średniowiecza", nie myślą bynajmniej o ponurym okresie po upadku Cesarstwa Rzymskiego i dominacji barbarzyńskich ludów – z niesławnymi Wandalami na czele – które zajęły jego miejsce. „Mroki średniowiecza" mają odnosić się jedynie do chrześcijaństwa. Tymczasem potoczne wyobrażenia są tu dalekie od prawdy. To tylko dzięki chrześcijaństwu barbarzyńcy zostali ucywilizowani, a w klasztorach przechowano dziedzictwo intelektualne starożytności. Chrześcijańskie średniowiecze, od XI w., było epoką postępu i oświecenia (tak właśnie!), uniwersytetów, rozwoju miast i rolnictwa, odkryć geograficznych, ważnych wynalazków.

Oddajemy w Państwa ręce numer, w którym rozprawiamy się z największymi, najbardziej krzywdzącymi mitami na temat chrześcijańskiej Europy w czasach średniowiecznych. Tego dziedzictwa naprawdę nie musimy się wstydzić. ©℗

eprasa.pl 2fc267a1cd



/ TEMAT NUMERU

.6 PIOTR TYLUS
Jasne wieki

.11 MICHAEL HAAG
Czarna legenda templariuszy

.14 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Średniowieczna rewolucja cywilizacyjna

.18 JAKUB OSTROMĘCKI
Zapomniani odkrywcy

/ CZASY I LUDZIE



.22 CATHERINE GRACE KATZ
Jałtańskie targi

.26 ŁUKASZ CZARNECKI
Misja czarnego samuraja

.30 MIKOŁAJ IWANOW
Krótka historia Litbielu

.34 MAREK GAŁĘZOWSKI
„Lepszej śmierci nikt z nas nie pragnie”



.38 LESZEK LUBICKI
Rewolucja na polskim płótnie



.41 PIOTR SEMKA
Sąsiedzkie podziały

eprasa.pl 2fc267a1cd



.44 ANNA SZCZEPAŃSKA
Nieznane ludobójstwo



.48 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Banderowcy w Auschwitz

.52 SŁAWOMIR KOPER
Inflanckie triumfy husarii

.56 TOMASZ STAŃCZYK
Krew czterech cesarzy

/ CO CZYTAĆ

.60 KRZYSZTOF MASŁOŃ
„Człowiek o moralności alfonsa”

.64 RECENZJE

/ FELIETONY

.66 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Pierwsza relokacja

.69 PIOTR SEMKA
Kanalia w koloratce

/ KRESY



.70 TOMASZ STAŃCZYK
Krew na bazalcie

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Zapowiedź Waterloo

.78 MICHAŁ MACKIEWICZ
Gladius

/ POD PRĄD



.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Wołyń ’23 – wielka klapa

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Przysięga

REKLAMA

BELLONA



GDY NADZIEJA ZMIENIŁA SIĘ W ŻAŁOBĘ, A ŻAŁOBĘ PRZYĆMIŁ STRACH.

POLECAMY TAKŻE



eprasa.pl 2fc267a1cd

XI–XV w. / Nie było „mroku” przed „jutrzenką postępu i wolności”

Jasne wieki



Piotr Tylus

Czas wreszcie skończyć ze stereotypowym, negatywnym spojrzeniem na wieki średnie!

Ciemne średniowiecze. Mroki średniowiecza. Memento mori! Straszenie piekłem. Płonące stosy inkwizycji. Nawracanie mieczem – krucjaty. Ciężki los chłopa pańszczyźnianego. Ciężki los kobiety. Ohydny brud. Kościół pławiący się w luksusie. Ból i jęk ludu, któremu nigdy nie będzie dane ujrzeć słońca oświecenia. Lista stereotypów związanych z tysiącletnim okresem naszej cywilizacji jest znacznie dłuższa, ale chyba nie warto ich wszystkich wymieniać.

Trudno sobie wyobrazić, że ludzie żyjący w „średniowieczu” mieli świadomość, iż przyszło im żyć właśnie w „wiekach średnich”, a więc takich trochę gorszych od tego, co było, czyli starożytności, i od tego, co będzie, czyli nowożytności, a po niej współczesności. Tym bardziej że siłą rzeczy nie mogli wiedzieć, kiedy to „coś” nastąpi. Nie mogli mieć świadomości, że żyją w czasach „średnich” (takich sobie, byle jakich) i „pośrednich” pomiędzy dwiema wielkimi epokami godnymi uwagi, zasługującymi na to, żeby być: starożytnością i renesansem.

Trudno też sobie wyobrazić, że po upadku Cesarstwa Zachodniorzymskiego, w roku 476, żyjący wówczas ludzie obudzili się nazajutrz i ze smutkiem stwierdzili, że teraz przyjdzie im żyć w „średniowieczu”. Trudno też sobie wyobrazić, że nazajutrz po upadku Konstantynopola w roku 1453 albo po wynalezieniu druku przez Gutenberga, mniej więcej w roku 1440, a może w 1450 – nie wiadomo, czy to on wynalazł ruchomą czcionkę; najprawdopodobniej miał poprzedników) – albo po odkryciu Ameryki przez Krzysztofa Kolumba w roku 1492 – to też nie jest wcale takie pewne, że właśnie on dotarł tam jako



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

eprasa.pl 2fc267a1cd

pierwszy – a może dopiero po wystąpieniu Lutra w roku 1517 albo nazajutrz po innym równie wielkim wydarzeniu na progu nowożytności ludzie nagle obudzili się o poranku z radością w sercach oraz ze świadomością, że oto opadły z nich łańcuchy i kajdany i właśnie wschodzi jutrzenka postępu i wolności…

Pomińmy już to, że przejścia między epokami nigdy nie dokonują się gwałtownie, ale stopniowo, są one rozciągnięte w czasie i nigdy nie można wskazać na jakieś wydarzenie jako na datę absolutnie graniczną.

Uniwersytety i encyklopedyści

Kiedy mówimy o „ciemnocie" panującej w „średniowieczu", warto mimo wszystko pamiętać, że właśnie wtedy, w XII i XIII w., powstały w Europie pierwsze uniwersytety, istniejące do dzisiaj. A to znaczy, że był popyt na wiedzę, młodzi ludzie pragnęli wiedzy. I to znaczy również, że znalazły się odpowiednie osoby, które były w stanie zapewnić podaż. Nie zapominajmy także, że ów wiek XII i XIII to jednocześnie okres wielkiego rozwoju encyklopedyzmu – choć sam termin „encyklopedia", jako „cała wiedza", został użyty dopiero w wieku XVI przez Franciszka Rabelais'go – a w „średniowieczu" określało się te dzieła jako specula, czyli „zwierciadła", w których przeglądał się świat i człowiek.

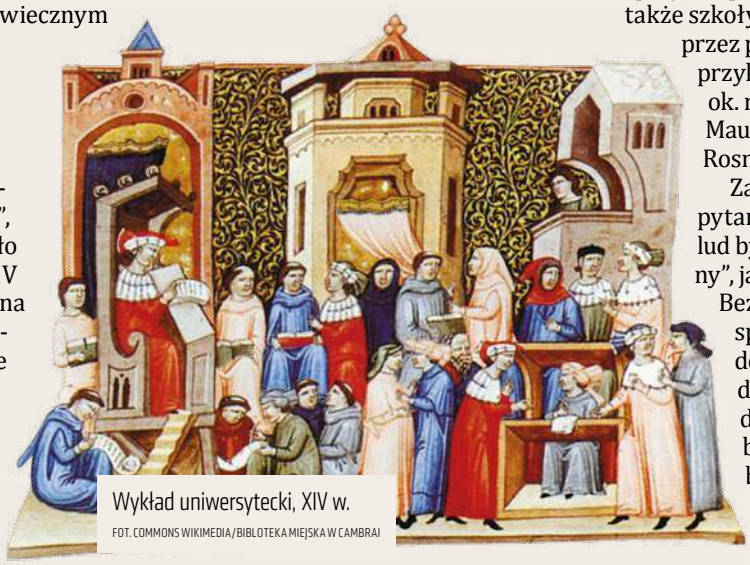
Najsłynniejszym średniowiecznym encyklopedystą był francuski dominikanin Vincent de Beauvais, autor „Speculum Maius", składającego się z trzech części: „Speculum naturale", „Speculum doctrinale" i „Speculum historiale", przy czym to ostatnie zostało przetłumaczone w wieku XIV na język francuski przez Jeana de Vignay jako „Miroir historial". Nieprawdą jest więc, że języki narodowe w postaci literackiej rodzą się dopiero wraz z humanizmem i renesansem. Literatura średniowieczna na zachodzie Europy, w zasadzie począwszy od wieku IX, w językach wernakularnych, czyli rodzimych – dzisiaj powiedzielibyśmy „narodowych" – choć to pojęcie nie powinno być stosowane do tamtej rzeczywistości – stanowi odrębny, bardzo obszerny temat.



Pomnik Jana Gutenberga w Strasburgu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/JOACHIM KOHLER HB

Oczywiście nie tylko Vincent de Beauvais; byli też inni jemu współcześni encyklopedyści, przy czym mieli oni całą tradycję poprzedników, sięgającą daleko w przeszłość. Warto zauważyć, że średniowieczni encyklopedyści wystrzegali się stosowania porządku alfabetycznego, ponieważ uważali, że jest to najgorszy możliwy porządek, nieodzwierciedlający porządku rzeczy, i trudno się z tym nie zgodzić.



Wykład uniwersytecki, XIV w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BIBLOTEKA MIEJSKA W CAMBRAI

Skoro średniowieczna młodzież była przygotowana do studiów uniwersyteckich – istniały wówczas trzy wydziały: teologii, medycyny i prawa; dodatkowo, powiedzielibyśmy, prewydział, czyli wydział sztuk, wydział artium, przez który musiał przejść każdy student i na którym wykładano siedem sztuk wyzwolonych: trivium i quadrivium – to znaczy, że musiało rozwijać się również szkolnictwo na niższych poziomach.

Szkoła dla wszystkich

„Średniowieczne" dziecko zazwyczaj chodziło do szkoły, podobnie jak dzisiaj, i wcale nie było „ciemne". Sobór Laterański z roku 1179 nałożył na kościoły ścisły obowiązek zakładania szkół, a mowa tutaj o rozporządzeniu powszechnie wówczas znanym. Zatem na ogół były to szkoły parafialne i przyklasztorne. Oczywiście nie wszyscy uczniowie mieli szczęście i przywilej uczęszczania do szkół diecezjalnych czy do szkół należących do kapituły katedralnej, odznaczających się znacznie wyższym niż gdzie indziej poziomem nauczania. Podobnie jak dzisiaj, tak też wtedy dziecko było przyjmowane do szkoły w wieku siedmiu lub ośmiu lat, a okres przygotowujący do studiów uniwersyteckich obejmował mniej więcej 10 lat. Chłopcy i dziewczynki kształcili się w odrębnych szkołach, co sprzyjało procesowi nauczania. Znane są także szkoły utrzymywane i zakładane przez panów feudalnych, czego przykładem jest szkoła założona ok. roku 1200 przez Gwidona V Mauvoisin w maleńkiej wiosce Rosny, położonej nad Sekwaną.

Zatem możemy zadać sobie pytanie, czy w „średniowieczu" lud był rzeczywiście tak „ciemny", jak dzisiaj chętnie się uważa. Bez względu na pochodzenie społeczne dzieci miały dostęp do szkół, a ubóstwo żadnemu dziecku w tym nie przeszkadzało, gdyż nauczanie mogło być oferowane całkowicie bezpłatnie, i to na wszystkich poziomach: począwszy od wiejskiej szkółki,

eprasa.pl 2fc267a1cd



Bitwa krzyżowców z muzułmanami FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BRITISH LIBRARY

a skończywszy na uniwersytecie. Dzieci wywodzące się z ludu korzystały z tego stanu rzeczy.

Gdy mówimy o „mrokach średniowiecza", o tej szarzyźnie życia, nie zapominajmy o wielobarwności iluminowanych rękopisów, zdobionych z wielkim artyzmem, ani o grze kolorów i świateł w gotyckich katedrach dzięki witrażom (a nie pomalowanym szybom), ani o wielobarwności średniowiecznych ubiorów, ani o wielobarwności tętniącej życiem ulicy średniowiecznego miasta. I nieprawdą jest, że ludzie w średniowieczu chodzili posępni, a śmiech był zakazany (Umberto Eco w „Imieniu róży" posłużył się kłamstwem), o czym świadczą choćby niektóre ówczesne gatunki literackie (farsa, fabliaux itd.) czy drolerie (śmiesznostki) często pojawiające się na bordiurach wspomnianych iluminowanych rękopisów, nawet w przypadku tekstów bardzo poważnych, dydaktycznych i moralizatorskich.

I nieprawdą jest, że średniowieczne miasto czy średniowieczna wieś ociekały brudem. W miastach występowała kanalizacja; łazienka i toaleta były zjawiskiem częstym w domach mieszczańskich; ludzie kąpali się chętnie. Nie można mylić średniowiecza z epoką nowożytną, kiedy taki Ludwik XIV, Król Słońce, wziął kąpiel tylko jeden raz w życiu.

Inkwizytorzy i krucjaty

Trudno odnieść się tutaj wyczerpująco do czarnej legendy inkwizycji czy do czarnej legendy krucjat. Co do inkwizycji, wystarczy wspomnieć, że w krajach protestanckich w wieku XVI spłonęło na stosach nieporównywalnie więcej ofiar, niż to miało miejsce w przypadku inkwizycji papieskiej – tej najbardziej znanej, powierzonej zakonowi dominikanów, a początkowo także franciszkanom (były też inne inkwizycje: biskupia, królewska) – w ciągu kilku stuleci jej istnienia.

Inkwizytorzy nigdy nie biegali za czarownicami (procesy czarownic są typowe dla XVI w., a więc dla czasów renesansu, i dochodziło do nich głównie w krajach protestanckich). Zadaniem inkwizytorów była obrona czystości doktryny. Dlatego zajmowali się tym dominikanie, którzy mieli w swojej dewizie „prawdę": Veritas – i zawsze słynęli z wysokiego poziomu intelektualnego – a zatem ich celem były herezje.

Ponadto nie mieli prawa nikogo skazać na stos, ponieważ Kościołowi nigdy nie było wolno plamić swoich rąk krwią. Najbardziej zatwardziałych heretyków przekazywali „ramieniu świeckiemu" i to właśnie władza świecka skazywała na śmierć na stosie oraz wykonywała ten wyrok. Inkwizytor do ostatniej chwili trwał przy skazańcu, czekając, aż wyrzeknie się herezji, a wówczas uchodził z życiem. Dodajmy, że sądy inkwizycji oznaczały postęp w stosunku do tego, co było wcześniej (sąd boży, próba wody, przysięga oczyszczająca itp.), gdyż troszczyły się o gromadzenie i rzetelną ocenę materiału dowodowego. Kiedy ostatni wielki mistrz templariuszy, Jacques de Molay, próbował się ratować w trakcie swojego procesu, odwołał się do sądu inkwizycji, gdyż wiedział, że jedynie inkwizycja jest w stanie zagwarantować mu obiektywny wyrok. Co do krucjat, krzyżowcy nie chcieli nikogo nawracać mieczem. Ich celem była ochrona miejsc świętych przed islamem, a państwa, które założyli w Outremer (Królestwo Jerozolimskie, Księstwo Antiochii, Hrabstwo Edessy, Hrabstwo Trypolisu), stanowiły zabezpieczenie dróg pielgrzymkowych oraz miały chronić Europę przed islamem.

Prawdą jest, że średniowieczna hierarchia kościelna niejednokrotnie zapominała o zasadach ewangelicznego ubóstwa. Jednak kiedy młody św. Dominik, podróżujący z biskupem Osmy o imieniu Diego, spotkał w południowej Francji grupę 12 cysterskich opatów, debatujących nad tym, w jaki sposób walczyć z herezją katarów, którzy zwodzili wiernych dzięki swojemu ubogiemu stylowi życia, wówczas tenże Dominik wyrzekł do nich następujące słowa: „Zostawcie swoje konie, swoje bagaże, swoich służących, zdejmijcie buty i idźcie nawracać tych ludzi, doprowadźcie ich do prawdziwej wiary przykładem waszego życia".



Teolog Piotr Lombard. Przykład iluminowanego rękopisu z XII w. FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BIBLIOTEKA MIEJSKA W TROYES

Nie trzeba było czekać na Franciszka

Potem Dominik założył Zakon Kaznodziejski, którego celem było nawracanie zwiedzionych przez różne herezje – zakon żebraczy, podobnie jak zakon św. Franciszka, powstały w tym samym

eprasa.pl 2fc267a1cd



„Dominikanie i Kościół Triumfujący". Fresk Andrei di Bonaiuto FOT. COMMONS WIKIMEDIA

czasie i były to prawdziwie żebracze zakony. Nie trzeba było czekać na Sobór Watykański II ani na obecnego papieża, żeby znowu pojawił się ubogi Kościół, który nie tyle straszył piekłem – mimo wszystko dogmat o istnieniu piekła nie jest właściwy jedynie „średniowieczu" – ile przypominał o celach ostatecznych ludzkiego życia, kierując się właściwie pojmowanym miłosierdziem.

Chłop nie był niewolnikiem

Kiedy mówimy: „średniowiecze", często przychodzi nam na myśl ciężki los chłopa pańszczyźnianego, bezlitośnie strzyżonego przez swojego pana. Otóż chłop pańszczyźniany posiadał zupełnie inny status niż starożytny niewolnik, który był rzeczą, a nie osobą; pan całkowicie dysponował jego życiem; niewolnik nie miał prawa do jakiejkolwiek działalności osobistej ani do własności; nie miał prawa do posiadania rodziny, której pan nie mógłby rozdzielić. Natomiast chłop pańszczyźniany był osobą, posiadał rodzinę, dom, pole; jego pan nie mógł mieć żadnych roszczeń w stosunku do niego, jeśli zgodnie z umową oddał mu to, co był mu winien. Owszem, nie mógł porzucić uprawianej przez siebie ziemi i stanowiło to jedyne ograniczenie dla jego wolności, ale jednocześnie nikt nie mógł mu tej ziemi odebrać, jeśli tylko wywiązywał się ze swoich zobowiązań. Jego sytuacja była stabilna, nie czuł się nieustannie zagrożony. A co do dziesięciny, bardzo chciałbym płacić dziesięcinę, ale tylko dziesięcinę...

Doskonały feudalizm

Z kolei tak często ośmieszany feudalizm stanowił najdoskonalszą formę ustroju politycznego, społecznego i gospodarczego, jaka kiedykolwiek została wypracowana. Więź feudalna nie była ciężkim żelaznym łańcuchem. Zobowiązania łączące wasala z jego panem były dwustronne. „Pan winien jest wierność i lojalność swojemu człowiekowi w takim samym stopniu, jak tenże winien jest to panu" – głosiła zasada prawa zwyczajowego, na którym opierało się średniowieczne społeczeństwo. Wasal był winien swojemu panu auxilium i consilium, czyli pomoc zbrojną i radę. Angażował przy tym całą swoją osobę, a właściwie swoją wierność. Pan z kolei winien był mu opiekę, ochronę, środki do życia. Każdy wasal miał nad sobą tylko jednego pana, a nie wielu panów, z których każdy czegoś by od niego chciał, nie gwarantując mu jednocześnie niczego czy też gwarantując bardzo niewiele. Taka była istota więzi feudalnej, więzi osobowej. Na wasalu spoczywał obowiązek obrony powierzonej mu domeny, w tym oczywiście obowiązek obrony jej mieszkańców, i wywiązywanie się z niego było bardzo kosztowne.

Ponieważ o szlachcie mowa, należy przypomnieć, że w „średniowieczu" wymagano od niej większej prawości moralnej niż od innych członków społeczeństwa. Kara nałożona na szlachcica była o wiele większa, niż miało to miejsce w przypadku mieszczanina czy chłopa za ten sam występek. Jeden z ówczesnych francuskich znawców prawa zwyczajowego, Beaumanoir, opisuje przewinienie, za które „wieśniak ma zapłacić sześćdziesiąt groszy, a szlachcic sześćdziesiąt liwrów" – dysproporcja wynosiła 1 do 20.

Chrystus wyzwolił kobiety

Co do ciężkiego losu kobiety w „średniowieczu", trudno z tym się zgodzić. Rzeczywiście w starożytności sytuacja kobiety nie była korzystna. Prawo rzymskie odnosiło się głównie do mężczyzn, natomiast o kobiecie decydowali mąż, ojciec czy brat. Niejednokrotnie się zdarzało, że zgodnie z prawem ojciec kazał unicestwić swoją nowo narodzoną córkę, gdy stwierdził, że ma za dużo córek albo w ogóle nie chciał posiadać córek. To Jezus Chrystus wyzwolił kobietę, odzyskała ona wolność oraz godność dzięki głoszonej Ewangelii, gdzie kobiety odgrywają bardzo istotną rolę, w tym przede wszystkim Matka Boga.

Czy w czasach nowożytnych uformowanych na prawie rzymskim, w XVI, XVII, XVIII lub XIX w., możemy sobie wyobrazić prostą dziewczynę z ludu, która zostaje doprowadzona do króla i prosi go, żeby powierzył jej dowództwo nad swą armią, a on się na to zgadza? W wieku XV (w „średniowieczu") tą dziewczyną była Joanna d'Arc. A czy możemy dzisiaj wyobrazić sobie dziewczynę z ludu, która staje przed papieżem i go upomina, a on stosuje się do jej zaleceń? W wieku XIV tą dziewczyną była Katarzyna ze Sieny, której działania doprowadziły do zakończenia okresu niewoli awiniońskiej papieży. Z Grzegorzem XI, który w wyniku jej nalegań zgodził się wrócić do Rzymu, umiała rozmawiać w sposób stanowczy, a jednocześnie dla osłody posyłała mu własnoręcznie robione dżemy z pomarańczy.

Nie mężczyzna, lecz ród

Podstawę „średniowiecznego" społeczeństwa stanowiła rodzina. Kiedy próbowano oszacować wartość jakiejś wsi, liczono ogniska domowe, a nie poszczególnych mieszkańców. W „średniowieczu" liczył się nie tyle mężczyzna, pater familias, ile ród. W tamtych czasach bardzo wyraźnie widać wyższość życia prywatnego nad życiem publicznym, co świadczy o pozycji rodziny. Zasadniczą cechą społeczeństwa jest rodzinna solidarność. Ci wszyscy, którzy żyją pod tym samym dachem, uprawiają to samo pole, grzeją się przy tym samym ogniu, „dzielą między siebie" – jak wówczas powiadano – „ten sam bochen chleba i jedzą z tego samego garnka", mogli liczyć jedni na drugich.

Ojcowizna nie mogła zmienić właściciela. Było to dobro niezbywalne. I nikt

eprasa.pl 2fc267a1cd



Średniowieczni rolnicy, XII w. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

nie mógł pozbawić rodziny tego dobra np. za długi. Rodzina nie czuła się zagrożona, jej życie opierało się na bardzo twardym fundamencie. Co do zakresu działania władzy królewskiej, władzy centralnej, należy stwierdzić, że pozostawał on ściśle ograniczony do spraw publicznych. Państwo nie miało prawa ingerować w sprawy rodziny.

Dodajmy, że instytucja Pokoju Bożego już pod koniec X w. zakazywała maltretowania kobiet, dzieci, chłopów i duchownych, a domy rolników podobnie jak kościoły uznano za nietykalne – było to współczesne rozróżnienie między obiektami cywilnymi a wojskowymi. Każdy, kto naruszał te zakazy, narażał się na dotkliwe kary.

„Średniowiecze" charakteryzowało się trwałością stosunków, poczuciem bezpieczeństwa, stabilnością. Każdy człowiek czuł grunt pod nogami. Nie żył w stanie nieustannej niepewności. Karola Wielkiego, jednego z najznamienitszych władców średniowiecznych, zawsze cechowała wola zapewnienia ładu i pokoju, warunków koniecznych, w jego przekonaniu, aby każdy tu, na ziemi, mógł pracować nad swoim zbawieniem, które osiągnie w życiu przyszłym.

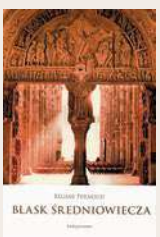
Chrześcijańska caritas

W „Naukach" („Enseignements") dla syna król francuski Ludwik IX zawarł następujące zdanie: „Względem swych poddanych bądź sprawiedliwy, nie zbaczając ani na prawo, ani na lewo. W razie sporu pomiędzy biednym i bogatym, dopóki się nie przekonasz o prawdzie, bądź raczej po stronie ubogiego niż bogatego", czyli bądź raczej po stronie słabszego, który ma mniejsze możliwości obrony, niż silniejszego. To nie jest żaden komunizm, jesteśmy tutaj w samym sercu wieku XIII i mowa o św. Ludwiku. W tym testamencie duchowym skierowanym do przyszłego Filipa III Śmiałego Ludwik zawarł elementarną zasadę wypływającą z chrześcijańskiej caritas, z miłości bliźniego rozumianej po chrześcijańsku.

Dlaczego król tak troszczył się o poddanych? Dlaczego chciał im dać poczucie bezpieczeństwa oraz zapewnić sprawiedliwość? Dlaczego rodzina cieszyła się takim szacunkiem i dlaczego była tak chroniona? Dlaczego państwo w żaden sposób nie ingerowało w życie rodziny ani w ogóle w życie prywatne, a zajmowało się jedynie sprawami publicznymi? Dlaczego chroniono kobietę oraz dziecko i w ogóle słabszych? Dlaczego panowała stabilność stosunków, dzięki której człowiek mógł spokojnie zastanawiać się nad celem swojego życia i do tego celu konsekwentnie dążyć? Wiele tym podobnych pytań można tutaj postawić, ale odpowiedź będzie jedna: bo to wszystko było chrześcijańskie.

Te kwestie, oraz wiele innych, są poruszone w niedawno opublikowanej książce „Blask średniowiecza" (Kraków, 2022), autorstwa Régine Pernoud, francuskiej mediewistki, która jako pierwsza systematycznie zaczęła odkłamywać średniowiecze. W Polsce znana jest głównie jako autorka „Kobiety w czasach katedr", a także dzięki kilku innym książkom; w sumie w trakcie swojego długiego życia napisała ich kilkadziesiąt i pozostaje sobie życzyć, żeby polski czytelnik miał także dostęp do tłumaczeń pozostałych pozycji, przynajmniej częściowo, w czasach, kiedy język francuski urasta w naszym kraju do rangi języka egzotycznego.

„Blask średniowiecza" został opublikowany przez Andegavenum, stosunkowo młode wydawnictwo, specjalizujące się w publikowaniu książek bardzo istotnych pod względem poznawczym i cywilizacyjnym. Ta książka zasadniczo zmienia myślenie o „średniowieczu".



REGINE PERNOD
„BLASK ŚREDNIOWIECZA"
ANDEGAVENUM

To, co dzisiaj nazywamy „średniowieczem", nie jest jakimś monolitem, nie była to jednolita epoka. Można w niej wyróżnić różne okresy, np. „renesans karoliński" albo inny „renesans", typowy dla „długiego wieku XIII", jak nazwał ten okres słynny francuski mediewista, Jacques Le Goff, pisząc o okresie wielkiego rozkwitu nauk oraz sztuk, który rozpoczął się mniej więcej w połowie XII w., a zakończył wraz z końcem wieku XIII. Najlepiej byłoby zrezygnować z samej nazwy „średniowiecze", która jest deprecjonująca, pogardliwa, pejoratywna i tym samym odcina nas od życiodajnych źródeł oraz od dobrych wzorców, bez wątpienia godnych naśladowania. Nie w tym rzecz, żeby tworzyć jakąś nową nazwę. Nie należy opatrywać jedną etykietką czy wrzucać do jednego worka mniej więcej tysiąca lat naszej cywilizacji. Żadna nazwa nie oddałaby różnorodności tej epoki.

Nasza współczesność została stworzona przez rewolucję francuską (a później przez inne rewolucje, które od niej bezpośrednio lub pośrednio pochodzą), a ta z kolei jest dzieckiem oświecenia i „filozofów". Czarna legenda średniowiecza ukształtowała się właśnie wtedy, w czasach oświecenia. Nie ukształtowała się sama z siebie, lecz w sposób świadomy została ukształtowana, żeby zdeprecjonować, zdyskredytować ten najwspanialszy okres cywilizacji chrześcijańskiej, zohydzić go, a może zohydzić „ją", pozbawić człowieka gruntu pod nogami oraz trwałych i niewzruszonych punktów odniesienia, postawić go na drodze „postępu", prowadzącej do „wolności", a przy okazji do „równości" i „braterstwa", do tego „raju na ziemi" stworzanego przez człowieka – jedynie przez człowieka – dla człowieka, co niejednokrotnie, jak pamiętamy, kończyło się totalitaryzmem i cierpieniem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem w Instytucie Filologii Romańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego.

eprasa.pl 2fc267a1cd

Wywiad / Z Michaelem Haagiem, angielskim historykiem, autorem książki „Tragedia templariuszy. Powstanie i upadek państw krzyżowców”



Templariusze w walce na Ziemi Świętej. Obraz Claude'a Jacquanda, XIX w. FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MUZEUM W WERSALU

rozmawia Piotr Włoczyk

Czarna legenda templariuszy

– Frankowie zapewnili Palestynie pokój i rozkwit przez większość XII w. Był to olbrzymi kontrast w porównaniu z poprzednim stuleciem, gdy terenami tymi rządzili muzułmanie – mówi Michael Haag

PIOTR WŁOCZYK: Według dość powszechnej opinii krzyżowcy byli krwiożerczymi fanatykami, którzy napadli na Bogu ducha winnych muzułmanów...

MICHAEL HAAG: Po pierwsze, większość mieszkańców tamtych ziem stanowili wówczas chrześcijanie, choć ciężko w to uwierzyć z dzisiejszej perspektywy. Krucjaty były więc przeprowadzone w obronie chrześcijaństwa. Po odbiciu z rąk muzułmanów Ziemi Świętej udało się krzyżowcom stworzyć społeczeństwo – jak na tamte czasy – dosyć otwarte. Muzułmanie generalnie mogli żyć w spokoju obok chrześcijan.

Obawiam się, że nie jest to zbyt popularny pogląd wśród dzisiejszych zachodnich intelektualistów.

To prawda. Wiem, że dziś krucjaty mają fatalną prasę, ale uważam, że zniknięcie państw krzyżowców było prawdziwą tragedią.

Zdaje się, że właśnie przekroczyliśmy granice poprawności politycznej.

Fakty są jednak takie, że Frankowie [tak muzułmanie określali Europejczyków w Ziemi Świętej – przyp. red.] rozwijali tamte tereny i pod ich rządami sytuacja w Outremer (Zamorzu, jak nazywano wówczas tereny odbite przez krzyżowców) dosyć szybko uległa stabilizacji. Pielgrzymi i rolnicy byli w Królestwie Jerozolimskim nieomal tak samo bezpieczni jak w Europie. Frankowie zapewnili Palestynie pokój i rozkwit przez większość XII w. Był to olbrzymi kontrast w porównaniu z poprzednim stuleciem, gdy terenami tymi rządzili muzułmanie.

Pod koniec istnienia Outremer, w miarę, jak Turcy zdobywali kolejne miasta, ludność frankijska była skazywana na potworne cierpienia. Turcy najczęściej zabijali mężczyzn, a pozostałych członków ich rodzin brali w niewolę. Kobiety, dziewczęta i chłopcy byli potem tysiącami sprzedawani na targach niewolników w Aleppo i w Damaszku. Po upadku Akki (1291) muzułmanie przeorali Outremer, niszcząc chrześcijaństwo, by Zachód już nigdy tam nie wrócił...

Porozmawiajmy o temacie, który w kontekście krzyżowców bodaj najbardziej obrósł legendami – o templariuszach. Jak wyglądała Wielkanoc 1119 r. w Ziemi Świętej?

To był bardzo smutny czas dla tamtejszych chrześcijan. Królestwem Jerozolimskim wstrząsnął wówczas potworny mord. Grupa 700 pielgrzymów – mężczyzn i kobiet – wyruszyła z Jerozolimy w kierunku rzeki Jordan. Ci bezbronni ludzie natknęli się na wojska Fatymidów z Askalonu... Trzystu pielgrzymów zostało wymordowanych, wielu zostało wziętych do niewoli. Ten mord przelał czarę goryczy. Król Baldwin II postanowił stworzyć „żandarmerię”, która ochraniałaby pielgrzymów.

Dlaczego nawet po odbiciu Ziemi Świętej z rąk muzułmanów te tereny wciąż nie były bezpiecznym miejscem dla pielgrzymów?

Siły krzyżowców były dość szczupłe w stosunku do potrzeb. Najważniejsze miasta były w rękach chrześcijan, ale

eprasa.pl 2fc267a1cd



Baldwin II przekazuje świątynię Salomona templariuszom FOT. COMMONS WIKIMEDIA

na prowincji mogło się zdarzyć dosłownie wszystko.

W Boże Narodzenie 1119 r. Hugon z Payns, francuski krzyżowiec, który brał udział w pierwszej krucjacie, wraz ośmioma z towarzyszami złożył śluby w bazylice Grobu Świętego.

Doszło do tego na podstawie porozumienia króla Jerozolimy Baldwina II oraz tamtejszego patriarchy łacińskiego Warmunda. Zakon oficjalnie nazywał się Pauperes Commilitones Christi Templique Salomonis – Ubodzy Rycerze Chrystusa i Świątyni Salomona – ale do historii jego członkowie przeszli pod krótszą nazwą: templariusze. Ich siedziba główna mieściła się w Jerozolimie na Wzgórzu Świątynnym, które zostało przez Seldżuków zamienione w fortecę z koszarami. Stąd w nazwie zakonu znalazła się Świątynia Salomona.

Co wiadomo o ich początkach?

Pierwsze lata działalności templariuszy są bardzo mgliste. Archiwa zakonu przepadły, dlatego jego historię możemy próbować odtworzyć ze źródeł pośrednich. Wiadomo, że początkowo braci nie było zbyt wielu, a ich rola ograniczała się tylko do pełnienia roli żandarmerii. Co ciekawe, pierwsi templariusze chcieli poświęcić się Jezusowi jako zakonnicy. Wcale nie rwali się do wojowania – to Baldwin II oraz Warmund wyznaczyli im tę misję, którą oni następnie z pokorą przyjęli. Templariusze chronili pielgrzymów na szlakach wiodących z portów do Jerozolimy i stamtąd m.in. nad Jordan i do Betlejem.

Jednak to nie dzięki roli żandarmów przeszli do historii.

Templariusze w niedługim czasie stali się obrońcami Ziemi Świętej. Pełnili tę funkcję wespół ze szpitalnikami, którzy równocześnie dbali o zdrowie pielgrzymów. Paradoksalnie im słabsze były państwa krzyżowców, tym mocniejsi stawali się templariusze. Władcy chrześcijańscy w Ziemi Świętej przekazywali templariuszom swoje zamki, by bronili granic chrześcijaństwa.

Nie mieli problemu z rekrutacją?

Absolutnie nie. Misja templariuszy była podwójnie atrakcyjna dla wielu młodych ludzi: dołączając do tego zakonu, można było zostać mnichem i rycerzem za jednym zamachem. Pamiętajmy jednak, że samych rycerzy nie było wśród templariuszy zbyt wielu: ich liczba nigdy nie przekraczała tysiąca. Myślę, że templariusza spokojnie można porównać do... pilota supernowoczesnego myśliwca. Wokół pilota, dysponującego śmiertelnie niebezpieczną maszynerią, pracuje wielu innych ludzi. To samo tyczyło się templariusza – ciężkozbrojnego rycerza, który stanowił wraz ze swoim potężnym koniem siłę trudną do powstrzymania. Średnio przypadało na niego dziewięciu ludzi. Oczywiście nie tylko rycerze walczyli w tym zakonie – na polu bitwy i na murach ich twierdz walczyło jeszcze wielu braci, którzy nie byli rycerzami.

Nie ma wątpliwości, że jako wojownicy cieszyli się wielkim respektem. Templariusze na polu bitwy pędzili jak czołgi, miażdżąc szeregi przeciwników. Byli niezwykle karni – nie wolno im było zejść z pola walki dopóty, dopóki ich sztandar powiewał.



Utrzymanie zakonu musiało kosztować krocie, ale to przecież nie było problemem dla templariuszy – ich bogactwo do dziś rozpala wyobraźnię.

Pieczęć zakonu templariuszy FOT. WIKIPEDIA

Wyposażenie i utrzymanie jednego tylko rycerza we Francji w XII w. wymagało posiadania minimum 750 akrów ziemi (303 ha). Tymczasem utrzymanie templariusza było dużo droższe z uwagi na konieczność sprowadzania towarów z Europy.

Wspieranie templariuszy było bardzo popularne na zachodzie Europy. Dużo dał braciom patronat wpływowego opata Bernarda z Clairvaux, który stwierdził, że Ziemia Święta potrzebuje „zbrojnych rycerzy, a nie śpiewających i zawodzących mnichów." W 1128 r. Hugon z Payns, pierwszy wielki mistrz zakonu, przybył z misją do Francji. Uzyskał tam od możnych duże nadania ziemskie i kosztowności. Następnie wielki mistrz wybrał się do Anglii. Tam z kolei Henryk IV obdarował templariuszy złotem i srebrem.

Można mówić bardzo wiele o ich bogactwie. Dość powiedzieć, że twierdza templariuszy w Paryżu, gdzie mieścił się główny skarbiec banku templariuszy, służyła również jako de facto skarbiec królów Francji. Z biegiem czasu templariusze stali się wręcz międzynarodową instytucją bankową.

Zakon był potężny i bogaty, ale sami braci byli ubodzy. Początkowo ubierali się w odzież pochodzącą z darowizn, dlatego wyglądali mocno niejednolicie. Dopiero później pojawił się ich „mundur", czyli emblematyczna biała tunika z czerwonym krzyżem.

Wymagano od nich, aby zawsze byli przygotowani na śmierć i aby nigdy nie okazywali strachu w walce. Templariusze nie mogli używać plugawych słów, nie wolno im było przywiązywać się do rzeczy doczesnych ani spisywać testamentów.

Piękne ideały, ale praktyka często bywa zupełnie inna...

Myślę jednak, że co do zasady ci mnisi faktycznie podążali za ideałami. Wstawali godz. 4, modlili się, zajmowali się końmi, potem jedli, ćwiczyli się we władaniu bronią, modlili się, jedli i szli spać późną nocą. Ich życie sprowadzało się do modlitwy i obrony wiary. To nie był zepsuty zakon.

eprasa.pl 2fc267a1cd

Kto był ich największym wrogiem?

Poza muzułmanami? Najwięcej wrogów templariusze mieli w samym Kościele. Wynikało to z ich unikatowego umocowania – byli podporządkowani jedynie papieżowi. To się bardzo nie podobało wielu hierarchom, wliczając w to patriarchę Jerozolimy, który konkurował z wielkim mistrzem templariuszy o dostęp do ucha władcy Królestwa Jerozolimskiego. Templariusze byli zwolnieni z płacenia wszystkich podatków, a reszta Kościoła musiała na nich łożyć. Oczywiście nie wszystkim podobał się taki układ...

Po tym, gdy Saladyn zdobył Jerozolimę w 1187 r., stolicą chrześcijańskiego królestwa stała się Akka. Jednak 100 lat później muzułmanie zajęli również Akkę, wypierając chrześcijańskie wojska z Ziemi Świętej. Co to oznaczało dla templariuszy, poza klęską militarną?

Templariusze bronili się bohatersko w swojej fortecy nad morzem jeszcze tydzień po zdobyciu miasta przez mameluków. Ostatecznie wszyscy bracia zginęli pod gruzami twierdzy, której fundamenty podkopali muzułmanie. Upadek Ziemi Świętej oznaczał dla zakonu koniec. O ile bowiem istnienie szpitalników wciąż miało sens – mogli przecież leczyć ludzi wszędzie na świecie – o tyle upadek Ziemi Świętej był też upadkiem samych templariuszy, którzy nie zdołali spełnić swojej najważniejszej misji. Liczyli wprawdzie na zorganizowanie kolejnej krucjaty, ale było to nierealne. Templariusze wrócili do Europy, głównie do Francji. Szpitalnicy osiedlili się na Rodos, a następnie przenieśli się na Maltę, gdzie działali aż do czasów Napoleona. Z templariuszami było jednak inaczej. Po upadku Akki ludzie zaczęli się zastanawiać: Po co właściwie potrzebni nam są teraz ci zakonnicy?

I wykorzystał to Filip IV Piękny...

Król Francji był bardzo zadłużony z powodu wojen. Jego sposobem na wychodzenie z długów było... pozbywanie się dłużników. Przed zaatakowaniem templariuszy Filip wyrzucił z Francji żydowskich i włoskich bankierów, którym był winien pieniądze.

Jednak pieniądze to tak naprawdę tylko tło upadku templariuszy. Filip tworzył wówczas Francję jako państwo narodowe i templariusze, a szerzej Kościół, byli jego ideologicznymi przeciwnikami. Był to konflikt dwóch wizji: uniwersalistycznego Kościoła, który twierdził, że stoi ponad władcami, i Filipa, który widział to dokładnie odwrotnie. Templariusze byli w jego oczach ręką papieża we Francji. Filip chciał ją odciąć, pokazując w ten sposób, kto naprawdę rządzi. 13 października 1307 r. król rozkazał aresztować każdego templariusza – nie tylko rycerzy – na terenie Francji. To były tysiące ludzi, ale nikt nie stawiał oporu. Filip następnie przejął majątek zakonu, niejako go nacjonalizując.



MICHAEL HAAG
„TRAGEDIA TEMPLARIUSZY. POWSTANIE I UPADEK PAŃSTW KRZYŻOWCÓW"
WYDAWNICTWO ASTRA

Król oskarżył ich m.in. o czczenie bożków, kotów i oddawanie się praktykom homoseksualnym. Zrobił z nich najgorszych heretyków. Miał jakiekolwiek podstawy, by rzucić takie oskarżenia?

Ta sprawa zszokowała cały chrześcijański świat, ponieważ templariusze mieli generalnie bardzo dobrą opinię. To prawda, że – jak każda elitarna formacja – mieli swoje dziwaczne obrzędy inicjacyjne. Ponoć młodzi byli zmuszani do całowania starszych w „koniec kręgosłupa", żeby okazać im posłuszeństwo. Czy tak było? Ciężko to stwierdzić. Nawet dziś jednak słyszymy o dziwnych rytuałach inicjacyjnych np. w wojsku.

Wiadomo jednak, że coś było na rzeczy, ponieważ nawet Jacques de Molay, ostatni wielki mistrz zakonu, który potem został spalony na stosie, sam był zakłopotany dziwnymi praktykami wśród braci i nawet napisał o tym w liście do króla Francji!

Dając mu tym samym amunicję do ataku na własny zakon...

Stało się tak wbrew jego intencjom. Z pewnością dochodziło wśród templariuszy do dziwnych sytuacji, które nie kojarzyły się z ortodoksją chrześcijańską, ale trudno sobie wyobrazić, żeby faktycznie byli oni heretykami. Nie sposób dawać wiary zeznaniom niektórych braci, w których przyznawali się oni do wszystkiego. Torturowano ich bowiem potwornie – są relacje mówiące o przypiekaniu im stóp w ogniu.

Czy papież Klemens V walczył o swoich rycerzy?

Jego sytuacja była bardzo trudna. Sam był Francuzem, jednak bał się, że król Francji wypowie mu wojnę. Klemens V chciał bronić Kościoła i templariuszy, ale Filip był potężny. Papież stał na straconej pozycji.

Jacques de Molay przyznał się do wszystkiego i miał zostać oszczędzony, ale tak się nie stało. De Molay na koniec stwierdził bowiem, że wycofuje się z zeznań, ponieważ nie mógłby żyć z takim ciężarem. Dlatego został spalony na stosie. Jednak losy templariuszy poza Francją, gdzie wielu z nich zginęło, nie potoczyły się tak źle. Przykładowo w Anglii ich majątek trafił do szpitalników, a samych zakonników nie spotkała krzywda. W Hiszpanii i Portugalii sytuacja wyglądała podobnie.

Wydawałoby się, że to koniec tej opowieści, ale przecież ta historia kompletnie niespodziewanie powróciła po 700 latach wraz z odnalezieniem pewnego dokumentu...

Przez cały ten czas wierzono, że Kościół kompletnie opuścił templariuszy. Dopiero w 2001 r. odkryto w tajnych archiwach watykańskich tzw. pergamin z Chinon, który jest dowodem na to, że papież nie wierzył w winę swoich rycerzy zakonników i na sam koniec oczyścił templariuszy. Głowa Kościoła stwierdziła, że nie popełnili oni grzechu i byli niewinni zarzucanych im czynów. Było to jednak utrzymywane w sekrecie ze strachu przed odwetem króla Francji. Templariusze powinni więc zostać zrehabilitowani w oczach świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Michael Haag (1943–2020) – angielski historyk i pisarz specjalizujący się w historii Ziemi Świętej. W Polsce dostępna jest jego książka pt. „Tragedia templariuszy. Powstanie i upadek państw krzyżowców". Rozmowa została przeprowadzona w 2017 r.

eprasa.pl 2fc267a1cd



Kraków w XV w. Ilustracja z „Liber chronicarum” FOT. COMMONS WIKIMEDIA

V–XV w. / Zapomniane wynalazki

Średniowieczna rewolucja cywilizacyjna



Tymoteusz Pawłowski

W nauce i technice dziedzictwo średniowiecza jest nawet większe niż odrodzenia i oświecenia

Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Pojawienie się nazwy „średniowiecze” również było związane z pieniędzmi, które można było zdobyć na zawsze lukratywnym rynku rozrywkowym. Twórcy rozrywki i kultury nie zarabiają wcale na książkach, a na grantach, stypendiach i dofinansowaniach z budżetu. Koniecznością jest wykazanie przez autorów, że ich prace są nowoczesne i pionierskie, a konkurenci – zacofani i prymitywni. Tak też było w XIV w., gdy Francesco Petrarca w ramach akcji autopromocyjnej ukuł określenie „ciemne wieki” („saeculum obscurum”) i zaprezentował się jako pierwszy prawdziwie nowoczesny poeta. Odniósł dzięki temu sukces artystyczny i komercyjny, więc znalazł naśladowców,

eprasa.pl 2fc267a1cd

chociażby Frederica Bruniego, który zaprezentował wizję trzech wieków ludzkości: wspaniałego antyku, równie wspaniałej nowoczesności (XV-wiecznej!) oraz siermiężnych lat pomiędzy. W 1469 r. użyto po raz pierwszy określenia „media tempestas", czyli „wieki średnie".

Dyskredytacja dokonań Europejczyków z lat 476–1492 stała się później bardzo atrakcyjna politycznie, chociażby z tego powodu, że były to stulecia, w których dominował Kościół katolicki. Wyszydzanie średniowiecza było więc doskonałym narzędziem propagandowym dla XVI-wiecznych protestantów, XVII-wiecznych Anglików walczących z hiszpańskimi papistami, XVIII-wiecznych rewolucjonistów w walce przeciwko Ludwikowi XVI (królowi „arcychrześcijańskiemu"), XIX-wiecznych turbomodernistów oraz XX-wiecznych producentów filmowych. Jest bardzo ważne, żeby pamiętać, że współczesna wizja świata została wykreowana przez hollywoodzkie filmy, a w Hollywood trudno znaleźć konserwatystów. Można również przypuszczać, że w XXI w. – w czasach walki pomiędzy bogatą Północą i ubogim Południem – potępienie średniowiecza wciąż będzie wykorzystywane propagandowo.

Średniowiecze jest bowiem par excellence związane z Europą, i to nie byle jaką Europą, a Europą Północną. Gdy w 476 r. upadał Rzym, cywilizacja kończyła się na Dunaju i Alpach, a Galia i Brytania były najuboższymi prowincjami Imperium. Tak biednymi i zacofanymi, że barbarzyńcom nie opłacało się ich atakować, a cesarzom rzymskim nie opłacało się ich bronić. Nowa epoka zaczęła się w 1492 r., gdy Europejczycy odkryli, a następnie podbili Nowy Świat.

Sukces cywilizacyjny Polaków

4 września 476 r. niejaki Odoaker, germański wódz, zdetronizował Romulusa Augustulusa, co powszechnie uchodzi za finał starożytności. Chyba nikt nie zorientował się, że właśnie kończy się epoka, szczególnie że Cesarstwo Rzymskie – tyle że ze stolicą w Konstantynopolu – wciąż trwało i miało się całkiem dobrze. W basenie Morza Śródziemnego w kolejnych stuleciach żyło się po dawnemu: obficie nawadniane pola dawały bogate plony, statki napędzane wiosłami zapewniały szybki transport, handel napędzał gospodarkę.



Zajęcia rolnicze. Ilustracja z manuskryptu Pietra Crescenzi, XIV w. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Zupełnie inna sytuacja panowała na północ od Dunaju i Alp. W Polsce – a raczej na ziemiach, które w przyszłości miały stać się Polską, oraz we wszystkich krajach ościennych – nie było nic oprócz lasów i bagien. Nie było pól dających plony, nie było miast z rozwiniętym handlem, nie było dróg ani karawan kupieckich, nie było przemysłu. Było tak biednie, że nawet Wandalowie uciekli znad Wisły do Afryki. To właśnie tę różnicę pomiędzy kwitnącym południem i biedną północą trzeba mieć przed oczami, gdy rozważa się postęp osiągnięty w „średnich wiekach".

Na południu problemem był co najwyżej brak wody na polach, łatwy do rozwiązania za pomocą rur, pomp i śrub Archimedesa. Na północy wody było natomiast stanowczo za dużo, ale pierwszym problemem był brak pól. Nasi przodkowie wpadli na pomysł gospodarki żarowej, czyli wypalania lasów. Zrobili to tak skutecznie, że wkrótce wypalonych leśnych polan było więcej niż lasów. Wówczas mieszkańców zaczęto nazywać Polanami, a ich państwo – Polską.

Zanim jednak plemię Polan utworzyło swoje państwo, konieczna była kolejna rewolucja technologiczna. W gospodarce żarowej wypala się polanę, w żyzny popiół sieje się zboże, a następnie – gdy już ziemia się wyjałowi – wypala się kolejną polanę. Zastosowano więc innowację znaną jako gospodarka dwupolowa: połowę ziem zasiewano, a połowę zostawiano ugorem, pozwalając jej odpocząć. Wówczas zbiory były na tyle duże, że pozostawały nadwyżki, które można było przeznaczyć dla aparatu urzędniczego i stworzyć organizacje państwowe. W Europie Północnej zaczęły powstawać – niczym grzyby po deszczu – nowe państwa: najpierw w Niemczech (w 800 r. Karol Wielki został cesarzem), później u nas (w 966 r. Mieszko przyjął chrzest), wreszcie na peryferiach (w 1253 r. Mendog zostaje królem Litwy).

Prawdziwą rewolucją była jednak gospodarka trójpolowa: jedną część pola obsiewano jesienią, drugą – wiosną, a jedynie trzecia część leżała odłogiem. Oznaczało to wzrost wydajności o jedną szóstą. Trójpolówka przyjęła się stopniowo – do nas dotarła w połowie XII w. – i od razu doprowadziła do boomu gospodarczego. Nadwyżki były tak duże, że opłacało się nimi handlować i zamieniać je na

eprasa.pl 2fc267a1cd

produkty przemysłowe i rzemieślnicze, rozwinął się więc handel, pojawiły się szlaki komunikacyjne, a przede wszystkim miasta, w których produkowano, handlowano i zarabiano pieniądze.

Miasta i melioracja

Miasta w Polsce zakładano od XIII w. wedle tzw. praw niemieckich, ale do Niemiec prawa te przyszły 300 lat wcześniej z Flandrii i Francji. Miasta były budowane wokół rynku, na którym toczył się handel i pracowali rzemieślnicy. Na jego środku stał ratusz, w którym obradowała rada miejska, a miasto było otoczone murami. Jednak to nie kształt miasta był najważniejszy, ale idea samorządności: miasta były niezależne od władcy, wszelkie decyzje podejmowała rada miejska, a mury służyły nie tyle do obrony przed wrogiem zewnętrznym, ile do zniechęcenia monarchów od wtrącania się. Dzięki temu średniowieczne miasta stały się ostoją postępu i nowoczesności, ale takie miasta były tylko w Europie. W Azji – np. w Moskwie czy Pekinie – centralnym punktem była monarsza twierdza zwana odpowiednio Kreml i Gù Gōng.

Urbanistyka jest nauką, więc powstanie średniowiecznych miast należy uznać za wynalazek naukowy. Jeden z najważniejszych wynalazków średniowiecza, który pozwolił Europejczykom w kolejnych wiekach narzucić swoje wzorce cywilizacyjne całemu światu. Zanim jednak podporządkowaliśmy sobie świat, trzeba było podporządkować nasze najbliższe okolice.

Można żartować, że Mazowsze nosi swoją nazwę od mieszkających tutaj Amazonek, ale tak naprawdę była to kraina błota, czyli mazi. Podobnie zresztą i Śląsk wywodzi swoją nazwę od słowa „ślęg" oznaczającego wilgoć. „Czynienie sobie ziemi poddaną" w północnoeuropejskich warunkach polegało na pozbywaniu się tej wilgotnej mazi: osuszaniu bagien i zamienianiu ich w pola. Był to ogólnoeuropejski trend, który narodził się we Flandrii, krainie położonej nisko nad morzem. Flamandowie nauczyli się osuszać bagna i tworzyć poldery (etymologicznie słowa zbliżonego do polskiego pola), następnie wiedzę tę zanieśli do Niemiec, skąd trafiła – wraz z Niemcami i Holendrami, jak nazywano Flamandów – do Polski.



Okulary – wynalazek średniowiecza

FOT. COMMOS WIKIMEDIA

„Drang nach Osten" – w słusznie minionych czasach przedstawiany jako odwieczny przykład wrogości Niemców do Polaków – był jednym z elementów rozwoju Europy w średniowieczu. Nie miał on wymiaru narodowego – w tamtych czasach trudno mówić o narodach, a tym bardziej o polityce narodowościowej – tylko kulturalny i gospodarczy. Osadnicy z okolic Magdeburga czy Lubeki przybywali nad Wisłę czy Wartę i znajdowali sobie niszę ekologiczną na bagnach: pola powstałe z trzebienia lasów były już zajęte, nowe pola mogły powstać tylko na miejscu osuszonych moczarów.

W pewnym momencie sukces przerósł swoich twórców. Zaczęło brakować surowców, także tych potrzebnych do produkcji przemysłowej. To, co było blisko powierzchni ziemi, zostało już zużyte, trzeba było sięgnąć głębiej. Osuszanie bagien po to, żeby zamienić bagno w pole uprawne – czyli Mazowsze w Polskę – polega na obniżeniu lustra wody gruntowej o kilka metrów. Osuszanie gór – bo tam z reguły są depozyty minerałów i węgla – po to, aby można było zbudować kopalnie, polega na obniżeniu lustra wody o kilkaset metrów. Europa jest sucha, ponieważ odniosła sukces gospodarczy: z kontynentu rolniczego zamieniła się w przemysłowy. Przez całe średniowiecze Europa stawała się stopniowo lepsza. „Lepszy" po łacinie brzmi „melior". Nic dziwnego, że osuszanie ziemi nazywamy melioracją.

Jarzmo, maszyna parowa, smartfon

Rewolucja naukowa, techniczna, agrarna, która nastąpiła w średniowiecznej Europie Północnej, jest bardzo często lekceważona. Chociażby z tego powodu, że czas jej trwania mierzy się wiekami. Nie można jednak zapominać, że podobny przebieg miała rewolucja przemysłowa XVIII–XX w., trzeba więc znaleźć odpowiedź, dlaczego stulecia XVIII, XIX i XX uważamy za wieki postępu, a stulecia VIII, IX, X i dalsze – za wieki ciemne.

Podstawową przyczyną są prawa patentowe. O wynalazkach XIX-wiecznych wiemy wszystko, ponieważ są one dokładnie opisane w dokumentach składanych do urzędów, a ustalenie ich autorstwa jest podstawową sprawą. Średniowiecze było nieco inne. Po pierwsze, powstawało niewiele dokumentów, po drugie, znaczna ich część nie dotrwała do naszych czasów. Po trzecie, prawo patentowe było wówczas mało precyzyjne, a unormowane zostało dopiero w 1474 r., a i to jedynie w Wenecji. Nieliczne dostępne średniowieczne patenty pozwalają nam jednak bardzo dokładnie dopasować wynalazek do autora i roku powstania.

eprasa.pl 2fc267a1cd

Jednak nie ma to większego znaczenia, podobnie jak w XXI w. nie mają znaczenia postępy w rozwoju silnika parowego. Jeszcze całkiem niedawno nasi dziadkowie musieli uczyć się w szkole sekwencji zdarzeń, która doprowadziła do powstania silnika parowego poczwórnego rozprężania z przegrzewaczami oraz kondensatorami pary zużytej. Daty kolejnych patentów i ulepszeń do dziś można znaleźć w starych podręcznikach, ale wiedza stała się nieaktualna: silniki parowe przestały nas interesować. Podobnie jest z wynalazkami średniowiecznymi: nasi pra, pra, praprzodkowie w XIII w. doskonale znali sekwencję zdarzeń, która doprowadziła do powstania taczki budowlanej, ale później przestali się tym interesować. Podobnie będzie za 500 lat: dziś znamy sekwencję zdarzeń, która doprowadziła do powstania smartfonów, ale wkrótce stracimy zainteresowanie tym tematem.

Dzieje się tak dlatego, że wynalazki powszednieją i przestajemy je zauważać. Kto z nas pamięta na co dzień, że maszyny parowe są podstawą energetyki, także tej jądrowej? Kto z nas pamięta, że pług z odkładnicą, taczka czy jarzmo są podstawą rolnictwa? Kto z naszych potomków będzie pamiętał o konieczności znalezienia odpowiedniej wtyczki do swojego smartfona?

Pług z odkładnicą, taczka, rowy odwadniające – to wynalazki, które do dziś są stosowane. Niewiele osób zdaje sobie sprawę z tego, że powstały w „ciemnym średniowieczu". Niewiele osób zastanawia się nad tym, jakby wyglądało życie bez nich. Jeszcze mniej osób zastanawia się nad losem wynalazków, które wyszły już z użycia, ale przez setki lat decydowały o rozwoju gospodarczym i cywilizacyjnym Europy. Jarzmo, pozwalające kilkukrotnie zwiększyć zdolności pociągowe zwierząt, było rewolucyjnym wynalazkiem średniowiecznym, ale odeszło w niepamięć wraz z pojawieniem się transportu mechanicznego. Podkowy interesują jedynie nielicznych. Wiatraki mielące zboże na mąkę również odeszły w niepamięć, choć stanowią interesujący element krajobrazu, podobnie zresztą jak ruiny zamków rycerskich czy też zegarki mechaniczne.

Jest jeszcze jedna kategoria wynalazków, których nie dostrzegamy, a już na pewno nie zwracamy uwagi na ich genezę. Nie dostrzegamy, ponieważ są one bardzo przyziemne. W pięknym, słonecznym, wyrafinowanym antyku ludzie owijali się w togi i chodzili z gołymi... nogami. W równie pięknym, równie słonecznym i równie wyrafinowanym renesansie ludzie swoje ubrania zapinali na guziki i chodzili w pończochach oraz nosili... majtki. Ta zmiana w naszej konfekcji – a także równie lekceważone zmiany w naszych upodobaniach kulinarnych – to zmiany typowo średniowieczne, pozwalające na opanowanie Europy Północnej.

Na podbój świata!

Europa kończy się tam, dokąd nie zdołała dotrzeć średniowieczna myśl techniczna. Nie dotarła chociażby do Rosji, czyli państwa ze stolicą w założonej w 1147 r. Moskwie. W 1237 r. podbili ją Tatarzy, na kilkaset lat odcinając ją od zachodnich wpływów. Konsekwencje – czasem niespodziewane – widać do dziś. W maju w okolicach Briańska został zestrzelony samolot. Do dziś go nie odnaleziono, wpadł bowiem do nieprzebytych briańskich bagien (sąsiednia Białoruś jest państwem europejskim, swoją część tych samych bagien – zwanych Błotami Pińskimi – zdołała osuszyć).

Średniowieczna rewolucja naukowa zakończyła się opracowaniem wynalazków, które pozwoliły Europejczykom podbić świat. Warto zwrócić uwagę, że rozwijano je przez wieki, aż do osiągnięcia przez nie idealnej postaci, która w kolejnych stuleciach – to znaczy podczas uważanego za szczyt rozwoju kultury i nauki odrodzenia oraz oświecenia – niewiele się zmieniła.

Jednym z tych wynalazków był proch, którego pierwsze udokumentowane użycie nastąpiło 29 kwietnia 674 r. w czasie oblężenia Konstantynopola. Jego wynalazcą był Kalinnikos z Helipolis i choć używa się wobec niego nazwy „ognia greckiego", to składał się z węgla, siarki i saletry, zmieszanej w odpowiednich proporcjach. Po kilku wiekach poszukiwania tych proporcji, dzięki broni palnej, Europejczycy opanowali Amerykę, Afrykę i połowę Azji (nie zapominając o Australii). Czarny proch został zastąpiony dopiero pod sam koniec XIX w.



Pumhart von Steyr, największe działo średniowiecza FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Odkrycia geograficzne były możliwe dzięki rozwojowi nawigacji: budowy okrętów żaglowych wyposażonych w ster płytowy, zastosowaniu kompasu i rysowaniu map. Potrzebne umiejętności żeglarskie cyzelowano w czasie wieków średnich, podobnie kompas – a dokładnie cały kompleks składający się z igły magnetycznej, róży wiatrów i map – kształtował się przez stulecia, aż osiągnął doskonałość ok. 1492 r. Później następowały jedynie niewielkie zmiany, a do lamusa został odesłany w XXI w., wraz z pojawieniem się nawigacji satelitarnej.

Tak samo wielkim wynalazkiem średniowczesnym jest druk, a właściwie umiejętne połączenie wielu średniowiecznych wynalazków – papieru, ruchomych czcionek, odpowiedniego kształtu liter (tak, to też trzeba wymyślić, niektóre pisma nie nadają się do druku), odpowiednich farb, wytrzymałej prasy – w jeden. Gdy już zostało to dokonane, stało się to jednym z symbolicznych końców średniowiecza. Wynalazek ten przetrwał w niezmienionej postaci bardzo długo i dopiero w XXI w. został zastąpiony przez Internet i smartfony.

Jest wielce prawdopodobne, że gdy za kilkaset będzie powstawał kolejny artykuł o rozwoju światowej techniki, zostaną tam zauważone jedynie dwie istotne rewolucje naukowe: jedna, trwająca w średniowieczu i zakończona błyskotliwymi osiągnięciami w wieku XV, oraz druga, trwająca w wieku XX i zakończona błyskotliwymi osiągnięciami w wieku XXI. Nie wiadomo jedynie, jakie będą to osiągnięcia. Wiadomo natomiast, że powyższy artykuł powstał przy użyciu wielu technologii średniowiecznych, maszyny liczącej zwanej komputerem, ale bez użycia sztucznej inteligencji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fc267a1cd



Christan Krohg „Leif Eriksson dopływa do Winlandii"
FOT. WIKIPEDIA/NASJONALGALLERIET OSLO

Za horyzont / Geografia w wiekach średnich

Zapomniani odkrywcy



Jakub Ostromęcki

Średniowieczni Europejczycy nie bali się świata. Eksplorowali najdalsze nawet zakątki ziemi, burząc przy okazji mityczne wyobrażenia o krainach zamieszkanych przez potwory

Po upadku Imperium Rzymskiego na barbarzyńskim Zachodzie świat rysowano według tak zwanego „wzoru O-T." Ocean oblewał wszystkie trzy nagryzmolone schematycznie kontynenty, przebierając kształt okręgu. Poprzeczna belka litery T symbolizowała Nil i Dniepr lub Wołgę. Nad nią, umieszczona z jakiegoś powodu na górze mapy, była Azja. Linię pionową tworzyło Morze Śródziemne oddzielające Europę i Afrykę. W centrum świata znajdowała się Jerozolima, gdzieś w głębi Azji biblijny raj. Przez całą Azję ze wchodu na zachód biegł jeden łańcuch górski. Na stepach wciąż cwałowały amazonki, w Hirkanii ptaki świeciły w nocy, w Kapadocji klacze zapładniano wiatrem. Można tu było spotkać psiogłowców, cyklopów, ludożerców i skaczących na jednej nodze hymantopidów. Rewelacje o potworach, często żywcem kopiowane z cudem ocalałych dzieł antycznych, ogłaszali nawet intelektualiści naprawdę dużego kalibru, jak Adam z Bremy.

Pogrążenie się w geograficznej niewiedzy nie było winą Europejczyków. W VII w. Arabowie odcięli cywilizację zachodnią od bezpośrednich kontaktów w Indiami. Przez setki lat, aż do czasów Vasco da Gamy, żaden zachodnioeuropejski czy nawet bizantyński statek nie mógł pływać między Morzem Czerwonym a trójkątnym subkontynentem. Ostatnia bizantyńska podróż odbyła się, jak podaje John R.S. Phillips, w 719 r. Z Chinami było jeszcze gorzej. Bezpośrednia antyczna droga do Państwa Środka, którą podróżowali dawniej rzymscy dyplomaci, biegła przez Ocean Indyjski.

Mnisi żeglarze

Nie trzeba było czekać na Henryka Żeglarza czy Vasco da Gamę, aby zweryfikować istnienie baśniowych krain. Pierwsi odkrywać nowe ziemie ruszyli Irlandczycy. Najsłynniejszym z nich był św. Brendan Żeglarz żyjący w latach 484–576. Mnisi podróżnicy nie szukali szlaków handlowych, złota czy ziemi. Nie musieli uciekać przed normańskimi barbarzyńcami. Nieśli Słowo Boże ku nieznanej północy i poszukiwali tajemniczych Wysp Błogosławionych leżących wśród mgieł na krawędzi świata. Brendan nie odnalazł tych wysp, przeżył jednak mnóstwo przygód. Morski potwór, na którego grzbiecie wylądował swoją łajbą, był najprawdopodobniej wielorybem, a piekielne ognie widziane na mroźnej północy były niczym innym jak wulka-

eprasa.pl 2fc267a1cd

nami Islandii. Irlandzcy mnisi byli zatem pierwszymi ludźmi, którzy dotarli do ziem, które starożytni określali mianem Thule. Skąd w opowieściach mnichów tyle baśniowości? Wyjaśnia to badacz dziejów Celtów Stefan Czarnowski, porównując ich do Greka: „Zawszeć jednak patrzy on na morze realistycznie. Inaczej w Irlandii. Dla Celta morze jest żywe. […] rzec można bez przesady, że Irlandczycy są w Europie pierwszymi poetami morza. Bo też Celtowie wyspiarscy byli w pierwszym rzędzie powołani do tej roli".

Następcom Brendana nie w głowie było poszukiwanie wiosennych wysp zamieszkałych przez czarodziejki. Uciekali przed płowowłosymi olbrzymami ze Skandynawii, którzy od końca VIII w. pustoszyli Wyspy Brytyjskie. Uciekinierzy osiedlili się na Islandii i, co bardzo prawdopodobne, na Grenlandii. Nie wiemy, czy wymarli czy też powrócili na południe. Dość powiedzieć, że przybywający po nich wikingowie byli zdziwieni, gdy na krańcu świata ujrzeli w opuszczonych chatach z darni i kamieni pastorały i chrześcijańskie księgi.

Irlandczykom zawdzięczamy też odkrycie i zasiedlenie Wysp Owczych. Twardzi, a może po prostu brawurowi byli to żeglarze. Dużą część podróży odbywali łodziami curragh, które miały poszycie ze skór. Brendanowi ktoś poradził, aby przesiadł się na porządny statek z drewna. Jak bardzo przypominał on późniejsze okręty wikingów – tego nie wiemy.

Wikingom zawdzięczamy jedno z ważniejszych odkryć geograficznych średniowiecza. Było to możliwe dzięki postępowi w szkutnictwie. Wikingowie zabierali się do budowy swoich statków w zupełnie innej kolejności, niż czynili to szkutnicy z Morza Śródziemnego. Mając gotową stępkę, montowali do niej poszycie składające się z poziomych, stosunkowo cienkich listewek zachodzących na siebie tak jak dachówki. Listewki te połączone były gwoździami lub nitami z brązu. Potem do środka, wątłego jeszcze kadłuba, wkładano wręgi, mocując je do poszycia za pomocą lin. Cieśla wyrabiający takie elementy miał trudne zadanie. Wręga musiała być zrobiona z jednego konara dębu, który musiał być do tego odpowiednio wygięty. Powstawały w ten sposób okręty dużo bardziej elastyczne



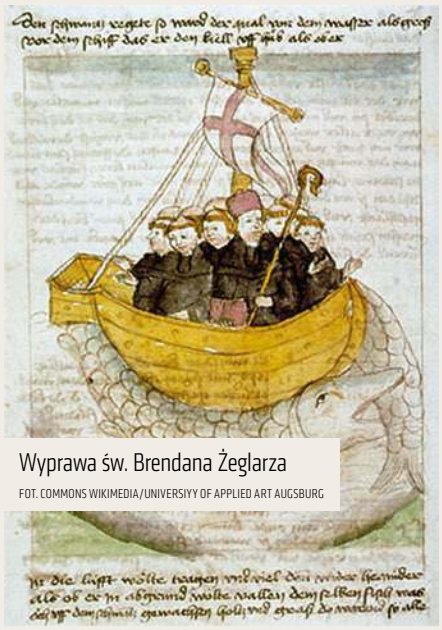
Mapa świata według wzoru O-T, VII w., druk XV w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

niż te pływające po spokojniejszych morzach południa. Poszycie ułożone z listewek powodowało, że kadłub ślizgał się po wodzie, zamiast z nią walczyć. Statki wikingów miały jeden prostokątny żagiel z lnu lub niemoknącej wełny pozyskanej z rzadko spotykanej poza północą rasy owiec.

Wikińskie statki miały też oczywiście kilka wad. Liny mocujące wręgi szybko się zużywały. Burty były niskie, więc statki łatwo nabierały wody w czasie sztormu, a podróż bywała koszmarem. Nie było żadnych kajut ani kuchni pokładowej. Spano w namiocie lub w kilku ciasnych komórkach przy dziobie i rufie. Palić ognia nie było wolno, toteż na żeglarzy tygodniami czekała tylko zimna strawa.

Do terroryzowania mieszkańców Europy wikingowie używali langskipu, czyli



Wyprawa św. Brendana Żeglarza

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/UNIVERSIYY OF APPLIED ART AUGSBURG

wąskiego okrętu o bardzo małym zanurzeniu, który mógł również penetrować rzeki w głębi lądu. Do podróży oceanicznych służyła knara. Była bardziej pękata, nie miała strasznej smoczej głowy na dziobie, zabierała za to dużo więcej ładunku i lepiej radziła sobie z falami, które zalałyby langskipa w ciągu kilku minut.

Wikińska Ameryka

Na północnym Atlantyku wikingowie trudnili się tym samym, czym gdzie indziej – grabieżą. Inni poszukiwali ziemi do osiedlania się. Żegluga po mroźnych wodach nie musiała być jednak tak straszna, jak nam się wydaje. W IX w. ta część świata weszła w tzw. optimum klimatyczne – góry lodowe cofnęły się ku północy, pustkowia Grenlandii i dzisiejszej Kanady się zazieleniły. Mróz powrócił do Europy dopiero w XIV w.

W 870 r. na Islandii powstały pierwsze wikińskie osiedla. Pionierzy, zapewne przez przypadek, szybko dowiedzieli się o leżącej bardziej na zachód Grenlandii. W latach 80. IX w. najsłynniejszym jej zdobywcą stał się Eryk Rudy. Był to kolonizator z przymusu. Na Islandii skazano go, i słusznie, na banicję z powodu krwawej jatki, którą urządził swoim sąsiadom, spierając się o kawałek ziemi. Erykowi spodobała się Grenlandia, na której zaczął czuć się jak udzielny władca.

W 985 r. na Grenlandię wyruszył islandzki kupiec Bjarni Herjolfsson. Człowiek, jak na wikinga, niesamowicie opanowany i ostrożny. Płynął na zachód, chcąc dołączyć do ojca, który wcześniej wyemigrował na Grenlandię. Nie dane było Bjarniemu szybko dołączyć do rodziny. Sztorm zepchnął go z kursu setki mil na południowy zachód. Gdy mgły i chmury w końcu się rozeszły, oczom załogi ukazał się ląd pełen iglastych drzew i zatok, nad którymi zieleniły się łąki. Nie tak miała wyglądać Grenlandia. Islandczyk za jednym zamachem odkrył Labrador, nazwany potem przez jego ziomków Marklandem, i Nową Fundlandię – Winlandię.

Ziemie te aż zapraszały do osiedlenia. Bjarni, będąc jednak człowiekiem do bólu praktycznym, stwierdził, że nic

eprasa.pl 2fc267a1cd

tu jednak nie sprzeda. Wrócił więc na północny wschód i na Grenlandii udało mu się dołączyć do ojca. Przy uczcie nie omieszkał oczywiście poinformować reszty mieszkańców o swoim odkryciu. Najżywiej chłonął te opowieści Leif, syn Eryka Rudego.

Leif był następcą „tronu" Grenlandii. Bardzo podnieciła go perspektywa pozyskania drewna, którego na Grenlandii nie było, a które Bjarni „odkrył" na nowych ziemiach. To on, w 995 r., jako pierwszy Europejczyk postawił stopę na słynnej Winlandii zwanej dziś Nową Fundlandią. Słowo „vin" może oznaczać zarówno pastwisko, dzikie jagody, jak i dzikie wino, które wówczas można było spotkać na południowym cyplu wielkiej wyspy. Była to ziemia przypominająca Skandynawię, ale było tam wtedy cieplej niż dziś. Leif spędził w Winlandii niemal bezśnieżną zimę i wrócił do Grenlandii obładowany cennymi surowcami.

Był to początek najbardziej niesamowitego rozdziału amerykańskiej przygody wikingów. Były w niej niespotykany heroizm, hart ducha i poświęcenie, a także ludzka podłość, okrucieństwo i głupota. Wkrótce po wypłynięciu Leifa Thorgils Orrabeinsfostri wraz z rodziną i grupą osadników rozbił się na wybrzeżu Ziemi Baffina. Zmuszony był tam przezimować, polując na foki i niedźwiedzie, raz walcząc o zwierzynę z parą Eskimosów. Część załogi szybko wymarła. Thorgils przeszedł potem prawdziwe piekło. Jego żonę zamordowali niewolnicy, którzy zbiegli potem jedyną łodzią. Zdesperowany ojciec naciął w końcu nożem swoją klatkę piersiową, aby mały synek ssał świeżą krew i nie umarł z głodu. Po kilku latach z resztek drewna zbudował łódkę, którą wrócił na Grenlandię. Tam jego syna poszarpał niedźwiedź polarny – Thorgils ukatrupił zwierzę mieczem. Dziecko przeżyło. Malec zginął jednak na morzu podczas podróży na Islandię. Thorgils później odnalazł morderców swojej żony, lecz zamiast sprawić im kaźń… sprzedał ich za dobrą cenę innemu wikingowi. W wieku 70 lat stanął jeszcze do pojedynku i położył trupem przeciwnika.

W roku 1004 ku Winlandii wyruszyła spora grupa islandzkich i grenlandzkich osadników. Część szukała ziemi, inni chcieli zdobyć drewno, futra, winogrono.



Mapa świata z „Imago mundi" Honoriusza z Autun, XII w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Inaczej niż Leif wylądowali w chłodniejszej, północno-zachodniej części Nowej Fundlandii. Dziś miejsce ich osiedlania nosi nazwę L'Anse Aux Meadows. To tu odkryto wikińskie domostwa. Nie było to wymarzone miejsce do zamieszkania. Grupa ponad 100 kolonistów przetrwała tylko dzięki temu, że do wąskiej cieśniny wpłynął wieloryb, który nie potrafił wydostać się na pełne morze. Jego mięso starczyło na całą zimę. To tutaj urodził się Snorri Thorfinsson, pierwszy Europejczyk w Nowym Świecie.

Koloniści wysłali w trzech kierunkach misje wywiadowcze i wszystkie trzy napotkały eskimoskich Dorsetów lub indiańskich Beotheków. Spotkania te zakończyły się tragicznie. Zaczęło się od handlu, lecz choleryczni wikingowie dostali szału, gdy krajowcy zaczęli interesować się żelazną bronią przybyszów. Doszło do pierwszej w historii walki białych z amerykańskimi tubylcami, w której miecz i topór wystąpił przeciw harpunom, oszczepom i procom. Straty były podobne, lecz to nie tubylcy skłonili kolonistów do powrotu.

Mimo wypraw rekonesansowych nie udało się odnaleźć cieplejszej części wielkiej wyspy, gdzie zimował przed laty Leif. Wśród osadników było za mało kobiet, aby kolonia mogła przetrwać. Krwawy był koniec wikińskiej osady w Nowej Fundlandii. Freydhis Eiriksdottir, złodziejka i intrygantka, chcąc zawładnąć największym statkiem, kazała swojemu głupawemu mężowi wymordować sąsiadów. Ocalałe z rzezi kobiety sama zabiła toporem. Była córką Eryka Rudego i tylko dlatego po powrocie na Grenlandię została wykluczona, a nie zabita. Wielu kolonistów, jak Thorfinn Karlsefni, wzbogaciło się jednak na tej wyprawie na kraniec świata.

W XV w. Europejczycy opuścili Grenlandię, a ich miejsce zajęli Innuici. Nie mamy żadnych dowodów, czy Kolumb wiedział o odkryciach wikingów. Z pewnością jednak jego karaki i karawele wiele zawdzięczają skandynawskiej sztuce szkutniczej. Kolumb, myśląc, że odkrył Indie, był przesadnym optymistą. Wikingowie byli pesymistami. Dla nich Grenlandia, Ziemia Baffina, Labrador i Nowa Fundlandia były gigantycznymi odnogami lądu, który gdzieś na dalekiej lodowej północy łączył się z ich rodzimą Skandynawią. To dlatego nie popłynęli dalej na południe.

Przez stepy, Pamir, do Chin

W XII w. Europejczycy mieli już niezłą wiedzę na temat geografii. W „Imagio Mundi" Honoriusza z Autin ziemia znów była kulą. Rówieśnik Honoriusza, Lambert z St. Omer, podzielił ją na strefy klimatyczne i stwierdził, że antypody mogą istnieć, ale z racji równikowego żaru nie sposób tam dotrzeć. Europejscy żeglarze w XIII w. posługiwali się już kompasem, a kartografowie rysowali pierwsze róże wiatrów.

Dla Europejczyków najbardziej interesujący był wtedy magiczny Wschód. Na innych kierunkach czekały na nich dusze celtyckich zmarłych, bezmiar oceanu, lód lub spalona słońcem Sahara.

Azja, poza oczywiście znanym krzyżowcom Bliskim Wschodem, była za to wciąż nieosiągalna. Z „pomocą" przyszli w XIII w. Mongołowie. Ich okrucieństwo budziło przerażenie. To oni byli pomiotem Goga i Magoga schwytanym niegdyś przez Aleksandra Wielkiego, a teraz wypuszczonym na wolność. Papieże stwierdzili jednak, że jeśliby ich ochrzcić, to ich furię można by skierować przeciw Saracenom zagrażającym Ziemi Świętej. W połowie XIII w. nastąpiła więc prawdziwa gorączka podróżniczo-dyplomatyczna. W 1245 r. franciszkanie Giovanni da Pian del Carpine i Benedykt Polak wyruszyli w niebezpieczną podróż lądową na dwór wielkiego chana w Karakorum w dzisiejszej Mongolii. Szef wyprawy, del

eprasa.pl 2fc267a1cd



Łodzie wikingów, kadr z serialu „Wikingowie" (2013 - 2020)
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Carpine, w młodości najprawdopodobniej rycerz, po wdzianiu habitu był towarzyszem samego św. Franciszka.

Del Carpine i nasz rodak byli pierwszymi Europejczykami, którzy przemierzyli z zachodu na wschód Wielki Step rządzony wówczas niepodzielnie przez Mongołów. Ich droga wiodła przez zimne pustkowia nad morzami Azowskim i Kaspijskim, potem przez spalony słońcem step nad Morzem Aralskim, nad jeziorem Bałchasz, wzdłuż północnych zboczy gór Tien-szan, aż w pobliże stolicy chanatu, czyli Karakorum. Mnisi miesiącami jechali przez tereny zamieszkane przez niezliczone szczepy ludów tureckich, indoirańskich i mongolskich. W Chorezmie (dziś południowy Kazachstan) bielały jeszcze kości pomordowanych przez wojska Czyngis-chana. Amazonek czy psiogłowców – ani widu, ani słychu.

Była to droga przez mękę. Mnisi chorowali, nieraz przymierali głodem, w karawanserajach za przysmak mając papkę z prosa, a kilka razy, jak Bóg dał, nieprzyprawiony i niedopieczony udziec barani czy bulion. Z braku drewna palili wysuszonym końskim lub krowim łajnem. Przez całą drogę podróżowali w mongolskiej eskorcie, dzięki której w karawanserajach mogli liczyć na wypoczęte bachmaty. Dyplomatycznie nic nie wskórali, chan ochrzcić się nie zamierzał, ale dla świadomości geograficznej wyprawa ta miała znaczenie przełomowe. W poważnych kręgach europejskich elit skończyły się jałowe rozważania o „państwie księdza Jana", które ukryte gdzieś w Azji przyjdzie z pomocą zagrożonej Jerozolimie. Szczegółowy, napisany po wojskowemu raport del Carpine'a odczarował Mongołów. Przestali być bestiami z piekła rodem pożerającymi chrześcijańskie płody. Dali się poznać jako ludzie z krwi i kości – to znaczy tacy, których da się zabić. Lekcje z owego raportu przyswoili sobie Leszek Czarny i król Węgier Władysław IV Kumańczyk, bijąc Tatarów w 1288 r. pod Starym Sączem.

Wilhelm z Rubruk w latach 1253–1255, Jan z Montecorvino w 1294 r., Jan z Marignolli w 1342 r. i słynna rodzina weneckich kupców o nazwisku Polo w drugiej połowie XIII w. Wszyscy oni docierali do Chin lub mongolskiego Karakorum. Wilhelm z Rubruk jako pierwszy stwierdził, że potwory nie istnieją, a Morze Kaspijskie jest śródlądowe. Marco Polo wrzucił hinduskich pigmejów do świata bajek. Inni wypowiadali się mniej kategorycznie. „Pytałem o potwory, ale żadnego nie znalazłem" – relacjonował Jan z Montecorvino. „Ras potworów nie ma, ale samotne monstra mogą żyć tu i ówdzie" – dodawał Jan z Marignolli. Jednostopi przykrywający się swoją wielką kończyną okazali się… Hindusami z parasolkami. Jan z Marignolli dla potwierdzenia swoich słów przywiózł nawet jedną ze sobą. Najbardziej rozczarowujący był jednak brak raju. W Azji go nie widziano, lecz Jan z Marignolli zaznaczał, że być może znajduje się on na Cejlonie.



Giovanni da Pian del Carpine u chana mongolskiego imperium FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Wiedza ta dostawała się do świadomości europejskiego społeczeństwa powoli. Na druk Europa musiała poczekać jeszcze 100 lat. Wciąż więc rysowano niedokładne mapy O-T. Relacje Wilhelma z Rubruk i Jana z Marignolli nie rozeszły się szeroko. Do naszych czasów dotrwało 80 manuskryptów Marca Polo. Wielki filozof Roger Bacon rozpowszechniał natomiast odkrycia del Carpine'a i twierdził, że antypody są zamieszkane. I on jednak przeszacował rozmiar Azji, a pomniejszył ocean światowy – to na tej zresztą koncepcji bazował 200 lat później Kolumb, optymistycznie wyobrażając sobie drogę do Indii.

Średniowieczny czytelnik wciąż jednak wolał czytać baśnie niż dyplomatyczne raporty. To dla niego napisano „Podróże Jana z Mandeville" o nie do końca wyjaśnionym autorstwie, zawierające obok opisu XIII-wiecznych odkryć elementy całkowicie baśniowe. Oddajmy na koniec głos Kolumbowi, aby uzmysłowić, że fantazja nie opuszczała nawet największych odkrywców. Po jednej ze swoich wypraw odkrywca Ameryki zanotował: „Doszedłem tedy do przeświadczenia, że ziemia nie jest okrągła, jak ją opisują, ale raczej ma kształt gruszki doskonale okrągłej z wyjątkiem miejsca, gdzie jej ogonek tworzy pewne wydęcie, albo jak gdyby to był pępek doskonale okrągły, który w pewnym miejscu miałby coś w rodzaju brodawki kobiecej piersi. To miejsce właśnie jest najwyższe i najbliższe nieba, znajduje się pod linią równika pośrodku tego Oceannego Morza na ostatnim krańcu Wschodu".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fc267a1cd



Winston Churchill, Franklin Delano Roosevelt i Józef Stalin w Jałcie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/UK NATIONAL ARCHIVES

Wywiad / Z Catherine Grace Katz, autorką książki „Córki Jałty”

rozmawia Piotr Włoczyk

Jałtańskie targi

– Prezydent Stanów Zjednoczonych uważał, że będzie w stanie zjednać sobie Stalina dzięki swojej charyzmie. Do tej pory działała ona na zwykłych obywateli oraz polityków USA, a nawet Churchilla – mówi amerykańska historyk

PIOTR WŁOCZYK: Winston Churchill stwierdził bez ogródek: „[gdybyśmy] szukali 10 lat, i tak nie znaleźlibyśmy na całym świecie gorszego miejsca niż Jałta”. Dlaczego więc to tam zorganizowano konferencję?

CATHERINE GRACE KATZ: Churchill jak zwykle w swoim stylu obrócił w żart szarą rzeczywistość: to była najlepsza z najgorszych opcji. Jałta była swego rodzaju kompromisem między aliantami. Stalin dobrze już rozumiał na tamtym etapie wojny, że w relacji z Wielką Brytanią i USA miał przewagę, a ponadto bardzo obawiał się opuszczać swoje państwo. Inna rzecz, że bał się podróży lotniczych, co eliminowało wiele opcji. Sowiecki przywódca przekonywał dodatkowo Roosevelta i Churchilla, że jego lekarze odradzają mu daleką podróż z uwagi na stan zdrowia.

W rzeczywistości sytuacja wyglądała tu dokładnie odwrotnie.

Tak, Stalin trzymał się jeszcze stosunkowo dobrze. To Roosevelt stał już nad grobem – niedługo przed wyjazdem na konferencję w Jałcie stwierdzono u amerykańskiego prezydenta chorobę, która oznaczała w tamtych czasach wyrok. A mimo to Roosevelt postanowił odbyć tak długą podróż, która najeżona była wieloma niebezpieczeństwami. Niszczyciel, na którego pokładzie prezydent dostał się na Maltę, mógł zostać zaatakowany przez U-Booty. Zarówno on, jak i Churchill musieli przelecieć z Malty na Krym nad okupowanymi przez Niemców wyspami. Obaj przywódcy bardzo chcieli się jednak spotkać osobiście ze Stalinem i byli gotowi na to ryzyko.

Kilka dekad wcześniej pałace, w których zatrzymały się delegacje aliantów, olśniewały gości. A jak te obiekty wyglądały w lutym 1945 r.?

eprasa.pl 2fc267a1cd

Pałac Liwadyjski, w którym ulokowano Roosevelta, był letnią rezydencją Mikołaja II. Nawiasem mówiąc, to na włoskim patio tego pałacu zrobiono bodaj najbardziej znane zdjęcie konferencji jałtańskiej. W lutym 1945 r. ten przepięknie wyglądający z zewnątrz pałac był w środku kompletną ruiną. Niemcy wywieźli stamtąd wszystko, co tylko dało się wynieść, łącznie z klamkami.

Sowieci mieli tylko trzy tygodnie na urządzenie wnętrz na nowo. Wykorzystano do tego luksusowe przedmioty z moskiewskich hoteli, m.in. z Metropolu, które przewiezione zostały pociągami na Krym. Brakujące wyposażenie dobrano z domów lokalnych mieszkańców, zabierając im nawet popielniczki czy wieszaki na płaszcze.



Pałac Liwadyjski FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MARCIN KONSEK

W książce opisuje pani zabawne historie, gdy w pałacach zajmowanych przez Amerykanów i Brytyjczyków najwyżsi notable i generalicja musieli grzecznie czekać w długich kolejkach do toalet, których było bardzo niewiele, biorąc pod uwagę wielkość delegacji. Oczywiście samym zainteresowanym, przywykłym do luksusów, na pewno nie było do śmiechu.

Pałace były zaprojektowane tak, by zapewnić luksus garstce ludzi. To nie były hotele, a w czasie konferencji obiekty te spełniały w gruncie rzeczy taką rolę. Notable byli upchani jak studenci w akademikach. Generałowie i marszałkowie polni dzielili w kilku jeden pokój. Najwyżsi dowódcy i ministrowie wysyłali do kolejek swoich podwładnych albo sami w nich czekali, wykorzystując ten czas na rozmowy o powojennym ładzie. Wszystko to niezbyt pasuje do dzisiejszych szczytów najpotężniejszych państwa świata…

Sowieci starali się zrobić jak najlepsze wrażenie na gościach, czego przykładem mogła być choćby propozycja zapewnienia im „ogrzewaczy łóżek". O co tu chodziło?

Ciężko stwierdzić, czy ta oferta była na serio czy był to jedynie żart w sowieckim stylu. „Ogrzewaczami łóżek" miały być… kobiety. Gdyby członkowie amerykańskiej i brytyjskiej delegacji wyrazili zainteresowanie, to jestem pewna, że sowieccy gospodarze szybko znaleźliby dla nich takie „ogrzewacze".

Czy Sowieci nie przesadzili przypadkiem ze środkami bezpieczeństwa? Alianci zachodni musieli być zszokowani, widząc, że przy drogach, którymi poruszały się delegacje, na wielokilometrowych odcinkach widać było niekończące się szeregi wartowników…

Nie mogło być inaczej, skoro człowiekiem, który nadzorował przygotowania do konferencji, był Ławrientij Beria. Wszystko kręciło się tam wokół bezpieczeństwa. NKWD przeczesało całą okolicę pod kątem „niepewnych elementów". Aresztowano i deportowano wielu mieszkańców tamtego regionu. Kolejne kręgi bezpieczeństwa wokół miejsc, gdzie przebywały delegacje, robiły piorunujące wrażenie.

W naszych czasach ochrona VIP-ów stara się być jak najmniej widoczna. Zdaje się, że w Jałcie „goryle" Stalina stawiali sobie odwrotny cel. Nawet najbliżsi współpracownicy Churchilla i Roosevelta, którzy musieli być doskonale znani NKWD, byli zmuszeni nieraz użerać się z ochroną i udowadniać, kim są. Dlaczego Beria postępował tak z aliantami ZSRS?

Bo mógł. To najprostsza odpowiedź. Sowieci chcieli pokazać, że mogą zmusić nawet najważniejszych członków obu delegacji do wylegitymowania się. Chodziło o pokaz siły. Z jednej strony Sowieci okazywali niebywałą gościnność, którą przez lata wspominali potem Amerykanie i Brytyjczycy, a z drugiej strony potrafili też zestresować gości takimi kontrolami, żeby nie poczuli się jednak zbyt pewnie. W tej trójce rządzili Sowieci i Stalin chciał się upewnić, że wszyscy to rozumieją.

Wspomniała pani, że Roosevelt był już wówczas umierający. Co mu dolegało?

Prezydent cierpiał na ostrą zastoinową niewydolność serca. Na tę chorobę nie było wówczas lekarstwa. Prawda na ten temat była ukrywana, nie wiedział o tym nawet… sam Roosevelt! A właściwie nie chciał za bardzo dociekać, co mu dolegało. Jedynymi ludźmi, którzy poznali diagnozę, byli prezydencki kardiolog i córka Roosevelta Anna.

Ta ostatnia wprowadziła się do Białego Domu z synem, gdy jej mąż, który był wojskowym, został wysłany w rejon Morza Śródziemnego. Bardzo niepokoiły ją wygląd ojca oraz to, że zdawał się być często pozbawiony energii. Roosevelt w końcu uległ jej namowom i pozwolił się przebadać. W tamtym czasie niewiele wiedziano na temat jego choroby, ale jasne było, że prezydent niedługo umrze. Co najwyżej można było spróbować „urwać" dla niego trochę więcej czasu, zmieniając jego dietę i zapewniając mu dużo czasu na odpoczynek. Zalecenie lekarza jasno określało, że pacjent nie powinien pracować więcej niż cztery godziny dziennie. Prezydent mocarstwa toczącego wojnę na dwóch frontach musiał w ostatnim jej etapie pracować na pół etatu! Anna wdrażała w życie zalecenia lekarza, co jednak powodowało ból głowy u najbliższych współpracowników prezydenta.

Co ma pani na myśli?

Córka decydowała przykładowo, który sekretarz czy generał może się spotkać

eprasa.pl 2fc267a1cd

z ojcem, które tajne dokumenty trafią na jego biurko, a które nie… Roosevelt na tyle dobrze oceniał jednak pomoc córki, że postanowił zabrać ją na konferencję w Jałcie, mimo że nie pełniła przecież żadnej oficjalnej funkcji, w przeciwieństwie choćby do Sary Churchill, która służyła w wojsku i mogła w tych sprawach doradzać ojcu. Dla Anny Jałta była czymś w rodzaju podróży pożegnalnej z ojcem.

Ten zdrowotny sekret był jednak bardzo trudny do ukrycia. Każdy, kto widział Roosevelta z bliska, mógł zauważyć, że jest już cieniem samego siebie.

Pozostali przywódcy zainteresowali się tym tematem. Lekarz Churchilla zrobił tu nawet małe śledztwo. Stalin usłyszał plotki o problemach Roosevelta i wysłał kilku lekarzy, by przyjrzeli się z bliska prezydentowi USA i spróbowali ocenić, co mu dolega. Jak wiemy, Jałta faktycznie była dla Roosevelta pożegnalną podróżą, ponieważ zmarł zaledwie osiem tygodni później.

Częściowo opowiedziała już pani o głównych bohaterkach swojej książki. W naszej rozmowie nie padło jednak jeszcze nazwisko trzeciej z nich. Kim była Kathleen Harriman?

Bardzo wpływową osobą w ambasadzie USA w Moskwie. Jej ojciec, Averall, był ambasadorem i choć ona sama nie była dyplomatą, to bez grama przesady można ją nazwać wiceambasadorem Stanów Zjednoczonych w ZSRS. Harrimanowie byli jedną z najbogatszych rodzin w Ameryce. To była dosyć niestandardowa relacja ojca z córką, bardziej koleżeńska i bez typowego ciepła. Kilka lat wcześniej Kathleen przeniosła się z ojcem z USA do Londynu. Averall odpowiadał wtedy za nadzorowanie programu Lend-Lease, a jego córka była reporterką wojenną. W Moskwie Kathleen była w zasadzie jedyną osobą w ambasadzie, której Averell mógł zaufać.

To nie były po prostu córeczki ważnych tatusiów, które poleciały sobie z nimi w fajną zagraniczną podróż. Każda z nich była na swój sposób oparciem dla ojca. To były mądre, świetnie przygotowane do swoich ról kobiety, dzięki którym ich ojcowie mogli się czuć komfortowo. Chodziło tu głównie o zaufanie, które w przypadku relacji ojciec – córka zazwyczaj jest wyjątkowo silne.



Franklin D. Roosevelt i Winston Churchill z córkami: Anną i Sarą (w mundurze)

FOT. FRANKLIN D. ROOSEVELT PRESIDENTIAL LIBRARY AND MUSEUM OF THE NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

Córka Churchilla, Sarah, była przed wojną aktorką. Po wybuchu konfliktu postanowiła bronić kraju i dołączyła do RAF, gdzie służyła w wywiadzie. Sarah była z ojcem na konferencji w Teheranie. Ponieważ doskonale pisała, Winston poprosił ją o opisanie nieoficjalnej części tego spotkania. Wiedział już, że kiedyś, podczas spisywania własnych wspomnień, przyda mu się taka „ściąga". Byli oni ze sobą w bardzo bliskich, ciepłych relacjach. Sarah doskonale rozumiała się z ojcem i oboje świetnie bawili się w swoim towarzystwie.

Tego samego nie da się chyba powiedzieć o Rooseveltach…

Z punktu widzenia Anny była to trudna relacja. Gdy była małą dziewczynką, jej ojciec miał dla niej dużo więcej ciepła. Wszystko zmieniło jednak polio i paraliż. Anna nie mogła już liczyć na tyle uwagi ze strony ojca i trafiła do szkoły z internatem. Przez całe późniejsze życie starała się odzyskać tę bliską relację, którą zapamiętała z dzieciństwa. Wyjazd do Jałty był więc dla niej niepowtarzalną okazją, by przeżyć coś niezwykłego ze swoim tatą. Co ciekawe, chroniąc go przed przeciążeniem pracą i stresem, Anna była nawet gotowa zamknąć drzwi do jego gabinetu przed samym Winstonem Churchillem, który chciał porozmawiać z jej ojcem na osobności, by uzgodnić wspólny front w negocjacjach ze Stalinem…



CATHERINE GRACE KATZ
„CÓRKI JAŁTY"
BO.WIEM

Roosevelt jednak ani myślał naradzać się na osobności z brytyjskim premierem. Dlaczego?

Na tym etapie wojny cele Roosevelta i Churchilla powoli się rozjeżdżały. Amerykański prezydent chciał rozmontowania imperium i uważał, że jego brytyjski kolega ma w tej sprawie staroświeckie podejście. Z drugiej strony coraz większą wagę przywiązywał do relacji ze Stalinem, którego państwo rosło w siłę i było już jasne, że Moskwa będzie rozdawała karty na znacznej części globu.

Roosevelt w Jałcie zamierzał przede wszystkim osiągnąć dwa cele. Po pierwsze, wciągnąć ZSRS do wojny z Japonią, by oszczędzić jak najwięcej amerykańskich żołnierzy. Po drugie, chciał zabezpieczyć swoją spuściznę dużo lepiej niż Woodrow Wilson. Projekt jego poprzednika – Liga Narodów – okazał się niewypałem, który nie był w stanie powstrzymać wybuchu kolejnej wojny. Roosevelt chciał więc, by jego pomysł na uregulowanie stosunków międzynarodowych przetrwał co najmniej pół wieku. Wiedział, że nic z tego nie wyjdzie, jeżeli ZSRS nie dołączy do ONZ. Churchill z kolei był dużo bardziej sceptyczny wobec Stalina. Wiedział, że jego słowo nie znaczy zbyt wiele. Zdawał sobie sprawę z tego, że bez wspólnego frontu alianci nie mają absolutnie żad-

eprasa.pl 2fc267a1cd



nych szans w negocjacjach ze Stalinem na temat przyszłości Polski.

Roosevelt jednak obawiał się, że wiadomości o takim spotkaniu dotrą do uszu Stalina, który uzna, że Anglosasi grają z nim nieczysto i knują za jego plecami. Amerykański prezydent nie chciał sobie zrażać przywódcy ZSRS i dlatego nie zdecydował się na prywatne spotkanie z nim, nawet po przypłynięciu na Maltę, skąd potem odlecieli na Krym.

Jak pani wyjaśnia ten dziwny stosunek Roosevelta do Stalina? To była naiwność czy brak wiedzy na temat natury państwa komunistycznego?

Myślę, że jedno i drugie. Prezydent USA uważał, że będzie w stanie zjednać sobie Stalina dzięki swojej charyzmie. Do tej pory działała ona na zwykłych obywateli USA, amerykańskich polityków, a nawet Churchilla. Nie rozumiał, jednak, że nic to nie da w relacjach ze Stalinem.



Kathleen Harriman

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/U.S. ARMY OFFICIAL PHOTOGRAPH

Roosevelt myślał, że Stalin to taki sam przywódca jak wszyscy inni na Zachodzie?

Tak, uważał, że można się z nim dogadać, że trzyma się umów, a jego intencje są jasne. Nie oznacza to jednak, że w USA nie było wówczas ludzi, którzy rozumieli, czym jest ZSRS. Przykładowo George Kennan, zastępca Harrimana w ambasadzie USA w Moskwie, przestrzegał sekretarza Stanu, że relacje osobiste z sowieckimi dygnitarzami nie mają żadnego wpływu na politykę zagraniczną ZSRS.

Obawiam się jednak, że nawet gdyby Roosevelt był najlepiej przygotowany do rozmów ze Stalinem, to fakt, że Sowieci mieli wojska w całej Europie Wschodniej, sprawiał, że to oni negocjowali z pozycji siły i nic nie mogło zmienić ich planów. Alianci zachodni musieliby pójść z nim na wojnę, by zapewnić wschodniej części kontynentu wolność.

Churchill musiał być w Jałcie potwornie sfrustrowany stanowiskiem Roosevelta w sprawie Polski...

To prawda. Tę frustrację wyrzucał z siebie podczas nocnych rozmów ze swoją córką. Szczególnie irytowało go to, że Roosevelt zdawał się wierzyć zapewnieniom Stalina na temat wolnych wyborów w Polsce.

A czy to nie jest przypadkiem tak, że Roosevelt po prostu nie za bardzo interesował się Polską?

Zdaje się, że amerykański prezydent wychodził z naiwnego założenia, że wystarczy tylko powołać ONZ i takie problemy jak np. wolne wybory w Polsce, zostaną rozstrzygnięte po wojnie przez społeczność międzynarodową. Dla niego najważniejsze było wciągnięcie ZSRS do wojny z Japonią i utworzenie ONZ. Cała reszta nie odgrywała w jego przekonaniu aż tak dużej roli.

Rozmawiając o sowieckich negocjacjach, nie można nie wspomnieć o wódce. Jak patrzyli na to Anglosasi?

Ze strony amerykańskiej na takie morze wódki gotowi byli chyba tylko Harrimanowie. Nie mówię tu o fizycznym przygotowaniu, tylko mentalnym – reszta delegacji chyba nie do końca rozumiała, jak wyglądają rozmowy z Sowietami. Każdy musiał sobie z tym radzić, jak umiał. Przykładowo Anna Roosevelt wylewała podczas bankietów część swojego przydziału wódki do doniczek i uzupełniała brak zwykłą wodą. Właściwie można uznać wódkę za kolejną metodę ustawiania partnerów (śmiech). Kolejne toasty i presja, by pić dalej, musiały przerażać niejednego Amerykanina czy Brytyjczyka!

Wygląda na to, że w Jałcie, pół roku po Powstaniu Warszawskim, ambasador Harriman nie miał już większych złudzeń co do Sowietów. Co w jego percepcji Moskwy zmienił zryw w stolicy Polski?

Przed powstaniem Harriman sądził, że da się z Sowietami normalnie współpracować. Jednak lato 1944 r. w Warszawie kompletnie zmieniło podejście Harrimana. Ambasador nie mógł przeżyć, że Armia Czerwona czeka u bram stolicy, biernie przyglądając się, jak Polacy mordowani są przez Niemców. Harriman zabiegał o spotkanie z Rooseveltem, by przekonać go, że Stalin nie ma dobrych intencji. Prezydent jednak przekładał spotkanie, bo wiedział, co usłyszy. Gdy w końcu nie miał wyboru i musiał przyjąć Harrimana, nie chciał go słuchać. Ambasador niepokoił się polityką prezydenta i uważał, że Roosevelt nie da sobie rady w Jałcie ze Stalinem. I niestety miał rację.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Catherine Grace Katz jest historykiem z Chicago, ukończyła studia historyczne na Uniwersytecie Harvarda. „Córki Jałty. Sarah Churchill, Anna Roosevelt, Kathleen Harriman i kulisy wielkiej polityki" to jej debiutancka książka.

eprasa.pl 2fc267a1cd



XVI w. / Yasuke i głowa Nobunagi

Misja czarnego samuraja



Łukasz Czarnecki

Były niewolnik z Afryki stał się w niesamowitych okolicznościach ulubionym przybocznym jednego z najpotężniejszych Japończyków. Jego ostatnia misja przeszła do historii

Pewien europejski podróżnik, odwiedziwszy Japonię w drugiej połowie XVI w., zanotował: „W żadnym kraju koło Fortuny nie obraca się tak szybko, jak tu". Pogrążony od dziesięcioleci w krwawej wojnie domowej Kraj Kwitnącej Wiśni był w tym czasie sceną zarówno spektakularnych triumfów, jak i katastrofalnych porażek. Dawne rody o chwalebnej przeszłości ulegały zagładzie, a ambitni prowincjusze sięgali po władzę. Z burzliwego okresu Sengoku pochodzi wiele niesamowitych opowieści. Żadna z nich nie jest jednak równie fascynująca jak losy Yasuke – czarnoskórego wojownika mianowanego samurajem przez najpotężniejszego człowieka ówczesnej Japonii.

Historia Yasuke jest niezwykła z wielu powodów. Był on pierwszym odnotowanym przez źródła obcokrajowcem przyjętym do klasy samurajskiej (słynny Anglik William Adams był od niego o całe pokolenie młodszy). Co więcej, nasz bohater karierę zaczynał jako niewolnik, tym większym zaszczytem było zatem wyniesienie go na pozycję wasala klanu Oda. Wreszcie każdy, kto wie, jak pełne uprzedzeń i prymitywnego rasizmu jest w XXI w. podejście mieszkańców krajów Dalekiego Wschodu do osób czarnoskórych, musi zdawać sobie sprawę, jakim ewenementem w dziejach Japonii było osiągnięcie tak wysokiego statusu społecznego przez Afrykańczyka. W następnych stuleciach niektórzy Japończycy mieli zresztą z tym faktem problem, słynny pisarz powieści historycznych Endō Shusaku, wspominając o Yasuke w jednej ze swych książek, nie ukrywał odczuwanej doń rasistowskiej pogardy. Trudno nie oprzeć się zatem wrażeniu, że skorzy do skrajnego okrucieństwa XVI-wieczni przodkowie dzisiejszych mieszkańców archipelagu pod niektórymi względami byli o wiele bliżsi ideałom tolerancji niż ich potomkowie.

W służbie jezuitów

Historia japońskich przygód naszego bohatera zaczyna się w... Indiach. A dokładniej w portugalskim Goa, skąd w 1579 r. wyruszył ku Japonii galeon wiozący na swym pokładzie grupę duchownych z Towarzystwa Jezusowego. Nie byli to zresztą „zwykli" księża. Na czele kompanii stał bowiem Alessandro Valignano – sam wizytator Indii, namiestnik papieski, którego duchowa władza rozciągała się od wybrzeży Morza Czerwonego do Kraju Wschodzącego Słońca.

Valignano był postacią o niezwykle ciekawym życiorysie. W młodości nic nie zapowiadało, że wyrośnie zeń oddany sługa Kościoła. Wręcz przeciwnie, na studiach prawniczych dał się poznać jako hulaka i chuligan. Nieustanne burdy, których ukoronowaniem było pocięcie nożem twarzy kochanki, doprowadziły

eprasa.pl 2fc267a1cd



Portugalskie statki przybywają do Nagasaki
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MNAA MUSEU NACIONAL DE ARTE ANTIGA

przyszłego wizytatora Indii do rzymskiego więzienia. Siedząc w wilgotnym lochu, Alessandro miał dużo czasu, by przemyśleć swoje życie, i kiedy wyszedł w końcu na wolność, wstąpił w szeregi zakonu jezuitów. Po dekadzie pokuty i ciężkiej pracy nad sobą, już jako zupełnie nowy człowiek, został wysłany na Daleki Wschód, by reprezentować samego papieża i nadzorować pracę katolickich misji w Azji. Ze wszystkich ziem podległych jego władzy najbardziej polubił Japonię i to właśnie nad nawróceniem Kraju Kwitnącej Wiśni na katolicyzm pracował najciężej, stosując środki, które niekiedy budziły poważne kontrowersje. Na rozkaz wizytatora jezuici starali się możliwie jak najbardziej wtopić w japońską kulturę, ich kościoły pod względem architektury i zdobnictwa przypominały bardzo buddyjskie świątynie. Z kolei nakazanie służącym w Japonii księżom żywienia się ryżem, wodorostami i owocami morza, czyli tym, co jedli ich parafianie, przy wykluczeniu z diety mięsa, na które Japończycy kuso patrzyli z racji buddyjskich nauk, doprowadziło do gwałtownych protestów. Wizytator pozostał jednak nieugięty, a braciom nakazał traktować nowy sposób żywienia jako praktykę pokutną.



Alessandro Valignano FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Yasuke FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ANTHONY AZEKWOH/CC BY-SA 4.0

W roku 1579 Valignano opuścił należący do Portugalii indyjski port w Goa i pożeglował ku Archipelagowi Japońskiemu, by na miejscu osobiście nadzorować pracę misjonarzy. Wizytator dobrał sobie grono współpracowników, a także zatrudnił w charakterze ochroniarza ogromnego czarnoskórego wojownika – Yasuke.

Pochodzenie naszego bohatera okrywa mgła tajemnicy. Najprawdopodobniej urodził się na wschodnim wybrzeżu Afryki i jako młody chłopiec został porwany przez handlarzy niewolników, którzy wywieźli go do Indii. Tamtejsi możnowładcy chętnie tworzyli w swych armiach oddziały złożone z czarnoskórych niewolników przyuczonych do wojaczki. Część z owych indyjskich janczarów z czasem odzyskiwała wolność dzięki swoim zasługom. Czy Yasuke był jednym z nich? Nie wiadomo. Mógł zarówno zostać sprzedany jezuitom przez dotychczasowego właściciela, jak i być wolnym najemnikiem, który zatrudnił się u cudzoziemców z własnej woli. W każdym razie relacje, które później o nim powstały, świadczą, że na ochroniarza najważniejszego hierarchy katolickiego Dalekiego Wschodu Yasuke nadawał się idealnie. Wedle zachowanych źródeł cechować miały go zarówno ogromny wzrost, jak i wprost proporcjonalna do niego siła. Swymi rozmiarami budził respekt drobnych Japończyków, a służba w armii indyjskiego księcia, którą miał za sobą, czyniła zeń eksperta od zabijania. Cechowała go również odwaga i lojalność, których dowieść miał w trakcie pobytu w Japonii.

Po dotarciu na wyspy Valignano i jego świta udali się do Nagasaki, które wskutek donacji dokonanej na rzez jezuitów przez miejscowego dajmio (pana) znajdowało się pod władzą misjonarzy z Europy. Przybysze zamieszkali w siedzibie tutejszej misji, a wizytator Indii rzucił się w wir pracy. Yasuke prawdopodobnie podążał za swym pracodawcą jak cień, starając się zapewnić mu bezpieczeństwo. Wiemy też, że pod koniec pierwszego roku pobytu w Japonii wystąpił przed mieszkańcami Nagasaki w jasełkach, w których zagrał jednego z trzech króli. Ponadto można założyć, że pilnie uczył się japońskiego, bo gdy dwa lata później stanął przed obliczem Ody Nobunagi, mówił już płynnie w tym języku.

Człowiek barwy tuszu

Podczas gdy Valignano i jego ludzie dwoili się i troili, by pozyskać jak najwięcej dusz, w Kraju Kwitnącej Wiśni zachodziły wielkie zmiany. Wspomniany Oda Nobunaga – dajmio prowincji Owari – systematycznie podbijał kolejne ziemie. Ten ambitny prowincjusz, a zarazem wojskowy geniusz wyeliminował niepokonane dotąd klany Takeda i Uesugi, zniszczył sektę Ikkō i zajął Kioto, skąd wypędził ostatniego szoguna rodu Ashikaga. Jezuici wprost uwielbiali go za nienawiść, którą okazywał on buddyzmowi (rzecz

eprasa.pl 2fc267a1cd



Oda Nobunaga FOT. COMMONS WIKIMEDIA

w Japonii bardzo dziwna) i wsparcie okazywane misjonarzom. Sam Oda bynajmniej nie zamierzał się chrzcić i wprost głosił, że żadnych bogów – czy to rodzimych, czy cudzoziemskich – w ogóle nie ma. Jego alians z jezuitami był z jednej strony spowodowany zapotrzebowaniem na europejską broń palną, a z drugiej Nobunaga wykazywał prawdziwe zainteresowanie tymi dziwnymi ludźmi przybywającymi do jego ojczyzny z drugiego końca świata.

Wczesną wiosną roku 1581 do Nagasaki dotarły wieści o szykowanej przez Odę Nobunagę wielkiej paradzie w Kioto, którą wódz zamierzał uczcić dotychczasowe sukcesy (kontrolował już prawie połowę kraju), jak i symbolicznie oddać hołd cesarzowi, przed którym miał przemaszerować na czele swych sił. Valignano uznał wydarzenie za doskonałą okazję, by uzyskać u dyktatora nowe łaski dla swego zgromadzenia. Dlatego na czele orszaku zakonników i sług, obciążonych bogatymi darami, wśród których znalazł się pięknie rzeźbiony tron, podążył do nominalnej stolicy cesarstwa.

27 marca wizytator Indii i jego ludzie wjechali do Kioto. Miasto pełne było przybyszów z całego cesarstwa, pragnących zobaczyć na własne oczy manifestację siły klanu Oda. Orszak przedzierał się przez zatłoczone ulice, ale wkrótce ojciec Alessandro zauważył coś dziwnego – ścisk wokół niego i jego ludzi robił się coraz większy i większy. Z mijanych ulic wylewały się liczne tłumy i pędziły na oślep w kierunku przybyszów z Europy. Co gorsza, tłuszcza wykazywała nadzwyczajne podniecenie, ludzie wskazywali sobie na obcokrajowców palcami i głośno krzyczeli. Valignano rozejrzał się dookoła i ku swemu przerażeniu odgadł, co się stało. Jadący w ślad za nim Yasuke był dla wszystkich tych Japończyków pierwszym widzianym na oczy czarnoskórym człowiekiem i wzbudził wśród nich ogromną sensację! Ludzie tłoczyli się i napierali na jezuitów, wyciągając ręce w kierunku Afrykańczyka, niektórzy nawet łapali go za poły ubrania i gwałtownie szarpali. Jasne stało się, że za chwilę może wybuchnąć tumult, a wówczas Valignano i jego ludzie zostaną zadeptani na śmierć!

Przerażona drużyna rzuciła się naprzód i po heroicznej walce dobrnęła cudem do kościoła stołecznej misji. Orszak schronił się w świątyni, jednak azyl okazał się złudny. Wieści o pojawieniu się w mieście czarnego olbrzyma zatoczyły już szerokie kręgi i tysiące gapiów zgromadziły się przez budowlą. Najodważniejsi z nich zaczęli wspinać się na dach, inni szturmowali drzwi i okna, wyglądało na to, że ochroniarz wizytatora Indii miast chronić życie swego pryncypała, sprowadził na niego zgubę. Szczęśliwie jednak przed świątynią rozległy się stukot końskich kopyt i ostre wrzaski nakazujące tłumowi się rozejść. Na miejsce zbiegowiska przybyli samurajowie klanu Oda i przywrócili porządek. Gdy na zewnątrz zrobiło się już cicho, hierarcha opuścił kościół, by podziękować dowódcy oddziału. Ku jego zaskoczeniu ten prawie całkowicie go zignorował, wskazał palcem Yasuke i oświadczył, że Oda Nobunaga usłyszał, iż w mieście pojawił się człowiek o czarnej skórze, i chce zobaczyć to cudo.

Valignano prawdopodobnie zupełnie inaczej wyobrażał sobie pierwsze spotkanie z Odą Nobunagą… Przywódca Kościoła na Dalekim Wschodzie i jego ochroniarz stanęli więc przed obliczem władcy. Nobunaga, podobnie jak wcześniej jego ludzie, niewiele poświęcił uwagi hierarsze, za to na Yasuke patrzył z fascynacją. Jako że kolor skóry jego gościa skojarzył mu się z tuszem używanym przez Japończyków do kaligrafii, władca uznał, że jak nic dziwnego olbrzyma pomalowano tą substancję. Nakazał więc Afrykańczykowi rozebrać się do pasa, a służbie przynieść misę z ciepłą wodą i ręcznik. Dyktator zamoczył szmatkę w wodzie i osobiście próbował zetrzeć domniemaną czarną farbę z torsu Yasuke. Im jednak mocniej szorował, tym bardziej rosło jego zdumienie.

W końcu Nobunaga pojął, że kolor ciała Afrykanina jest cechą mu przyrodzoną, a nie jakimś dowcipem. Zadumany spytał Yasuke, czy tam, skąd pochodzi, wszyscy są tak samo czarni jak on. Nasz bohater odrzekł płynną japońszczyzną, że jeśli chodzi o kolor skóry, to, owszem, jego ziomkowie dzielą go z nim, ale nie ma wśród nich drugiego takiego przystojniaka jak on. Odę ta odpowiedź setnie ubawiła. Zaczął zadawać Afrykańczykowi kolejne pytania, a gdy dowiedział się, że jego rozmówca jest żołnierzem, od razu znaleźli wspólny temat do rozmów. Na koniec audiencji dyktator obdarował Yasuke stanowiącym małą fortunę sznurem monet i wydał na jego cześć ucztę.

Samuraj klanu Oda

Następne spotkanie ojca Valignano z Nobunagą miało już bardziej formalny charakter i ku swemu zadowoleniu tym razem jezuita grał w nim główną rolę. Udało mu się uzyskać nowe przywileje dla Towarzystwa Jezusowego i zaskarbić sobie sympatię władcy za pomocą przywiezionych do Kioto darów. Wśród nich znalazł się jeden żywy. Wiedząc, że fascynacja dyktatora Afrykaninem nie osłabła, wizytator Indii jako dodatkowy prezent dorzucił do puli naszego bohatera.

Tym samym Yasuke znalazł się wśród sług Ody. Po wojskowej paradzie w stolicy udał się ze swym nowym panem do jego głównej siedziby – zamku Azuchi. Tu ulokowano go w wygodnej komnacie, a Nobunaga raz za razem wzywał go, by z nim rozmawiać. Razem spacerowali po zamku i jego ogrodach, a w trakcie tych spacerów Afrykańczyk opowiadał dajmio o swoich przygodach w Indiach. Pomiędzy obydwoma mężczyznami zaczęła

eprasa.pl 2fc267a1cd

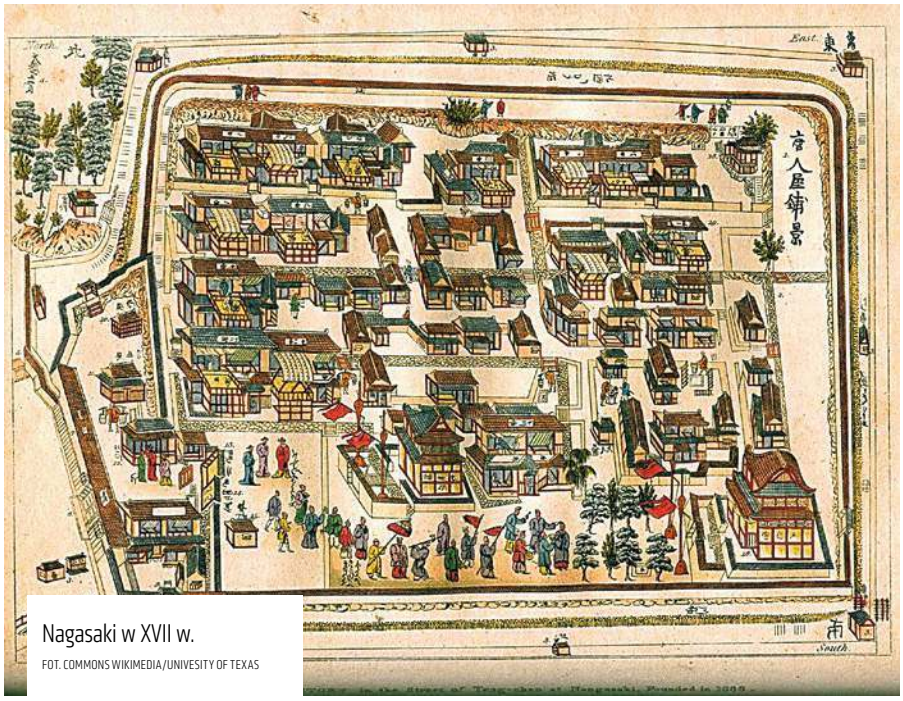
się tworzyć więź i wkrótce już wszyscy na zamku wiedzieli, że czarnoskóry olbrzym jest ulubieńcem dyktatora.

Pewnego dnia w trakcie przechadzki nastąpiło przełomowe wydarzenie. Oda zaprowadził Yasuke do zbudowanego niedawno domu. Ku zdziwieniu wiecznie obijającego się głową o sufit Afrykanina budynek został zaprojektowany tak, by swobodnie poruszał się po nim ktoś jego rozmiarów. Ponadto w środku czekały nań dwa miecze. Nobunaga wręczył je naszemu bohaterowi, tym samym czyniąc zeń samuraja i lennika swego klanu. Od tej pory Yasuke nie był już półniewolnym sługą, lecz stał się członkiem japońskiej elity, czyli szlachcicem. Do tej pory nikt spoza Kraju Kwitnącej Wiśni nie dostąpił takiego zaszczytu! Co więcej, na tym łaski Ody bynajmniej się nie skończyły, Afrykanin został włączony do elitarnego korpusu paziów, którzy zawsze towarzyszyli władcy w jego podróżach. Porwany jako dziecko z rodzinnej wioski były niewolnik stał się zatem jednym z zaufanych przybocznych najpotężniejszego człowieka Japonii! I już wkrótce miał pokazać, że był tego godzien.

W czerwcu 1582 r. na zachodniej wyspie Kiusiu siły klanu Oda toczyły ciężkie walki z klanem Mori, odmawiającym uznania dominacji Nobunagi. W obliczu impasu na froncie dyktator postanowił wysłać na teatr działań wojennych posiłki w postaci liczącego 13 tys. ludzi korpusu pod wodzą gen. Akechiego Mitsuhidego. Sam planował dołączyć do żołnierzy po krótkim odpoczynku w stolicy. Tak więc Akechi pomaszerował na Zachód, a Nobunaga w towarzystwie garstki sług i zaledwie 30 samurajów, wśród których znalazł się też Yasuke, udał się do stolicy i zatrzymał w buddyjskiej świątyni Honno-ji.

Wieczorem 21 czerwca, gdy świta Ody kładła się do snu w świątynnych komnatach, nikt z jej członków nie spodziewał się, że nadchodząca noc będzie jedną z najbardziej dramatycznych w historii Japonii. Akechi Mitsuhide okazał się zdrajcą. Zamiast iść na Kiusiu, zawrócił swoje wojska i ruszył w kierunku Kioto. Znalazłszy się pod miastem, rozwinął swe szyki i otoczył Honno-ji, po czym dał rozkaz do ataku.

Nobunagę i jego ludzi obudziły okrzyki nacierających samurajów i wystrzały z muszkietów. Wódz, pojąwszy, że go zdradzono, i poznawszy tożsamość zdrajcy, wypadł na galerię świątyni i ubrany tylko w nocne białe kimono rzucał gromy na napastników, grożąc im zemstą. Grad kul zmusił go do wycofania się z powrotem do budynku.



Nagasaki w XVII w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/UNIVESITY OF TEXAS

Garstka przybocznych dyktatora stawiła heroiczny opór atakującym wrogom, ale z każdą upływającą chwilą było ich coraz mniej. Kiedy ludzie Akechiego podłożyli pod Honno-ji ogień, jasne stało się, że gra jest już skończona. Nobunaga w towarzystwie Yasuke i drugiego pazia udał się do nieobjętych jeszcze pożogą pomieszczeń i tam popełnił seppuku, po którym przyboczny uciął mu głowę. Ostatnie słowa dajmio skierowane były do Afrykanina, Oda nakazywał mu wziąć głowę i zanieść ją jego synowi i dziedzicowi – Nobutace, nocującemu w pałacu jednego z książąt cesarskiego rodu. Nasz bohater, owinąwszy w materiał przesyłkę, rzucił się w wypełnione dymem korytarze, cudem uniknął śmierci w płomieniach, a potem, co było jeszcze bardziej nieprawdopodobne, umknął żołnierzom Akechiego i zniknął w mrokach nocy. Tym samym stał się jedynym człowiekiem z klanu Oda, który przeżył tzw. incydent w świątyni Honno-ji.

Yasuke pozostał wierny swemu panu nawet po jego śmierci. Swoje posłannictwo wypełnił, zanosząc głowę do wskazanej mu rezydencji. Gdy Nobutaka ujął w dłonie czerep swego ojca, zapewne zapłakał gorzko, ale nie miał zbyt wiele czasu na rozpaczanie. Na podwórzec pałacu zaczęli się wlewać samuraje zdrajcy. Dziedzic klanu Oda wraz ze swymi ludźmi rzucili się do walki, lecz wobec przewagi wroga wkrótce polegli. I ponownie jedynym pozostałym przy życiu był nasz bohater. Bynajmniej nie z powodu tchórzostwa. Szalał wśród wrogów jak wściekły lew, ale ci w końcu przygnietli go swoją masą i obezwładnili. Na to, by zabić czarnoskórego olbrzyma, który w ich oczach jawił się demonem, zabrakło im już jednak odwagi. Zamiast tego zaprowadzili jeńca przed oblicze Akechiego Mitsuhidego.

Zdrajca, widząc pojmanego ulubionego przybocznego Nobunagi, nie zamierzał maskować swojej nienawiści do niego. Nazwawszy go czarnym zwierzęciem, nakazał odprowadzić do jezuickiej misji w Kioto i oddać go duchownym z Europy. I tak ponad rok po swoim pamiętnym wjeździe do stolicy Japonii Afrykanin z powrotem znalazł się w murach tutejszego kościoła. Jakie były jego dalsze losy? O tym historia już milczy…

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fc267a1cd



1919 r. / Krach planów Lenina

Krótka historia Litbiełu

Panorama Wilna, w 1919 r. przez kilka miesięcy stolicy marionetkowej Litewsko-Białoruskiej Republiki Rad

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Mikołaj Iwanow

Komuniści próbowali przymusowo integrować Litwinów, Białorusinów i Polaków w efemerycznej republice na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego

Polacy z Wileńszczyzny w czasie istnienia władzy bolszewickiej w Rosji i w Związku Sowieckim kilkakrotnie byli ofiarami różnorodnych eksperymentów komunistycznych. Ostatnia próba wykorzystania ich do ratowania upadającego ZSRS, podjęta w latach 1990–1991, ledwo nie doprowadziła do bratobójczej wojny. Władze na Kremlu, wykorzystując miejscowych komunistów Polaków, snuli plany założenia pseudoniezależnej Polskiej Republiki Sowieckiej na Wileńszczyźnie w celu oderwania Wilna od Litwy i postawienia przeszkody nie do pokonania na drodze ku niepodległości Litwy. Nie była to pierwsza komunistyczna próba wykorzystania polskości kresowej w walce z dążeniami niepodległościowymi narodów tej części Europy: Litwinów, Białorusinów i Polaków.

Próba wykorzystania wieloletniego konfliktu polsko-litewskiego jest zakorzeniona w istocie bolszewizmu. Zarówno Marks, jak i jego następca Lenin byli zwolennikami budowy ustroju komunistycznego w ramach wielkiego wielonarodowościowego państwa. Lenin poświęcił temu zagadnieniu pracę „O haśle Zjednoczonych Stanów Europy", w której próbował uzasadnić konieczność stworzenia „komunistycznego imperium w granicach całej Europy".

Ruch bolszewicki, który na początku stulecia wyłonił się z rosyjskiej socjaldemokracji, stał się wyrazem skrajnie radykalnych dążeń i bezkompromisowej walki wielu pokoleń rewolucjonistów wszystkich narodowości imperium. Połączenie zachodniego komunizmu naukowego (marksizmu) i rosyjskich tradycji powstańczych (buntarskich) i rewolucyjnych okazało się skutecznym środkiem walki z caratem, zakończonej w 1917 r. triumfem w wyniku jednej z najbardziej krwawych rewolucji w historii ludzkości.

Bolszewizm, będąc ruchem totalitarnym, przyznawał sobie monopol na wiedzę o sposobach rozstrzygania podstawowych problemów ludzkiej egzystencji. Uznał więc również, że w sposób „najbardziej demokratyczny" i skuteczny potrafi rozwiązać raz na zawsze wszystkie skomplikowane problemy narodowościowe Rosji.

Koncepcja Lenina

Leninowska koncepcja rozwiązania kwestii narodowościowej w imperium rosyjskim, mimo że z trudem zyskiwała poparcie kierownictwa partii, została przyjęta jako jej program. Z dużym uproszczeniem można powiedzieć, że sprowadzała się ona do deklaratywnego uznania prawa każdego narodu do samostanowienia, w tym także do utworzenia własnego niepodległego państwa. Lenin nie był jednak zwolennikiem bezwarun-

eprasa.pl 2fc267a1cd

kowego stosowania owego prawa. Gdy interesy narodowe i interesy klasowe zaczynały ze sobą kolidować, pierwszeństwo otrzymywały te ostatnie. Oznaczało to, że prawo do samostanowienia zostało podporządkowane celom walki klasowej proletariatu. Lenin nie rezygnował z tezy, że wielkie wielonarodowościowe państwo stanowi ideał z punktu widzenia zadań budownictwa socjalistycznego, aczkolwiek – wyjaśniał – w nowych warunkach społecznych jedność narodowościowa może być budowana tylko na podstawie jedności interesów klasowych proletariatu. Przewidywał, że nacjonalizm zniknie w wyniku zwycięstwa rewolucji socjalistycznej.

Wydarzenia polityczne, które nastąpiły po rewolucji październikowej 1917 r., stały się surowym sprawdzianem Leninowskich teorii, również w kwestiach narodowościowych. Realizm polityczny zmuszał przywódcę bolszewików do bieżącego korygowania jego teorii. Mimo że niektóre jej elementy zostały gruntownie zmienione, podstawowe założenia teoretyczne marksizmu-leninizmu w kwestii narodowościowej pozostawały bez zmian. Teoria marksizmu i praktyka przeobrażeń rewolucyjnych pierwszych lat porewolucyjnych nie szły w parze. Realizacja założeń programowych partii bolszewickiej napotykała olbrzymie trudności. Proces ułożenia stosunków bolszewików z poszczególnymi narodami i narodowościami byłego Imperium Rosyjskiego dokonywał się w niezwykle trudnych okolicznościach, wiązał się z wieloma komplikacjami politycznymi, powodował niekończące się dyskusje wewnątrzpartyjne. Jednak Lenin okazał się znakomitym taktykiem, zdolnym do skutecznego i elastycznego reagowania na zmiany koniunktur politycznych.

Niespodziewany rozmach niepodległościowych dążeń narodów nierosyjskich przekonał Lenina, że proklamowane przez niego prawo do samostanowienia stało się w warunkach wojny domowej bronią obosieczną. Stworzyło to wszakże partii bolszewików sposobność użycia jej w walce z przeciwnikami politycznymi. Warunkiem skutecznego zastosowania tej broni było odejście od niektórych dogmatycznych postulatów. Koncepcję dużego scentralizowanego wielonarodowościowego państwa zaczęto więc realizować nie przez utrzymywanie pod przymusem całości imperium, lecz przez ustanawianie pozornie niezależnej władzy miejscowych komunistów na terytoriach narodowych.



Vincas Mickevičius-Kapsukas FOT. WIKIPEDIA



Kazimierz Cichocki FOT. WIKIPEDIA

Rozpoczął się więc okres pospiesznego proklamowania niepodległych de iure republik sowieckich. Często opierały się one niemal wyłącznie na bagnetach Armii Czerwonej i nielicznych grupach miejscowych komunistów. Estońska Komuna Pracownicza, republiki sowieckie: Litwa, Łotwa i Ukraina (w jej wiejskich regionach, podczas wolnych wyborów do Wszechrosyjskiej Konstytuanty w grudniu 1917 r., bolszewicy uzyskali nie więcej niż 6 proc. ważnych głosów) – to tylko niektóre z powstałych w tym czasie rzekomo niepodległych republik.

Stosunki narodowościowe na terytorium byłego imperium rosyjskiego w okresie wojny domowej były tak skomplikowane, że trudno uważać za bezpodstawne nawet uproszczone stwierdzenia niektórych badaczy, uznające rewolucję październikową za „rewolucję mniejszości narodowych przeciw rosyjskiemu narodowemu rządowi carskiemu", a wojnę domową – za „wojnę poprzednio uciskanych i prześladowanych mniejszości zebranych w Armii Czerwonej przeciw białym, antybolszewickim Rosjanom".

Bez poparcia

Mimo dość znacznego udziału nie-Rosjan w partii komunistycznej bolszewicy prawie nigdzie na terytoriach narodowościowych nie mieli większego poparcia mniejszości nierosyjskiej ludności. Można sądzić, że jest to jedynie zewnętrznym przejawem dysproporcji w udziale różnych mniejszości narodowych w wydarzeniach rewolucyjnych. O ile wśród czołowych działaczy partii bolszewickiej nie-Rosjanie stanowili bez wątpienia bardzo duży odsetek, o tyle w środowiskach narodowych bolszewicy tworzyli wyraźną mniejszość. Nawet komuniści łotewscy, których oddziały wojskowe stanowiły gwardię Armii Czerwonej i którzy kilka razy uratowali władzę sowiecką, w swej ojczyźnie zetknęli się z otwartą wrogością. Po licznych porażkach oddziały te zostały zmuszone do wycofania się z terytorium Łotwy i przyznania się tym samym do klęski na swoim narodowym terenie. To samo, z niewielkimi poprawkami, można odnieść również do działalności komunistów polskich – Feliksa Dzierżyńskiego, Juliana Marchlewskiego, Feliksa Kona i innych. Na polskim gruncie narodowym poparcie dla nich było minimalne.

Decyzja zapadła w Moskwie

Koniunkturalizm niemający nic wspólnego z rzeczywistą realizacją podstawowych prawdziwych aspiracji narodowych poszczególnych narodów przejawił się wyraźnie w historii krótkiego

eprasa.pl 2fc267a1cd

istnienia tzw. Litewsko-Białoruskiej Sowieckiej Republiki Socjalistycznej (Litbieł). Proklamowano ją 27 lutego 1919 r., a rozwiązano 19 lipca 1919 r.

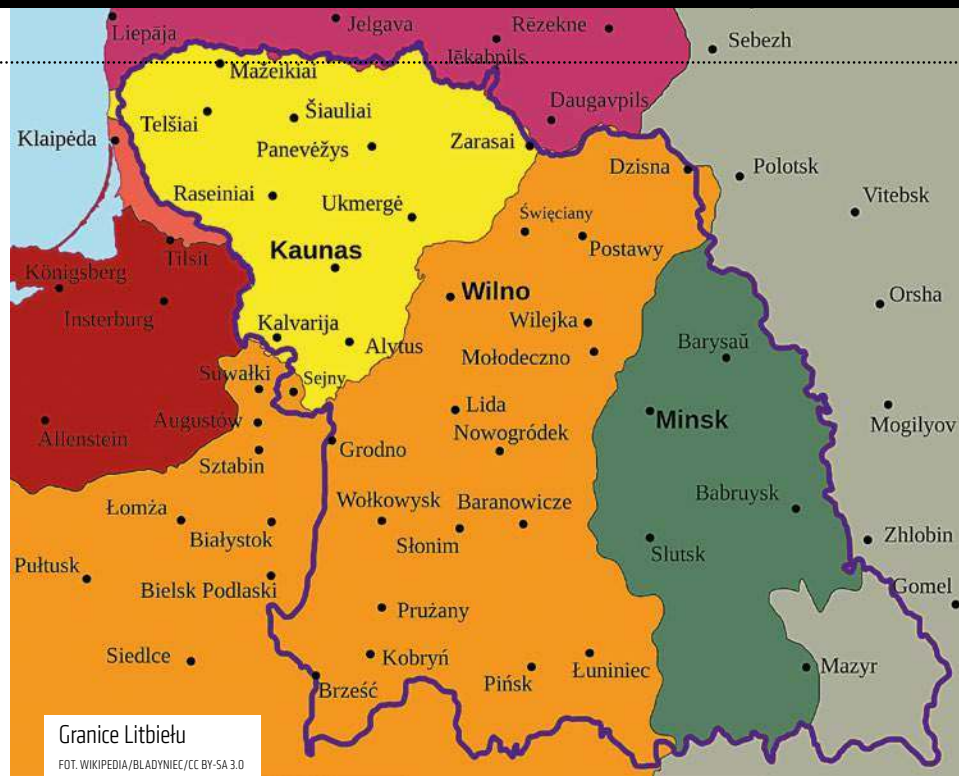
Decyzja o stworzeniu tego komunistycznego tworu państwowego zapadła nie na Litwie czy Białorusi, lecz w Moskwie. 19 stycznia 1919 r. na posiedzeniu Komitetu Centralnego Rosyjskiej Komunistycznej Partii (bolszewików), które odbywało się pod przewodnictwem Lenina, postanowiono zjednoczyć teoretycznie niezależne republiki sowieckie Litwy (proklamowano ją w grudniu 1918 r.) i Białorusi (proklamowana 1 stycznia 1919 r). Decyzje Biura Politycznego były obowiązkowe do wykonania przez lokalne struktury partii. Przypomnijmy, że zarówno białoruscy, jak i litewscy komuniści należeli do tej samej partii Lenina. Lokalne struktury tej partii nie miały żadnych praw autonomicznych.

O co chodziło Leninowi? Dlaczego zalewie po miesiącu od stworzenia tych komunistycznych republik wódz bolszewików zdecydował odrodzić Wielkie Księstwo Litewskie w komunistycznych barwach? Miał ku temu kilka powodów.

Po pierwsze, Lenin obawiał się odrodzonego państwa polskiego, które dążyło do odzyskania wszystkich ziem przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Chciał uniknąć bezpośredniego starcia Armii Czerwonej z Wojskiem Polskim. Fikcja w postaci Litewsko-Białoruskiej Sowieckiej Republiki Socjalistycznej mogła – na co miał nadzieję Lenin – wprowadzić w błąd Piłsudskiego i zatrzymać armię polską przed granicami tego pseudopaństwa i uratować w ten sposób władze bolszewików na Litwie i Białorusi.

Po drugie, Leninowi zależało na zwiększeniu terytorium Rosji bolszewickiej. Według jego planu prawie 60 proc. ziem białoruskich (gubernie smoleńska, witebska i mohylewska) wkrótce włączono do Rosji Sowieckiej. Lenin twierdził, że ten krok jest niezbędny w celu zachowania „części terytorium Polski przedrozbiorowej w składzie Rosji".

Po trzecie, przywódca bolszewików był przekonany, że wpływy partii bolszewickiej wśród Litwinów są minimalne. Litewski oddział partii bolszewickiej liczył w tym okresie zaledwie 800 osób, w większości nie Litwinów. Połączenie Litwinów z Białorusinami w jednym państwie mogło to poparcie dla bolszewików w nowej republice nieco zwiększyć.



Granice Litbiełu
FOT. WIKIPEDIA/BLADYNIEC/CC BY-SA 3.0

O zamiarach bolszewików świadczy tekst telegramu Jakowa Swierdłowa, przewodniczącego Centralnego Komitetu Wykonawczego Rosji bolszewickiej, do lidera litewskich komunistów w Wilnie Vincasa Mickevičiusa-Kapsukasa. Swierdłow proponował zwołanie wspólnego zjazdu Sowietów Litwy i Białorusi w celu proklamowania nowej republiki. „Przed tym – pisał – koniecznym jest na zjeździe Sowietów Białorusi, a później Litwy tą propozycje zatwierdzić... Komitet Centralny uważa, że podobne rozwiązanie najbardziej odpowiada celom naszej walki strategicznej i odpowiada koniunkturze międzynarodowej".

W celu przekonania przywódców Białorusi Sowieckiej o konieczności połączenia z Litwinami i odstąpienia Rosji wschodnich obwodów BSRS Swierdłow 1 lutego 1919 r. zawitał do Mińska. Na posiedzeniu białoruskiego KC stwierdził, że główny powód zjednoczenia polega na konieczności skutecznego przeciwstawienia się wielkomocarstwowym ambicjom odrodzonego państwa polskiego. „Jedność internacjonalistyczna narodów – podkreślił – będzie najlepszym narzędziem zwycięstwa komunizmu". Idee „komunistycznego WKL" poparto jednogłośnie.

Do przekonywania litewskich komunistów do zjednoczenia z Białorusinami skierowano polskiego komunistę, jednego z założycieli KPP – Stanisława Pestkowskiego. Jednak nie poszło mu łatwo. Przeciwko zjednoczeniu wystąpił jeden z liderów komunistów litewskich, Zigmontas Antanas Aleksa-Angarietis. Określił on planowane wspólne państwo litewsko-białoruskie sztucznym tworem, który nie wytrzyma próby czasu. Pestkowski jednak użył argumentu nie do obalenia: ideę Litbiełu zaproponował sam Lenin.

Mocni polscy komuniści

Zgodnie z decyzją Lenina zarówno na Litwie, jak na Białorusi przeprowadzono zjazdy Sowietów. Zjazd w Mińsku zatwierdził zjednoczenie 2 lutego, natomiast w Wilnie bolszewicy podjęli podobną decyzje 20 lutego. 27 lutego 1919 r. w Wilnie, którą proklamowano stolicą nowego państwa, utworzono rząd Litbiełu. Premierem Sowieckiej Socjalistycznej Republiki Litwy i Białorusi został Litwin Vinces Mickevičius, używający partyjnego pseudonimu Kapsukas. Praktycznie prawie wszyscy komisarze ludowi (ministrowie) nowego rządu wywodzili się z Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. Ponad połowę składu osobowego rządu stanowili Polacy, a wśród nich był

eprasa.pl 2fc267a1cd

przyszły pierwszy sekretarz KPP – Julian Leszczyński-Leński, który objął stanowisko ludowego komisarza oświaty, mimo, że nie znał ani języka litewskiego, ani białoruskiego. Tak samo jak drugi po Mickevičiusie-Kapsukasie najwyższy urzędnik rządu Litbiełu Kazimierz Cichowski. Piastował aż trzy funkcje: przewodniczącego Centralnego Komitetu Wykonawczego, przewodniczącego Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich i ludowego komisarza finansów. W rządowych strukturach na kierowniczych stanowiskach pracowali również inni znani komuniści polscy: Józef Unszlicht, Jakub Dolecki, Roman Pilar. Świadczy to o bardzo mocnej pozycji komunistów polskich, mimo że polskość nie była obecna w nazwie nowej republiki. Tak więc ten nowy twór państwowy można było nazwać Pollitbieł lub jakoś inaczej – Litbiełpol. Tym bardziej że Polacy stanowili znaczący odsetek ludności proklamowanej republiki.

Polityka rządu Litbiełu jak na krwawe czasy wojny domowej była w niektórych dziedzinach stosunkowo liberalna. Mickevičius-Kapsukas, będąc świadomy niszowego poparcia Litwinów dla komunistycznej władzy, sprzeciwiał się przymusowemu poborowi rekruta na wsi do Armii Czerwonej. Uważał, że może to jedynie jeszcze bardziej odizolować jego rząd od mas litewskich. Prosił Lenina, by ograniczyć pobór rekruta do armii sowieckiej. Jednocześnie dążył do swoistej lituanizacji swego rządu. Brakowało mu jednak komunistów Litwinów. Dlatego przyciągał do współpracy Litwinów związanych z innymi partiami lewicowymi.

Jednym z ministrów bez teki był socjaldemokrata Wacław Biržyszka, współpracownikiem komisariatu oświaty był jeden z inicjatorów litewskiego odrodzenia narodowego, Juozas Basanavičius, który jednocześnie był członkiem litewskiej Taryby (Litewskiej Rady Państwowej). Mickevičius-Kapsukas zaprosił również do współpracy znanego pisarza litewskiego, ks. Juozasa Tumasa-Waižgantasa należącego do Partii Postępu Narodowego. Wszystko po to, by zademonstrować przed Moskwą litewskie oblicze komunistycznego rządu. Proklamował on stworzenie republiki sowieckiej na terytorium 207 tys. km kw. z ludnością 7,5 mln osób. Rząd ten jednak nigdy nie kontrolował większości tego terytorium. Dotyczy to przede wszystkim Kowieńszczyzny i terenów Litwy północnej i wschodniej. Władza rządu Litbiełu kontrolowała częściowo jedynie Mińszczyznę i Wileńszczyznę.

W warunkach wojny polsko-bolszewickiej, która trwała od momentu wycofania się wojsk niemieckich z terenu dawnych kresów I Rzeczypospolitej, działania władz Litbiełu koncentrowały się przeważnie na sferze wojskowości. 16. armia Armii Czerwonej została przemianowana na armię Litewsko-Białoruskiej SRS. Jednak przeważali w niej Rosjanie, głównie byli carscy żołnierze. Litwinów i Białorusinów w armii Litbiełu prawie nie było. Bardzo niechętnie na posunięcia mobilizacyjne władz bolszewickich reagowała również polska ludność kresowa.

Od 8 marca do 15 kwietnia 1919 r. odbyło się 16 posiedzeń rządu Litbiełu. Pobieżna analiza stenogram tych posiedzeń pozwala na bardzo istotny wniosek. W wielu dziedzinach komuniści Litbiełu prawie dokładnie kopiowali posunięcia swych towarzyszy z Moskwy. Wprowadzono powszechny obowiązek pracy, który dotyczył przede wszystkim tzw. elementów burżuazyjnych. Zmuszano zamożniejszą część społeczeństwa do udziału w pracach społecznych. Prowadzono politykę tzw. komunizmu wojennego. Znacjonalizowano banki, środki transportu i większość zakładów przemysłowych, ziemie ogłoszono własnością narodu. Skasowano obrót pieniędzy, zakazano handlu prywatnego. Wprowadzono bardzo skomplikowany system kartkowy rozpowszechnienia dóbr. Na wieś skierowano tzw. prodotriady (oddziały dla konfiskaty produktów żywnościowych), które jednak nie były w stanie zabezpieczyć miast w produkty. Na wsi w rejonie Słucka, Mozyrza, Nieświeża rozpoczęły się powstania chłopskie. W odróżnieniu od rządu Lenina, który już w drugim dekrecie rządowym po zwycięstwie bolszewików ogłosił przekazanie ziemi chłopom, rząd Litbiełu postanowił skonfiskowane ziemie obszarników przekazać do specjalnego funduszu budowy kooperatyw komunistycznych. Ten krok jeszcze bardziej zniechęcił chłopów wobec bolszewickiej władzy. 10 marca 1919 r. uroczyście ogłoszono odnowienie działalności Uniwersytetu Wileńskiego, zamkniętego przez władze carskie po powstaniu styczniowym. Uniwersytet jednak z braku wykładowców pracował w bardzo ograniczonym zakresie.

W kwietniu 1919 r. sytuacja geopolityczna Litewsko-Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej stała się krytyczna. Wojsko Polskie rozpoczęło ofensywę na Wilno. 19 kwietnia po trzech dniach zażartych walk ulicznych stolica Litbiełu padła. Rząd Mickevičiusa-Kapsukasa przeprowadził się do Mińska, gdzie jeszcze przez jakiś czas kontynuował urzędowanie. Jednak 19 lipca 1919 r. w związku z coraz bardziej pogarszającą się sytuacją na froncie została podjęta decyzja o zaprzestaniu dalszej działalności rządu. Jego sprawy przekazano mińskiemu gubernialnemu komisarzowi wojskowemu. Było to przyznanie się do klęski idei komunistycznej na ziemiach byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego.



Józef Piłsudski dokonuje przeglądu wojsk po wyzwoleniu Wilna, kwiecień 1919 r.
FOT. NAC

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fc267a1cd

1939–1944 / Spadkobiercy Piłsudskiego i Śmigłego-Rydza

Piłsudczycy w powstaniu



Płonąca ulica Marszałkowska FOT. WIKIPEDIA



Marek Gałęzowski

Śmierć Zygmunta Hempla i Juliana Piaseckiego oraz rozbicie ich organizacji zapowiadały kres obozu politycznego piłsudczyków w kraju

Nie mamy żadnych złudzeń. Rosja sowiecka prze na nasze ziemie z planem już nie rozbioru Polski, ale jej sowietyzacji. Armia sowiecka nie jest armią wyzwalającą, lecz armią, której zadaniem jest podbić Europę [...]. Zmierza ona do wcielenia Polski do związku sowieckiego jako 17. republiki, do całkowitego pozbawienia nas Niepodległości, do zatraty wolności obywatelskiej [...], do wprowadzenia obcego Polakom komunizmu i – co za tym idzie – nędzy i zdziczenia".

W ten sposób, w przededniu wybuchu Powstania Warszawskiego, piłsudczycy podsumowali czynione od blisko trzech lat ostrzeżenia wobec zbliżającego się, w miejsce trwającej okupacji niemieckiej, nowego zniewolenia Polski. Zanim nastąpiło, ich obóz polityczny uległ rozbiciu, a dramatycznym epilogiem jego działalności w okupowanym kraju była śmierć na początku powstania, niemal dzień po dniu, przywódców dwóch największych tworzących go organizacji – najpierw szefa Obozu Polski Walczącej Juliana Piaseckiego, a krótko później Zygmunta Hempla, stojącego na czele Konwentu Organizacji Niepodległościowych.

Rodowód legionowy i peowiacki

Obaj liderzy piłsudczykowscy wywodzili się ze środowiska zarzewiackiego, od nazwy czasopisma „Zarzewie", które z kolei swój rodowód brało z narodowego Związku Młodzieży Polskiej. Hempel był w Legionach, a po kryzysie przysięgowym w Polskiej Organizacji Wojskowej; Piasecki – w POW; w czasie wojny z bolszewikami obaj służyli w tym samym 1. Pułku Piechoty Legionów Wojska Polskiego.

Urodzony w 1894 r. Hempel jeszcze jako uczeń włączył się w działalność niepodległościową – tworzył w zaborze rosyjskim struktury Polskich Drużyn Strzeleckich i organizował wyjazdy do zaboru austriackiego na szkolenia wojskowe PDS. Po wybuchu pierwszej wojny

eprasa.pl 2fc267a1cd

światowej służył w Oddziale Wywiadowczym późniejszej I Brygady. Zetknął się tam z czołowymi w międzywojniu piłsudczykami – Walerym Sławkiem i Stefanem Starzyńskim, a także wybitnym socjalistą Tomaszem Arciszewskim.

Już wówczas dał poznać swój niezłomny charakter. Na początku września 1914 r. dowódca oddziału Rajmund Jaworowski „Świętopełk" „zawiadomił nas, że nazajutrz odbędzie się przysięga [Austro-Węgrom]. Na wszystkich nas wywarło to przygnębiające wrażenie. Porywczy ob. Walipagórek [takiego pseudonimu używał Hempel, co miało być żartobliwym nawiązaniem do wybranego przez starszego brata, Stanisława, w Legionach oficera „Waligóry", a w przyszłości dyplomaty] zerwał się i oświadczył, że żadnej przysięgi Franciszkowi Józefowi składać nie myśli. Zanosiło się na akt niesubordynacji, który ob. Świętopełk zażegnał oświadczeniem, że my na przysięgę nie pójdziemy i że on sam złoży przysięgę za oddział wywiadowczy". Tak to wspominał Roman Starzyński.

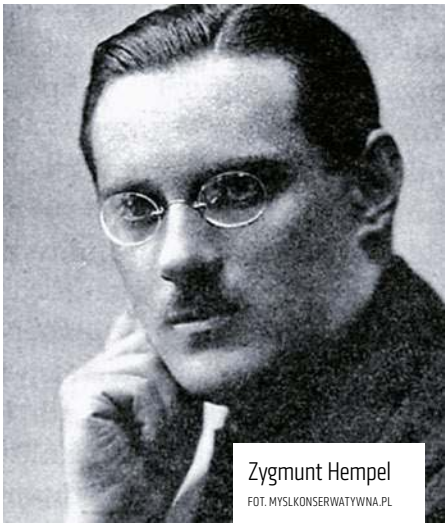
Kiedy po pewnym czasie oddział rozwiązano, Hempel wrócił na rozpoczęte przed wojną studia, by ponownie znaleźć się w Legionach w przededniu ich największej bitwy – pod Kostiuchnówką. W wojnie bolszewickiej cztery lata później jako oficer 1. pp Legionów odznaczył się męstwem, m.in. w czasie zdobywania Białegostoku.

Młodszy o dwa lata Julian Piasecki, absolwent jednej z najlepszych szkół warszawskich – gimnazjum Wojciecha Górskiego – oraz Politechniki Warszawskiej, przez całą pierwszą wojnę światową był związany z POW. Pokonał kolejne szczeble w jej hierarchii, od szeregowego żołnierza do dowódcy jednej z dwóch kompanii warszawskich POW. I to na jej czele pamiętnego 11 listopada wziął udział w zajęciu fabryki karabinów maszynowych Gerlach i Pulst na Woli, a następnie obsadził koszary ułanów pruskich przy ul. Koszykowej. Później zaś, jak inni z jego pokolenia, przerwał naukę i wstąpił do Wojska Polskiego.

Wziął udział w pierwszym powstaniu śląskim, a później w wojnie z bolszewikami. Mianowany oficerem, wykazał się szczególnym męstwem w czerwcu 1920 r., w rejonie Żytomierza; w boju o most pod Borodzianką jako dowódca kompanii ma-



Julian Piasecki FOT. NAC



Zygmunt Hempel
FOT. MYSLKONSERWATYWNA.PL

szerującej w straży tylnej 1. pułku został czterokrotnie ranny. Wyleczywszy się, zdążył jeszcze uczestniczyć w pogoni za Armią Czerwona, a w bitwie nad Niemnem na czele czteroosobowego patrolu wziął do niewoli kompanię bolszewików.

Kiedy skończyła się wojna, wrócił na studia, a po ich ukończeniu aż do wybuchu kolejnej był wykładowcą na Wydziale Inżynierii Lądowej Politechniki Warszawskiej, prowadził również wykłady z sygnalizacji kolejowej i urządzeń bezpieczeństwa oraz wojskowych kolejek wąskotorowych. Po ukończeniu Wyższej Szkoły Wojennej wykładał także na tej uczelni. Dyrektor nauk w tej szkole, płk Louis Faury, uzasadniając potrzebę zatrzymania w niej Piaseckiego jako asystenta, pisał: „Wybitny oficer pod każdym względem, inteligencja wyróżniająca się, umysł naukowy bardzo rozwinięty, logiczny w rozumowaniu, zdolny do syntezy, sąd zrównoważony, indywidualność wyraźnie zaznaczona, wielka siła i sumienność pracy [...]. Charakter stanowczy, silny i zdecydowany". A daleki od sympatii dla piłsudczyków Józef Kuropieska wspominał: „Major Piasecki pod względem wyrobienia taktycznego reprezentował poziom, z jakim do tej pory nie miałem okazji się spotkać. Wszystko, co mówił na tematy taktyczne, miało zawsze ręce, nogi i głowę. Jego omówienia były krótkie, pełne treści i wielce pouczające". Wybitne talenty Piaseckiego dostrzegł sam marszałek Józef Piłsudski, który nazywał go „Wzorowinką".

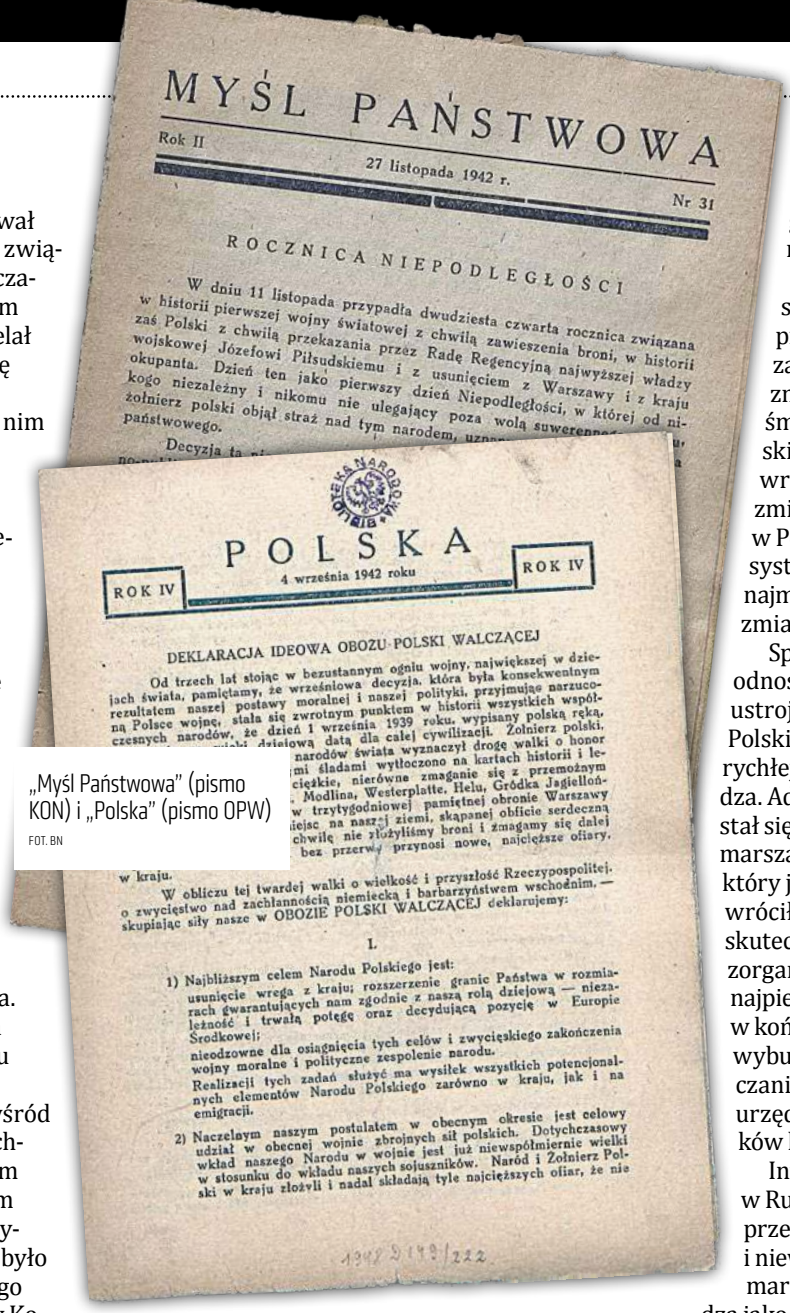
W 1933 r. Piasecki został wiceministrem komunikacji. Wśród jego osiągnięć była budowa nowych linii kolejowych, m.in. na trasie Warszawa – Kraków przez Tunel oraz elektryfikacja węzła kolejowego warszawskiego. Aktywność polityczną zaczął przejawiać dopiero po utworzeniu w 1937 r. OZN, kiedy objął funkcję szefa Biura Studiów i Planowania OZN, powołanego do opracowywania koncepcji w zakresie spraw gospodarczych, socjalnych i kulturalno-oświatowych. To wtedy został jednym z czołowych działaczy Obozu i jednocześnie bliskim współpracownikiem marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza.

W 1938 r. opublikował broszurę „O gospodarce planowej", w której omawiał zasady tworzenia systemu planowania państwowego, alternatywne wobec programu gospodarczego Eugeniusza Kwiatkowskiego. Dawny znajomy Piaseckiego, płk Stanisław Kopański, wspominał, że ten „był dobrym kolegą, skromnym i moralnym człowiekiem. Wyróżniała go zdolność do bardzo intensywnej i wydajnej pracy [...]. Nadzwyczaj szybka kariera ujemnie wpłynęła, jak mi się zdawało, na jego wartość. Stał się mniej dostępny dla dawnych kolegów, (osobiście) tego nie doświadczyłem, trochę zarozumiały i apodyktyczny. Był to dość częsty skutek szybkiego skoku przez szereg szczebli hierarchicznych organizacji państwowej, cywilnej lub wojskowej".

Demokracja czy autokracja?

Działalność Hempla w międzywojniu była nieporównanie skromniejsza

eprasa.pl 2fc267a1cd



MYŚL PAŃSTWOWA

Rok II — 27 listopada 1942 r. — Nr 31

ROCZNICA NIEPODLEGŁOŚCI

W dniu 11 listopada przypadła dwudziesta czwarta rocznica związana w historii pierwszej wojny światowej z chwilą zawieszenia broni, w historii zaś Polski z chwilą przekazania przez Radę Regencyjną najwyższej władzy wojskowej Józefowi Piłsudskiemu i z usunięciem z Warszawy i z kraju okupanta. Dzień ten jako pierwszy dzień Niepodległości, w której od niżołnierz polski objął straż nad tym narodem, uzn... państwowego.

Decyzja ta ni...

BIBLIOTEKA NARODOWA

POLSKA

ROK IV — 4 września 1942 roku — ROK IV

DEKLARACJA IDEOWA OBOZU POLSKI WALCZĄCEJ

Od trzech lat stoimy w bezustannym ogniu wojny, największej w dziejach świata, pamiętamy, że wrześniowa decyzja, która była konsekwentnym rezultatem naszej postawy moralnej i naszej polityki, przyjmując narzuconą Polsce wojnę, stała się zwrotnym punktem w historii wszystkich współczesnych narodów, że dzień 1 września 1939 roku, wypisany polską ręką, narodów świata wyznaczył drogę walki o honor ...mi śladami wytłoczono na kartach historii i le... ...ciężkie, nierówne zmaganie się z przemożnym ... Modlina, Westerplatte, Helu, Gródka Jagiellońw trzytygodniowej pamiętnej obronie Warszawy ...iejsc na naszej ziemi, skąpanej obficie serdeczną ...chwilę nie złożyliśmy broni i zmagamy się dalej ...bez przerwy przynosi nowe, najcięższe ofiary. w kraju.

W obliczu tej twardej walki o wielkość i przyszłość Rzeczypospolitej, o zwycięstwo nad zachłannością niemiecką i barbarzyństwem wschodnim, — skupiając siły nasze w OBOZIE POLSKI WALCZĄCEJ deklarujemy:

I.

1) Najbliższym celem Narodu Polskiego jest: usunięcie wroga z kraju; rozszerzenie granic Państwa w rozmiarach gwarantujących nam zgodnie z naszą rolą dziejową — niezależność i trwałą potęgę oraz decydującą pozycję w Europie Środkowej;
nieodzowne dla osiągnięcia tych celów i zwycięskiego zakończenia wojny moralne i polityczne zespolenie narodu.
Realizacji tych zadań służyć ma wysiłek wszystkich potencjalnych elementów Narodu Polskiego zarówno w kraju, jak i na emigracji.

2) Naczelnym naszym postulatem w obecnym okresie jest celowy udział w obecnej wojnie zbrojnych sił polskich. Dotychczasowy wkład naszego Narodu w wojnie jest już niewspółmiernie wielki w stosunku do wkładu naszych sojuszników. Naród i Żołnierz Polski w kraju złożyli i nadal składają tyle najcięższych ofiar, że nie

1942 D 142/222

„Myśl Państwowa" (pismo KON) i „Polska" (pismo OPW)

FOT. BN

niż Piaseckiego. Sympatyzował z częścią obozu piłsudczyków związaną z Walerym Sławkiem (z czasem przeciwnych zwolennikom Śmigłego-Rydza), ale nie udzielał się politycznie, poświęcając się pracy rolniczej w rodzinnym majątku ziemskim. W opinii o nim jako oficerze rezerwy pisano: „Charakter stały i wyrobiony o bardzo dużym poczuciu honoru i godności własnej. Ideowiec. Obowiązkowy i prawy, koleżeński, ambitny, o dużym poczuciu obywatelskim [...]. Bardzo duża inteligencja". Dał tym słowom wyraz w obronie Warszawy przed Niemcami we wrześniu 1939 r., jako adiutant dowódcy 360. pp, także legionisty, ppłk Jakuba Chmury. W natarciu na Okęcie został ciężko ranny w głowę i stracił oko; zginął wówczas także ppłk Chmura.

Odniesione obrażenia i kalectwo nie złamały Hempla. Zaraz po opuszczeniu szpitala wstąpił do Służby Zwycięstwu Polski. „Stał się ze spokojnego i dobrodusznego człowieka, wśród piłsudczyków jednego z najcichszych, odważnym, stanowczym i przedsiębiorczym działaczem podziemia" – wspominał Ferdynand Goetel. Dziełem Hempla było stworzenie podstaw przyszłego Biura Informacji i Propagandy Komendy Okręgowej Warszawa-Miasto ZWZ. Jednym z jego największych sukcesów ukazanie się 6 lipca 1940 r. pierwszego drukowanego numer „Biuletynu Informacyjnego" – zamiast dotychczas powielanych – przez całą wojnę głównego organu Armii Krajowej.

Znakomite osiągnięcie Hempla, który był także jednym z inicjatorów prowadzenia akcji małego sabotażu i twórcą komórki więziennej, utrzymującej kontakt z więzieniem Pawiak, nie zapobiegły usunięciu go wczesną wiosną 1941 r. z BIP, wraz z kilkoma innymi piłsudczykami. Wymogły to władze polskie na uchodźstwie, które w tak ciężkiej dla znajdującego się pod dwoma okupacjami kraju chwili, uznały za konieczne usunąć ludzi, od wczesnej młodość służących sprawie Niepodległej, nieodpowiadających też za błędy popełnione przed wojną przez rządzący krajem obóz sanacyjny.

Wkrótce Hempel, przyjąwszy pseudonim Łukasz, założył pismo „Myśl Państwowa", skupiając wokół niego innych piłsudczyków. Kiedy w końcu października 1941 r. do Polski wrócił marsz. Śmigły-Rydz, natychmiast nawiązał kontakt właśnie z nim. Hempel, początkowo bardzo wzruszony powrotem byłego Naczelnego Wodza, był ostatecznie rozczarowany spotkaniem. Rozmowa miała formę „ostrej wymiany poglądów [...]. Hempel przeciwstawił się niektórym założeniom koncepcyjnym Rydza-Śmigłego i wykazał ich niesłuszność".

Powodem sporu był stosunek do niedawnej przeszłości, to jest do zaostrzenia autorytaryzmu w okresie rządów po śmierci marszałka Piłsudskiego. Hempel odniósł wrażenie, że „Śmigły" zmierza do „przywrócenia w Polsce przedwojennego systemu rządzenia, bez najmniejszych retuszów czy zmian".

Spór ten, w istocie odnoszący się do kształtu ustrojowego powojennej Polski, nie zakończył się po rychłej śmierci Śmigłego-Rydza. Adwersarzem Hempla stał się następca zmarłego marszałka, Julian Piasecki, który jesienią 1941 r. również wrócił do kraju. Wcześniej skutecznie działał na rzecz zorganizowania komunikacji najpierw w czasie mobilizacji w końcu sierpnia 1939 r., a po wybuchu wojny – przemieszczania wojsk i ewakuacji urzędów oraz naprawy szlaków komunikacyjnych.

Internowany z rządem w Rumunii po kilku dniach przedostał się na Węgry i niewątpliwie z polecenia marszałka Śmigłego-Rydza jako jego najbliższy odtąd współpracownik rozpoczął działalność, mającą na celu odbudowę obozu piłsudczykowskiego w nowych warunkach okupacji. O ile ucieczka Śmigłego-Rydza z Rumunii w grudniu 1940 r. została zorganizowana przede wszystkim przez płk. Romualda Najsarka, o tyle zakonspirowany pobyt na Węgrzech, a później przedostanie się do kraju, nie byłyby możliwe bez okazania prawdziwie żelaznej woli działania przez Piaseckiego.

Po śmierci „Śmigłego" to on kontynuował prace na rzecz stworzenia organizacji politycznej piłsudczyków w kraju, znajdując początkowo partnera w Hemplu. Ten jednak nie zmienił poprzedniego stanowisku, uważając, że okres, który nastąpił po 1935 r., nie ma

eprasa.pl 2fc267a1cd

żadnego związku z ideami piłsudczyków i nie mogą oni brać odpowiedzialności za ówczesny kształt ustrojowy Polski, która po wojnie powinna być państwem demokratycznym. Piasecki sprzeciwiał się temu zdecydowanie, opowiadając się za rozwiązaniami autorytarnymi. Po fiasku rozmów i utworzeniu przez Piaseckiego Obozu Polski Walczącej Hempel powołał Konwent, stając się liderem tej formacji. Stała się ona obok OPW i części ruchu narodowego tym środowiskiem, które prowadząc walkę z Niemcami, równocześnie najbardziej konsekwentnie ostrzegało przed narastającym zagrożeniem Polski przez Związek Sowiecki.

„Wierzył w Polskę i w sprawę polską"

Piasecki, który podobnie jak inni działacze OPW i KON nie wiedział o mającym nastąpić wybuchu powstania w Warszawie, zaskoczony przez bieg wypadków próbował 2 sierpnia 1944 r. wrócić do swojej kwatery konspiracyjnej, został jednak ciężko ranny w bramie przy ul. Żabiej w pobliżu pl. Bankowego. Przeniesiony do Szpitala Maltańskiego przy ul. Senatorskiej zmarł następnego dnia. Został pochowany w zbiorowej mogile powstańczej w pobliżu szpitala. Niemal w tym samym czasie zginął również brat Juliana, Józef, lekarz, zamordowany przez Niemców w szpitalu powstańczym przy ul. Płockiej. „Cokolwiek należy o Piaseckim powiedzieć, należy brać pod uwagę, że choć nie zgadzaliśmy się z jego poglądami na politykę wewnętrzną w przyszłości i taktykę działania w konspiracji, to jednak byliśmy przekonani o jego głębokim patriotyzmie i ideowości. Ceniliśmy go bardzo. Był człowiekiem twardym dla innych, ale i dla siebie, niesłychanie upartym, osobiście odważnym i ofiarnym, w pełni bezinteresownym, oddanym sprawie, dla której działał z pełnym samozaparciem do śmierci" – pisał płk Edward Pfeiffer z konkurencyjnej organizacji piłsudczyków.

Tego samego dnia, kiedy jego kolega z 1. Pułku Legionów, a później przeciwnik polityczny otrzymał śmiertelną ranę, Hempel wyszedł z domu przy ul. Śliskiej, „aby po drugiej stronie Marszałkowskiej odszukać płk. »Radwana« [czyli Edwarda Pfeiffera, dowódcę powstańczego Śródmieścia]. Musiał obchodzić aż ulicą Złotą ze względu na obstrzał z PAST-y. Na rogu Zielnej ludzie budowali barykadę, lecz im nie szło, bo z jednej strony kropiło niemieckie działko, z drugiej – z daleka – karabiny maszynowe. Łukasz objął kierownictwo budowy i przy robocie poległ [...]. Łukasz nieraz mawiał, że jeśli ma zginąć, to nie chciałby ani przed plutonem egzekucyjnym, ani w obozie koncentracyjnym, lecz śmiercią żołnierską – na barykadzie... Spełniło się" – pisał towarzysz podziemnej walki Wacław Zagórski.

W rzeczywistości Hempel został ciężko ranny, a przeniesiony do pobliskiego szpitala powstańczego przy ul. Mariańskiej zmarł w nocy 4 na 5 sierpnia 1944 r. Zaledwie kilka godzin później w Szydłowcu na Kielecczyźnie Niemcy zamordowali jedynego syna „Łukasza", który nosił to samo imię, co ojciec – Zygmunt. „Ubył ktoś z jednej wielkiej konfraterni Polski Podziemnej. Zginął tak, jak żył, w pierwszej linii na barykadzie. Krwią, która wsiąkła w świętą ziemię Warszawy, przypomniał ogień swych słów: nie zawsze zapewne słusznych, zawsze pisanych z przekonaniem o słuszności wyznawanych poglądów. Należał do rzędu ludzi nieustających nigdy w pracy [...]. Wierzył w Polskę i w sprawę polską" – pisał niespełna dwa tygodnie później w Londynie Andrzej Pomian [Bohdan Sałaciński], niedawny jeszcze polemista Hempla z prasy podziemnej.

A w tym samym czasie w Jerozolimie Władysław Broniewski pisał w wierszu „Warszawa" o mieście zawsze niepodległym, o Warszawie, gdzie „mój przyjaciel Zygmunt Hempel na bruk twój złożył pierś Hellady".

Śmierć liderów piłsudczykowskiej konspiracji i całkowite rozbicie w czasie powstania stworzonych przez nich organizacji zapowiadała kres ich obozu politycznego w kraju. I jak testament brzmiały słowa przyjaciół Hempla z Konwentu, opublikowane krótko po jego śmierci, w walczącej nadal Warszawie: „Odszedłeś od nas teraz, kiedy Cię najwięcej brak nam będzie, kiedy muszą znaleźć się w Polsce ludzie o Twoim charakterze, Twoich walorach moralnych, etycznych, Twojej odwadze cywilnej, wreszcie o zaletach Twego umysłu [...]. Zginąłeś tak, jak sobie zawsze życzyłeś – śmiercią żołnierza. Lepszej śmierci nikt z nas nie pragnie. To nasza – Twoich najbliższych pociecha".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.



Pałac Mniszchów, siedziba Szpitala Maltańskiego, w którym zmarł Julian Piasecki FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 2fc267a1cd

XIX w. / Impresjonizm wkracza do Polski



Józef Pankiewicz „Targ na kwiaty przed kościołem św. Magdaleny w Paryżu", 1890 r., olej/płótno, 129 cm x 94 cm

FOT. MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

Rewolucja na polskim płótnie



Leszek Lubicki

Obraz Józefa Pankiewicza wystawiony w Zachęcie w 1890 r. zelektryzował artystyczną Warszawę i wywołał wielki ferment w krytyce i publice

Obraz jest niczym innym, jak zbiorem plam, które z daleka nikną wprawdzie trochę, nie sprawiają jednak zupełnej ułudy rzeczywistości. Jest to rodzaj fatamorgany, która z daleka wydaje się czymś, a z bliska jest niczym". Te słowa krytyk Adam Breza napisał w warszawskim „Kurierze Codziennym" w kwietniu 1890 r., zatem zaraz po wystawieniu tego dzieła malarskiego na wystawie w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. Powiedzmy szczerze, że recenzja nie zachęcała do obejrzenia tego obrazu. W owym czasie publiczność warszawska, a także – jak widać – krytyka, nie była zbyt wykształcona w odbiorze współczesnego malarstwa, innego niż królujące całe lata malarstwo akademickie. Warszawa w ogóle była mało zainteresowana sztuką, o czym tak wyraziście pisał wybitny krytyk tamtych czasów, a także malarz: „Podobno jakieś miasto greckie obległ kiedyś nieprzyjaciel i zgadzał się odstąpić pod warunkiem, żeby mu oddano dzieła sztuki. Grecy odmówili i bili się do upadłego ze świadomością, że bronią największego, najistotniejszego swego bogactwa. Gdyby ówczesną Warszawę spotkał los podobny, nie tylko oddałaby dzieła, ale przerzuciłaby w dodatku ich twórców, jako inwentarz całkiem w ich życiu zbyteczny" (Witkiewicz, 1903).

Krzyk w prasie

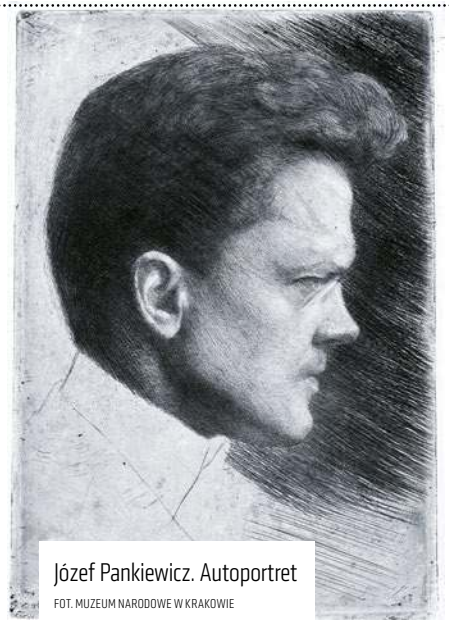
Owa wystawa i pokazany na niej obraz pędzla Józefa Pankiewicza „Targ na kwiaty przed kościołem św. Magdaleny w Paryżu", bo o nim traktuje ta opowieść, wywołały „gwałtowne sprzeciwy i rozpoczęły kilkuletnią walkę o impresjonizm w malarstwie polskim" (Ligocki, 1973). Obraz ten i inne przywiezione z Paryża przez Józefa Pankiewicza i Władysława Podkowińskiego zaraz po prezentacji wywołały istny „krzyk w prasie". „Odtąd problem impresjonizmu, o którym tylko głuche wieści docierały z dalekiego Paryża, elektryzować miał Warszawę przez

eprasa.pl 2fc267a1cd

dobre kilka lat, zdumiewać spokojnych bourgeois, wywoływać zacięte polemiki i komentarze" (Osęka, 1957). Ramy tego tekstu nie pozwalają zacytować większości wypowiedzi, które wówczas padły, niemniej poza tą na początku przytoczoną poznajmy jeszcze kilka, które są sobie przeciwne. Pozwoli nam to uświadomić sobie, że rzeczywiście ów „krzyk" był faktem. Publicysta „Tygodnika Mód i Powieści", podpisujący się jako „M", tak pisał: „Cóż za licho ten impresjonizm? Jest to taki sposób malowania przedmiotów, który sprawia, że wydają się one oku patrzącego inaczej niż w rzeczywistości […]. Wrażenie to zaczyna się podziwem, a kończy… śmiechem […]. Widzowie, raz poznawszy, co to jest ów impresjonizm, mają go już dosyć". I to by załatwiało sprawę oceny malarstwa pierwszych polskich impresjonistów, ale na szczęście nie wszyscy byli tak zasklepieni w swoich sądach.

Tadeusz Dowgird, entuzjasta impresjonizmu („Przegląd Tygodniowy", kwiecień 1890 r.)", tak to komentował: „Wśród niedawno wystawionych obrazów na wystawie Towarzystwa wyróżnia się obraz p. J. Pankiewicza »Sprzedaż kwiatów« czy też »Targ na kwiaty«, bo przyznać muszę, że tytułu nie pamiętam, a raczej patrząc na ten obraz, zupełnie zapomniałem o tym, że istnieje zwyczaj wypisywania tytułu obrazu na kartce wiszącej u ramy płótna wraz z ceną tegoż. Obraz ten tak doskonale tłumaczy się, iż tytuł i kartka przy nim jest zbyteczną, a pomimo iż nie mamy przed sobą żadnego dramatu, tylko stragany z kwiatami na jednym z placów Paryża, tak umie zainteresować widza, że ten nieprędko odeń odejdzie".

Czesław Jankowski („Tygodnik Ilustrowany", kwiecień 1890 r.): „Na francuskie też wzory zapatrzony malował J. Pankiewicz swój impresjonistyczny obraz »Targ na kwiaty przed kościołem św. Magdaleny Paryżu« […]. Mówiąc dobitniej, p. Pankiewicz przekonał nas […], że nawet używszy karkołomnych impresjonistycznych ekstrawagancji, przy zasobie talentu, można wywołać złudzenie prawdy. Na pozór albowiem i patrząc z bliska, obraz zakrawa na dziwactwo; a jednak, widziane z odpowiedniego stanowiska, te barwy zlewają się ze sobą, tworzą harmonię i składają się – powiedzmy szczerze – nawet na bardzo powabną całość".



Józef Pankiewicz. Autoportret
FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

To oczywista prawda – trzeba umieć i wiedzieć, jak patrzeć na malarskie dzieło. Jak zauważył pewien widz muzealny: „Obraz nie po to malowany, abyś w niego nos wkładał; przeznaczeniem obrazów wisieć na ścianie i być oglądanymi z pewnej odległości przy dobrym oświetleniu". Dodajmy jeszcze, że pierwszy nauczyciel malarstwa dwóch naszych „szermierzy impresjonizmu", Wojciech Gerson, akademik z krwi i kości, ale wybitny pedagog, do wszelkich „izmów" był nastawiony wręcz wrogo, a sam impresjonizm nazywał pogardliwie „wibryzmem". No cóż, nie pierwszy to raz, gdy uczniowie odeszli od nauk swoich mistrzów, że wspomnijmy tylko Jacka Malczewskiego czy Stanisława Wyspiańskiego, którzy byli wychowankami Jana Matejki. Warto także sobie uświadomić, że impresjonizm sprowadzony z Paryża dotarł do Warszawy 16 lat po pierwszej wystawie tej grupy malarzy francuskich, która miała miejsce w 1874 r. Tutaj jednak musimy pamiętać, że Warszawa była wówczas prowincjonalnym miastem Cesarstwa Rosyjskiego i nie było zbyt łatwo podróżować, a przy tym malarze byli wówczas biedni jak mysz kościelna.

Zarażony impresjonizmem

A jak to wszystko się zaczęło? Dwóch 23-letnich przyjaciół, Józef Pankiewicz i Władysław Podkowiński, po ukończeniu nauki w Warszawskiej Klasie Rysunkowej pod kierunkiem Wojciecha Gersona i rocznym rozczarowującym ich pobycie w skostniałej petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych, postanawiają wyjechać do Paryża – do tej mekki artystów przybywających ze wszystkich stron świata. To tam właśnie w sztuce zawsze wszystko się nieustannie zmieniało. Jest wczesna wiosna 1889 r. Rok ten we Francji i jej stolicy jest rokiem nadzwyczaj szczególnym. Wtedy to przypada stulecie Republiki. Z tej okazji zorganizowana zostaje kolejna Wystawa Światowa z ogromnym działem prezentującym dokonania sztuki światowej i retrospektywę sztuki francuskiej. Wtedy to także wybudowano najbardziej chyba rozpoznawalną budowlę globu – wieżę Eiffla.

Okrutnie biedni pieniądzem, ale nie duchem, znaleźli się nasi malarze w tej metropolii nad Sekwaną. Na szczęście po wielu latach pobytu w Paryżu, osiągnięciu sukcesów artystycznych i zarobieniu dużych pieniędzy do kraju wraca Józef Chełmoński. Na przedmieściach miasta pozostawia prawdopodobnie opłaconą do końca roku dużych rozmiarów pracownię. Malarze w niej właśnie zamieszkują. Choć trudno ich tak do końca nazwać w tym czasie malarzami. Pankiewicz co prawda już zajmował się malarstwem sztalugowym, stworzył bardzo udany, realistycznie malowany „Targ na jarzyny na placu Żelaznej Bramy w Warszawie" (1888, MNP), gdy Podkowiński przeciwnie, nie rwał się zbytnio do płótna i oleju. Robił ilustracje dla warszawskich czasopism periodycznych. Jeszcze w Paryżu mówił do przyjaciela: „Ty będziesz malarzem, a ja rysownikiem".

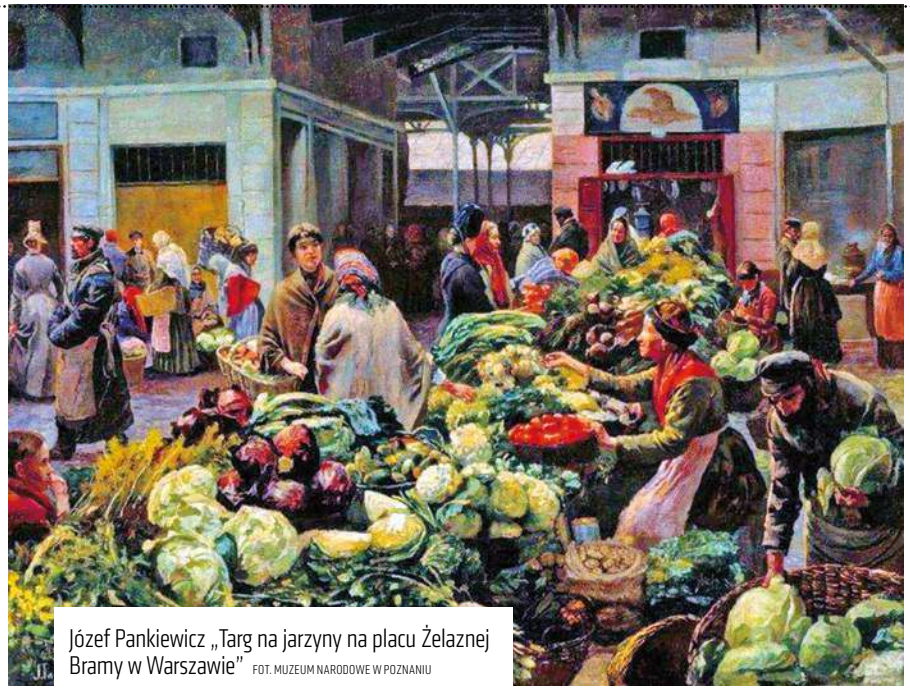
Próbował nawet sprzedać swoje rysunki, jednak w tej światowej stolicy sztuki nikt nie był nimi zainteresowany.

Pankiewicz posiadał pieniądze ze sprzedaży Ignacemu Korwin-Milewskiemu wspomnianego już obrazu „Targ na jarzyny…", Podkowiński miał zaś trochę oszczędności z honorariów za wykonywane rysunki dla czasopism ilustrowanych. „Pankiewicza i Podkowińskiego nikt w świat paryski nie wprowadza, muszą go sami odkrywać. Materialnie są zaopatrzeni arcyskromnie. Mieszkają na prawym brzegu Sekwany w okolicy Place Pereire […]; jest to nowy Paryż.

eprasa.pl 2fc267a1cd

Obiadują w taniej polskiej jadłodajni na południowym krańcu Paryża [...]. Codzienna piesza wędrówka [...] zajmuje artystom pięć kwadransów w każdą stronę" (Czapski, 1992). W lecie odwiedzają jednak wielką wystawę obrazów Claude'a Moneta. Pokazano wtedy 140 jego prac. Pankiewicz był zachwycony, przyjaciel powściągliwy. Mimo że mieszkali razem, przez miesiąc nie rozmawiali ze sobą z uwagi na rozbieżność poglądów. Uległ Podkowiński, z właściwym sobie entuzjazmem i otwarciem na to, co nowe. Przyznaje rację koledze. Obejrzane dzieła jednego z ojców impresjonizmu „powodują przewrót ich pojęć malarskich – obaj przechodzą do obozu impresjonistów" (Czapski, 1992).

Pankiewicz jeszcze przed wizytą na wspomnianej wystawie rozpoczął malować obraz. Teraz, już po zmianie poglądów na sztukę, zaczyna go przemalowywać, nadając mu intensywne kolory i chropowatą fakturę zgodnie z technikami impresjonistycznymi. W tym czasie spotyka na ulicach Paryża Ignacego Korwin-Milewskiego, nabywcę jego warszawskiego obrazu. To człowiek niezwykle bogaty, oryginał, hulaka, a nawet właściciel wyspy na Adriatyku z kupionym wcześniej tytułem hrabiowskim. Sam kiedyś chciał zostać malarzem, ale talentu niestety nie stało. Zajął się zatem kolekcjonowaniem obrazów, przede wszystkim polskich malarzy. Trzeba jednak przyznać, że wielu z nich wspierał finansowo. Korwin-Milewski jest zainteresowany tym, co też malarz obecnie tworzy. Udaje się więc do pracowni. Gość ogląda w milczeniu niedokończony jeszcze „Targ na kwiaty" i po chwili zwraca się do malarza z taką oto propozycją: „Zrobi mi pan takie samo płótno, ale nieba musi być o 40 centymetrów więcej – i (przejeżdżając paznokciem po obrazie) musi być namalowany zupełnie na gładko" (Czapski, 1992). Pankiewicz zdecydowanie odmawia, mimo że ten zamożny człowiek jest wtedy jego jedynym sponsorem. Sztuka zwyciężyła nad pieniądzem. „Tworzył, jak mu sumienie artystyczne tworzyć rozkazywało". Hrabia obrazu nie kupił. „Targ na kwiaty" jest w mojej ocenie najlepszym obrazem, jaki kiedykolwiek Pankiewicz namalował, choć artysta bardzo szybko zniechęcony krytyką odszedł od impresjonizmu.



Józef Pankiewicz „Targ na jarzyny na placu Żelaznej Bramy w Warszawie" FOT. MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

Nie ma dzisiaj na świecie muzeum, które nie chciałoby posiadać w swoich zbiorach dzieł impresjonistów

Zmarł notabene we Francji, w roku 1940, zatem 45 lat po swoim towarzyszu paryskiej podróży.

Cel osiągnięty

Jak zgodnie zauważają historycy sztuki, malowidło założeń impresjonizmu jeszcze w pełni nie realizowało, miało charakter raczej kompromisowy i „zdradzało jeszcze silne ciążenie ku malarstwu naturalistycznemu, lecz ta przepełniona słońcem, bogata w barwne refleksy scena uliczna, tworzona była w jasnej, bogatej w kontrasty kolorystyce" (Kokoska, 2015). U krytyki, a za nią u publiczności, zachwytów nie wzbudziło, a wręcz przeciwnie. „Zdziwienie budzi dziś myśl, że ten subtelny obraz, przedstawiający rozświetlony słońcem Paryż, kobiety w kolorowych długich sukniach przechadzające się w alei z kwiatami, barwne stragany kipiące od bukietów, zieleń drżących liści i błękitne niebo, mógł być powodem tak wielkiego zacietrzewienia krytyki i irytacji publiczności" (Bernat, 2006).

Wybitny malarz włoski Gino Severini – jak twierdzi prof. Jan Wiktor Sienkiewicz – powiedział w 1944 r., że nie byłoby współczesnego polskiego malarstwa, gdyby nie twórczość Józefa Pankiewicza. Być może ów artysta w swej wypowiedzi poszedł trochę za daleko (na pewno należałoby wymienić także choćby kolegę z paryskiej eskapady Władysława Podkowińskiego), to jednak obraz artysty „Targ na kwiaty przed kościołem św. Magdaleny Paryżu" był jednym z tych, od którego publicznej prezentacji datujemy początek sztuki nowoczesnej w Polsce.

Nie ma dzisiaj na świecie muzeum, które nie chciałoby posiadać w swoich zbiorach dzieł impresjonistów. Obraz jest eksponowany na wystawie stałej malarstwa polskiego w Muzeum Narodowym w Poznaniu, gdzie trafił w 1950 r. zakupiony od osoby prywatnej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

LITERATURA:
Bernat A., „Józef Pankiewicz", *Warszawa 2006.*
Czapski J., „Józef Pankiewicz. Życie i dzieło. Wypowiedzi o sztuce", *Lublin 1992.*
Kokoska B., „Impresjonizm polski", *Ożarów Mazowiecki 2015.*
Ligocki A., „Józef Pankiewicz", *Warszawa 1973.*
Osęka A., „Epizod impresjonizmu warszawskiego", „Sztuka i Krytyka" nr 1, *Warszawa 1975.*
Witkiewicz S., „Aleksander Gierymski", *Lwów 1903.*

eprasa.pl 2fc267a1cd



XIX–XXI w. / Rosja w wyobrażeniach społeczeństw V4

Sąsiedzkie podziały

Żołnierze Legionu Czechosłowackiego w Rosji FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Piotr Semka

Stosunek południowych braci i bratanków Polski do wojny na Ukrainie i odpowiedzialności za jej wybuch dobrze pokazuje różnice historycznych doświadczeń Polaków, Czechów, Słowaków i Węgrów

Nad Wisłą jesteśmy nieraz zszokowani zupełnie różnymi wręcz opiniami na tak – wydawałoby się – jednoznaczny konflikt. Wszystko to przypomina starą prawdę, że polska znajomość niuansów i ograniczeń wynikających z doświadczeń historycznych naszych partnerów nie jest naszą najmocniejszą stroną. Dlatego warto porównać badania dotyczące oceny winy za wywołanie wojny rosyjsko-ukraińskiej w trzech krajach: Republice Czeskiej, na Słowacji i na Węgrzech. Dodatkowo spróbujmy się zastanowić, skąd biorą się tak duże różnice.

Czeska kuracja z rusofilii

Badania demoskopijne przeprowadzone na zlecenie renomowanego think tanku GLOBSEC rok po przejściu wojny ukraińsko-rosyjskiej w fazę pełnoskalową objęły Czechy i Słowację. W tej kwestii kraj nad Wełtawą w największym stopniu podziela nasze jednoznaczne poparcie dla Ukrainy i uznanie Rosji za kraj, który ponosi pełną winę za rozpętanie wojennego piekła. Aż 71 proc. Czechów uważa, że wina za wybuch wojny leży po stronie Rosji. Zdecydowana mniejszość (tylko 38 proc.) Czechów podziela pogląd, że dalsza pomoc wojskowa dla Ukrainy jest czynnikiem eskalującym wojnę i prowokującym Rosję do kontynuowania jej. Tylko 8 proc. Czechów wyraziło swój pozytywny stosunek do Władimira Putina. Oczywiście te liczby z polskiego punktu widzenia i tak wydają się stosunkowo korzystne dla Rosjan. Jest to echo po – na szczęście – powoli odchodzącej czeskiej tradycji rusofilii. W XIX w. naród czeski, prowadzący niezwykle trudną walkę o upodmiotowienie się wobec silnej niemieckiej mniejszości, wspieranej przez germańskie w swej istocie imperium Habsburgów, z nadzieją spoglądał na jedyne wówczas słowiańskie imperium, czyli carską Rosję. Wielu czeskich naukowców zajmujących się kodyfikacją języka czeskiego wyjeżdżało na studia do Rosji, która z otwartymi ramionami witała słowiańskich dysydentów z Austrii, a potem Austro-Węgier. W końcu XIX w. opozycyjnie nastawieni Czesi wybierali dwa kierunki emigracji niepodległościowej: Francję i Rosję. Ci, którzy wyjeżdżali do Paryża, akcentowali mocniej republikańską ideę, która rzucała wyzwanie monarchii austriackiej. Natomiast ci udający się do Petersburga i Moskwy w większym stopniu zauroczeni byli powszechnie występującym wówczas słowianofilstwem. Wielu antyaustriacko nastawionych Czechów z uwagą

eprasa.pl 2fc267a1cd



Dwujęzyczne tablice w obwodzie zakarpackim Ukrainy, gdzie mieszka mniejszość węgierska

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ROVÁS ALAPÍTVÁNY/ROVAS FOUNDATION

obserwowało postępy rosyjskiej ofensywy na przełomie lat 1914 i 1915, która podeszła prawie pod Kraków. W marzeniach wielu Czechów miała być ona jutrzenką wyzwolenia ich narodu. Bardzo wielu żołnierzy czeskich w armii austro-węgierskiej oddawało się do niewoli w wypadku pierwszego kontaktu z armią rosyjską. Właśnie z tych jeńców Rosjanie stworzyli legion czechosłowacki, który w 1917 r. całkiem nieźle walczył z Austriakami w bitwie pod Zborowem koło Tarnopola. Legion ten później przebijać się będzie przez Rosję ogarniętą wojną domową i stanie się kośćcem nowo powstającej armii czechosłowackiej. Tradycja szukania pomocy w Rosji odezwie się w 1935 r., kiedy to Praga i Moskwa zawrą pakt o wzajemnej pomocy w razie agresji. I wreszcie rosyjską rusofilię wzmogło to, że rosyjskie czołgi wręcz uratowały przegrywające z Niemcami powstanie praskie.

Po wojnie jednak brutalna stalinizacja połączona z wyjątkowo daleko posuniętym serwilizmem komunistów znad Wełtawy wobec rosyjskiego starszego brata znacznie osłabiła życzliwe uczucia wobec Rosji. A już gwoździem do trumny rusofili była inwazja sowiecka w 1968 r., która zniweczyła nieśmiałe próby budowania „socjalizmu z ludzką twarzą".

A jednak po 1992 r., kiedy Czechy i Słowacja dokonały „aksamitnego" rozwodu, rusofilia odrodziła się pod wodzą lidera czeskich liberałów Václava Klausa. Podobne uczucia względem Rosji łączyły go zresztą z jego rywalem, a także partnerem, liderem socjalistów Milošem Zemanem. I właśnie te resztki rusofilii klausowskiej i zemanowskiej odpowiadają za stosunkowo wysoki, w porównaniu z Polską, procent respondentów szukających usprawiedliwień dla Rosji. Na szczęście jednak po prawej stronie w obozie partii ODS rusofilia straciła, przynajmniej na razie, na znaczeniu i zastąpiła ją wyraźna opcja proatlantycka. Sympatia dla Wschodu przeszła od rusofilii do ukrainofilii i tym wytłumaczyć można bardzo serdeczne przywitanie uchodźców znad Dniepru w Czechach, na Morawach i na czeskim Śląsku. Jednak o jednoznacznym poparciu dla Ukrainy zadecydowała jeszcze jedna koincydencja historyczna. Rozgrywanie przez Putina kwestii rosyjskiej mniejszości na Ukrainie skojarzyło się Czechom z grą Hitlera, który wykorzystywał rzekome uciemiężenie mniejszości niemieckiej w Sudetach. Tak samo jak watażkowie z Ługańska czy Doniecka skarżyli się Putinowi na rzekome prześladowanie przez rząd w Kijowie, tak wtedy Niemcy sudeccy oskarżali państwo czechosłowackie o najokrutniejsze prześladowania. Czesi dobrze sobie zapamiętali, że polityka Zachodu obgłaskiwania Hitlera kosztem Czech nie tylko nie uratowała pokoju, lecz także wręcz utorowała III Rzeszy drogę do rozpętania konfliktu na skalę światową.

Słowacja: rusofilia ciągle silna

Wspomniane już badanie think tanku GLOBSEC, przeprowadzone na Słowacji, przyniosło diametralnie inne wyniki. Tylko 40 proc. Słowaków jest zdania, że wina za wybuch winy ukraińsko-rosyjskiej leży po stronie Rosji. Większość Słowaków winą za rozpoczęcie wojny obciąża Stany Zjednoczone. Aż 69 proc. naszych sąsiadów zza Tatr jest zdania, że dalsza pomoc wojskowa dla Ukrainy prowokuje tylko Rosję do eskalowania konfliktu. Bulwersujące jest też to, że aż 27 proc. pytanych Słowaków wyraziło swój pozytywny stosunek do Władimira Putina.

Republika Słowacka wsparła pomoc NATO dla Ukrainy, a wojsko słowackie przekazało Ukraińcom swoje czołgi i inne rodzaje uzbrojenia. Techniczny rząd słowacki pod wodzą Ľudovíta Ódora wspiera politykę NATO, ale główna siła opozycyjna (partia SMER) bardzo wyraźnie lansuje tezę, że „to nie jest nasza wojna". Skąd tak silna miłość do Rosji? O ile w przypadku Czechów rusofilia była w XIX w. sposobem na odreagowywanie agresywnego germanizmu, o tyle w przypadku Słowaków marzenia o wielkim bracie ze Wschodu były nadzieją wobec madziaryzacji. Należące do Korony św. Stefana ziemie słowackie poddawane były w XIX w. bardzo silnej presji mającej ujednolicić tzw. górne Węgry z resztą ziem Madziarów. Powodowało to podobne do reakcji czeskich masowe dezercje Słowaków wciśniętych w mundury austriackie i przechodzenie na stronę rosyjską. Jednak w odróżnieniu od Czechów Słowacy wybrali dobrowolną kolaborację z III Rzeszą i powstałe w 1939 r. Państwo Słowackie stało się satelitą Niemiec. Klęska tej opcji w 1945 r. wywołała ogólnonarodowy zwrot w kierunku rusofili. Co więcej, Słowacy nieco inaczej patrzyli na inwazję sowiecką w sierpniu 1968 r. Po pierwsze, na Słowacji ofiar tego najazdu było nieporównanie mniej niż w Czechach. Po drugie zaś, realia polityczne po zdławieniu Praskiej Wiosny wyniosły na stanowisko prezydenta Czechosłowacji Słowaka Gustáva Husáka. A ten zadbał już o to, by przy okazji czechosłowackiej normalizacji upodmiotowić Słowaków wobec swoich czeskich braci, którzy wcześniej zbyt często zadzierali nosa. Po 1968 r. dowartościowano dumę narodową Słowaków choćby takimi gestami, jak odbudowa zamku królewskiego w Bratysławie, która przypominała nieco rekonstrukcję Zamku Królewskiego w Warszawie. Mimo że wojenne państwo pod wodzą ks. Jozefa Tiso wysłało swoje oddziały do walki z ZSRS na froncie wschodnim w latach 1941–1943, dziś sympatie do Rosji są wyjątkowo silne zarówno wśród skrajnych nacjonalistów, jak i postkomunistów spod znaku SMER.

Prorosyjską układankę uzupełnia jeszcze, zdawałoby się, wykluczający się paradoks. Pewną fascynację Rosją prezentują intelektualiści katoliccy z partii KDH, dystansujący się od dziedzictwa ks. Tiso. Trzeba pamiętać, że w latach Husákowskiej normalizacji spora część księży konformistów, która po cichu broniła ks. Tiso jako obrońcę narodowej toż-

eprasa.pl 2fc267a1cd

samości słowackiej, wychwalała Husáka jako gwaranta słowackich interesów we wspólnym państwie czechosłowackim. Ten zlepek nacjonalizmu i serwilizmu wobec komunizmu zwalczała młoda generacja intelektualistów katolickich, solidaryzująca się z czeską Kartą 77 i Václavem Havlem. Wydawałoby się, że dziś powinni oni być opcją prozachodnią, a jednak w imię „realizmu politycznego" uznają Rosję za państwo, z którym Słowacja nie powinna wchodzić na konfrontacyjny kurs.

Na tym tle mniejszością są prozachodni liberałowie, którzy próbują prowadzić politykę proatlantycką i proukraińską. Tymczsasem to oni są u władzy i prowadzą politykę pomocy wojskowej dla Kijowa. Swoją rolę odgrywa też skuteczność amerykańskiej dyplomacji, która w sobie tylko znany sposób potrafi wpływać odpowiednio na polityków potrzebnych do wykonania danego zadania politycznego, w tym wypadku do zapewnienia pomocy dla Ukrainy.

Węgierska antyukraińskość

Przeprowadzony w sierpniu 2022 r. sondaż na potrzeby portalu 24.hu pokazuje trendy bardzo podobne do słowackich. Tylko 3 proc. osób, które zadeklarowały się jako sympatycy partii Viktora Orbána, uznaje, że to Rosja jest winna wybuchu wojny. Aż 49 proc. z nich uważa, że winę za wybuch wojny ponoszą NATO oraz Stany Zjednoczone. W badaniu tak jednoznaczne poparcie dla Rosji nie występuje nawet w wypadku stojącej bardziej na prawo od Fideszu partii Mi Hazánk. 44 proc. jej zwolenników uznaje, że to NATO i USA wykreowały wojnę, ale mimo wszystko 14 proc. wskazało na Rosję jako na winowajcę. Skąd wzięła się tak duża tolerancja dla agresywnej polityki Putina? To wynik działania dwóch czynników. Przede wszystkim chodzi o antyamerykanizm, który jest owocem dwóch bolesnych doświadczeń Madziarów z Amerykanami. Po pierwsze, prezydent USA Woodrow Wilson w pełni poparł rozbiór Węgier przeprowadzony w Trianon w 1920 r. Po drugie, Amerykanie w nieodpowiedzialny sposób w listopadzie 1956 r. zachęcali Węgrów do kontynuowania powstania antysowieckiego, nie będąc gotowi wystąpić z realną wojskową pomocą dla tego zrywu narodowego. Kolejnym czynnikiem jest datująca się od końca XIX w. silna emocja antyukraińska wśród Węgrów. Aktywiści proukraińscy, którzy próbowali rozbudzić ruch narodowy na terenie Zakarpacia, byli uważani przez Budapeszt za spore zagrożenie dla utrzymania ziem zakarpackich uważanych za nieodłączny element królestwa Korony św. Stefana. Gdy w marcu 1939 r. Węgrzy, po 20 latach obecności Zakarpacia w państwie czechosłowackim, zajęli ten górzysty skrawek Europy, musieli najpierw stoczyć krwawą walkę z ukraińskimi nacjonalistami. Ukraińcy wypominają z kolei Węgrom, że wojska węgierskie masowo rozstrzeliwały wówczas obrońców krótko istniejącego państewka Ukrainy zakarpackiej. Część ukraińskich historyków twierdzi nawet, że egzekucje te były wspólnym dziełem Polaków i Węgrów. Po 1991 r., gdy Ukraina zyskała niepodległość, działania na rzecz ugruntowania dominacji języka ukraińskiego na Zakarpaciu zostały ocenione przez Budapeszt jako próba wymazania praw mniejszości węgierskiej. Na tym tle rozpoczęła się wzajemna niechęć, której naturalną konsekwencją jest wybielanie roli Rosji w obecnym konflikcie.



Niemcy sudeccy obalają czechosłowacki słup graniczny FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA

Paradoks

Szokujące i niepokojące zarazem jest dla Polaków to, że rusofile słowacy i węgierscy potrafią działać zgodnie mimo zupełnie różnych doświadczeń historycznych. Kiedy bowiem Węgrzy w 1848 r. wywołali powstanie narodowego przeciwko Habsburgom, dla uratowania władzy wiedeńskiej car Mikołaj I wysłał na Węgry swoją piechotę. W tradycji słowackiej przejście oddziałów marszałka Paskiewicza przez tamtejsze ziemie było wielkim odrodzeniem dumy Słowaków ze swojej słowiańskości. A równocześnie Węgry, które w połowie XIX w. stały się ofiarą rosyjskiej nawały, całkowicie wyrugowały ze swego zbiorowego myślenia tradycję antyrosyjską.

W przypadku Słowacji widzimy sentyment za wielkim słowiańskim bratem, natomiast jeżeli chodzi Węgry, to pobłażanie dla Putina jest efektem rozczarowania polityką Zachodu. Jest pewnym paradoksem to, że na tle tej „taryfy ulgowej" dla wschodniego agresora proukraińska Warszawa i wspierająca Kijów Praga znów poczuły się bliższe sobie pod względem duchowym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fc267a1cd



Żołnierze rządowi w Kinszasie, stolicy DRK 1997 r.
FOT. PATRICK ROBERT/CORBIS/GETTY IMAGES

1996–2003 / Ciemne interesy, wielkie pieniądze i gra mocarstw

Nieznane ludobójstwo



Anna Szczepańska

Na przełomie XX i XXI w. w sercu Afryki zginęło ok. 6 mln ludzi. Był to największy konflikt od czasu zakończenia drugiej wojny światowej, choć zachodnie społeczeństwa niemal zupełnie go nie zauważyły

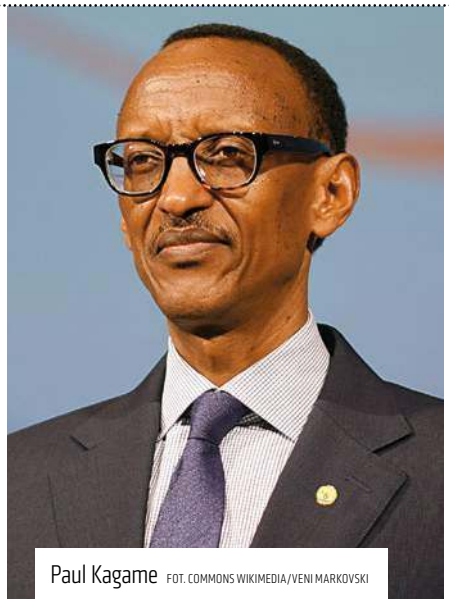
W połowie lat 90. wszyscy sądzili, że apogeum terroru w targanej krwawymi konfliktami od lat 60. Afryce nastąpiło w roku 1994 w Rwandzie. W wyniku ludobójstwa dokonanego przez Hutu zginęło wówczas ponad milion Tutsi. Przyszłość pokazała, że kolejny dramat był tuż za rogiem.

Największy konflikt po drugiej wojnie światowej rozegrał się właśnie w środkowej Afryce. Pierwsza i druga wojna domowa w Kongu, które (wbrew nazwie) zaangażowały wiele afrykańskich państw, rozgrywały się z przerwami w latach 1996–2003. W ciągu kilku lat zginęło ok. 6 mln osób, a kilkanaście milionów zostało zmuszonych do opuszczenia swoich domów. Ze skutkami tych konfliktów Afryka boryka się cały czas, ale ich pokłosie dotyka dziś pośrednio także Europy.

Dzieje dekolonizacji to seria gorzkich rozczarowań i morze przelanej krwi.

eprasa.pl 2fc267a1cd





Paul Kagame FOT. COMMONS WIKIMEDIA/VENI MARKOVSKI



Mobutu Sese Seko FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Laurent Kabila
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ETIENNE SCHOLASSE, EUROPEAN COMMUNITIES

W tej opowieści trudno o pozytywnych bohaterów. Tutaj winę ponoszą wszyscy: dawni kolonizatorzy i lokalni afrykańscy watażkowie.

Gorzej niż za Belgów

Jak pisaliśmy w poprzednim numerze „Historii Do Rzeczy", Mobutu Sese Seko, przejmując władzę, twierdził, że robi to, aby ocalić kraj przed katastrofą. W pierwszych latach faktycznie udało mu się ustabilizować sytuację gospodarczą Konga (Zairu), lecz na porażkę nowej ideologii „mobutyzmu" nie trzeba było długo czekać. Państwo bogate w cenne złoża było rozkradane przez niewielką klikę.

Amerykanie przez lata wspierali jednak Mobutu i zabiegali o jego względy. W Białym Domu, niczym celebrytę, podejmowali go prezydenci Kennedy, Nixon, Carter czy Bush senior. Nixon nazywał Mobutu „liderem stabilności o wielkiej bystrości umysłu", podkreślając, że władze USA mogą się od przywódcy Zairu wiele nauczyć. Postawa Amerykanów wskazywała na starą prawdę, że polityka to gra interesów, a „cel uświęca środki". Biały Dom miał przecież doskonałe rozeznanie w tym, jaką politykę prowadzi Mobutu, lecz mimo to i tak go popierano. Zair „siedział" przecież na miedzi, diamentach, złocie czy kobalcie. Nade wszystko jednak Mobutu był wyraźnie antysowiecki, co w realiach zimnej wojny było kluczowe.

Dzięki poparciu USA, innych zachodnich rządów oraz instytucji takich jak Bank Światowy czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy (które udzielały Zairowi przez lata miliardowych kredytów) dobra passa Mobutu trwała nadzwyczaj długo, bo ponad 30 lat. Krach przyszedł wraz z upadkiem Związku Sowieckiego. Afryka przestała być areną zimnowojennych zmagań i teatrem dla wojen zastępczych. Mobutu nie był już Amerykanom potrzebny, tym bardziej że od lat stawał się coraz bardziej niewygodnym partnerem. Rozkradając Zair, stał się jednym z najbogatszych ludzi świata. Miał kilkaset kopalni, plantacji, farm, prywatne zoo i ponad 20 pałaców i rezydencji od Francji, przez Hiszpanię, Włochy, do Senegalu i Brazylii. W jego kraju kwitł kult jednostki. Mobutu nazywany był Prorokiem i Mesjaszem. Pojawiały się propozycje, aby czcić jego zamiast Chrystusa. Przy milczącej zgodzie świata Mobutu zamienił Zair w prawdziwe „jądro ciemności".

Oszałamiający majątek Mobutu i otaczającej go kliki został zbudowany na krzywdzie zwykłych mieszkańców Zairu. Kryzys gospodarczy zaczął dawać się im we znaki już pod koniec lat 70. Z czasem było tylko gorzej. Inwestycje państwowe nie były kończone, w szpitalach brakowało leków (sprzedawano je na czarnym rynku), dzieci nie posyłano

eprasa.pl 2fc267a1cd

do szkoły, bo rodzice nie mieli czym przekupić dyrektora. Pracownikom administracji, żołnierzom czy nauczycielom nie wypłacano pensji. Ich wynagrodzenie przechwytywały osoby stojące wyżej w hierarchii. Całe państwo funkcjonowało tylko dzięki łapówkom.

W latach 90. w Zairze było wiele miejsc, gdzie samochód widywano częściej w okresie belgijskiej kolonizacji aniżeli podczas rządów Mobutu. Budowane w latach 40. i 50. drogi asfaltowe i tory kolejowe zarastały lasem, aż w końcu trudno było je dostrzec w otaczającym buszu. Mobutu samodzielnie odciął swoich poddanych od takich luksusów jak samochody, asfalt, linie telefoniczne czy prąd. Nikt z zairskiej wierchuszki nie interesował się biedotą mieszkającą w środku dżungli, która do najbliższego miasta miała niekiedy kilkaset kilometrów.

Do takiego Zairu – opartego na korupcji, przemocy i bezrobociu – w 1994 r. ruszyły setki tysięcy mieszkańców Rwandy, gdzie rozgrywały się ludobójcze walki, a później wojna domowa. Wydarzenia w Rwandzie przyczyniły się do migracji ogromnej liczby ludzi – najpierw Tutsi próbowali ratować się przed masowymi mordami, osiedlając się w Ugandzie, a później Hutu (słusznie bojąc się odwetu) uciekali do Zairu. Miliony ludzi żyły na obczyźnie, bojąc się wrócić do kraju. Przy granicy z Rwandą, głównie w Zairze, powstawały ogromne slumsy zwane eufemistycznie obozami dla uchodźców. To tam szerokim strumieniem płynęła pomoc humanitarna z całego świata. Ludzie nie odczuwali jednak żadnej poprawy – pieniądze lądowały bowiem przede wszystkim w kieszeniach tych, którzy mieli środkami pomocowymi zarządzać, a nie u tych, którzy pomocy naprawdę potrzebowali.

Francuskie interesy

Choć od szalonego Mobutu odcinali się niemal wszyscy jego dawni sojusznicy, to był jeden kraj, który wciąż przywódcę Zairu promował. Była to Francja, która pomimo upływu lat nie porzuciła swoich mocarstwowych ambicji. Choć kolonie jako takie już nie istniały, to Paryż wciąż dążył do rozszerzania swoich wpływów w Afryce, przede wszystkim tam, gdzie mówiono po francusku. Z tego względu Zair, Burundi i Rwandę (byłe kolonie Belgii) Francuzi zaliczali do swojej strefy wpływów.

W przypadku Rwandy Paryż zaczął mieć jednak problem – Paul Kagame, nowy prezydent wywodzący się z Tutsi, choć nie usunął języka francuskiego z przestrzeni publicznej, to coraz mocniej propagował używanie języka angielskiego, który w końcu stał się jednym z języków urzędowych. Poza tym Kagame był ulubieńcem Stanów Zjednoczonych, a świat znał go jako tego, który zakończył rwandyjskie ludobójstwo. Rwanda zaczęła się więc wymykać wpływom Paryża. Hutu byli Francji zdecydowanie bardziej posłuszni i to za nimi, niedawnymi ludobójcami przecież, po cichu wzdychano we Francji. W listopadzie 1994 r., podczas szczytu francusko-afrykańskiego w Biarritz, prezydent Jacques Chirac uczcił minutą ciszy nieżyjącego rwandyjskiego, należącego do Hutu, prezydenta Juvénala Habyarimanę. Ani słowem Chirac nie zająknął się natomiast na temat ofiar ludobójstwa i milionie zabitych Tutsi.

Francja rozwijała relacje z Zairem od czasu rządów Charles'a de Gaulle'a. W połowie lat 90. Paryż jeszcze bardziej zainteresował się Mobutu Sese Seko, który zdaniem Francuzów mógł jeszcze stać się wiodącym przywódcą w centralnej Afryce. Stanowił on zresztą świetną przeciwwagę dla popieranego przez Amerykanów Yoweriego Museveniego, prezydenta Ugandy, który wyrastał wówczas na głównego rozgrywającego w regionie.

Hutuland

Tymczasem w Zairze, głównie w prowincji Kiwu przy granicy z Rwandą, uciekinierzy Hutu, bojący się odwetu ze strony Tutsi (którzy de facto przejęli władzę w kraju), utworzyli własne quasi-państewko, które historyk i afrykanista Martin Meredith określił kiedyś roboczo jako „Hutuland".

Ten rozległy obóz dla uchodźców w sercu dżungli był hojnie dotowany przesz samego Mobutu Sese Seko oraz liczne organizacje międzynarodowe. Tym samym przeważająca większość pomocy i środków, które świat wysyłał biednym i dopiero co mordowanym Rwandyjczykom, w ogóle do Rwandy nie docierała. Wsparcia nie otrzymywali Tutsi, którym niedawno Hutu wymordowali maczetami, sztachetami, nożami czy potłuczonymi butelkami całe rodziny oraz spalili domy, lecz niedawni ludobójcy Hutu, którzy w połowie 1994 r. zaczęli masowo opuszczać granice swojego kraju. O to, jak i do kogo trafiała międzynarodowa pomoc, dbał także sam Mobutu, który miał być pośrednikiem w przekazywaniu środków. Mobutu nie zamierzał jednak wysyłać wsparcia materialnego do Kigali (stolicy Rwandy) i Paula Kagame, którego zresztą szczerze nie znosił. Część pieniędzy, która miała trafić do Rwandyjczyków, Mobutu zostawił sobie, za część kupił trochę broni dla swojej armii, a to, co zostało, wysyłał komendantom Hutu zarządzającym obozem w Kiwu. Biznes kręcił się przez dłuższy czas, a zachodnie agencje pomocowe miały czyste sumienie i mogły pochwalić się, że coś robią, pomagając głodującej i umęczonej Rwandzie, faktycznie zaś nie za bardzo interesując się, do kogo pomoc naprawdę trafia.

Dzięki świetnym układom, wsparciu Mobutu Sese Seko oraz cichemu poparciu Francji Hutu z prowincji Kiwu rośli w siłę. Obóz był niczym „autonomiczna republika" Zairu, zarządzana przez wojskowych z plemienia Hutu, którzy otrzymali dużą swobodę działania. Gromadzili oni broń oraz rekrutowali żołnierzy do tworzonej przez siebie armii. W latach 1995–1996 mieli już pod komendą ok. 50 tys. dobrze wyszkolonych wojskowych. Siły Hutu regularnie atakowały, za cichym przyzwoleniem Kinszasy, terytorium Rwandy, gdzie mordowano Tutsi. Z czasem ataki się nasilały. W końcu do żołnierzy Hutu zaczęły dołączać wojska zairskie, które także przekraczały granicę z Rwandą. Połączone siły urządzały też „polowania" na mieszkających w Zairze Tutsi. Choć minął ludobójczy szał, kiedy w Rwandzie zabito ponad milion Tutsi, to ludzie pochodzący z tej grupy etnicznej wciąż nie mogli czuć się bezpieczni. W całym wschodnim Zairze stali się wrogami numer jeden. I chociaż mało który spośród zairskich Tutsi miał cokolwiek wspólnego z Rwan-

eprasa.pl 2fc267a1cd



Ofiary gwałtów podczas wojny domowej w Kongu FOT. L. WERCHICK/USAID/WIKIPEDIA

dą, to wszyscy oni zdali sobie sprawę, że Mobutu im nie pomoże, a o ratunek mogą zwrócić się tylko do Paula Kagame, prezydenta Rwandy.

W lipcu 1996 r. Kagame przebywał z wizytą w Waszyngtonie. Poinformował wtedy prezydenta Billa Clintona, że jeżeli społeczność międzynarodowa nie zareaguje na ludobójcze ataki na Tutsi w Zairze i Rwandzie, to on sam rozprawi się z wrogiem (mając na myśli nie tylko Hutu z Kiwu, lecz także samego Mobutu Sese Seko). Stanowisko Kigali poparł od razu prezydent Museveni z Ugandy, oferując wsparcie. Waszyngton nie zaakceptował takiego rozwiązania, a także się mu nie sprzeciwił. Kagame zaczął więc szykować się do wojny.

Więcej niż wojna domowa

Wystarczy spojrzeć na mapę, aby dostrzec dysproporcje: maleńka Rwanda postanowiła rzucić wyzwanie ogromnemu Zairowi. Było to niczym starcie Dawida z Goliatem. Jednak tak, jak w przypadku biblijnej opowieści, tak i w trakcie wojny w Kongu to nie wielkość zdecydowała o zwycięstwie.

Kagame nie ukrywał, że jego celem jest nie tylko rozprawienie się z ludobójczymi bojówkami Hutu i rozbicie sił panoszących się w zairskiej prowincji Kiwu. Zamierzał odsunąć od władzy samego Mobutu rządzącego Zairem od dekad, a co za tym idzie – przetasować relacje międzynarodowe w całej centralnej i południowej Afryce. Wsparcia Rwandzie udzieliły od razu Uganda oraz RPA, dla których Mobutu był już tylko reliktem przeszłości, którego należało się w końcu pozbyć. Wkrótce do sojuszu dołączyła też Angola, która miała z Mobutu „osobiste" porachunki z czasów własnej wojny domowej (Mobutu wspierał organizacje opozycyjne wobec rządzącej Angolą partii MPLA).

Obalić Mobutu pragnęli zresztą nie tylko Kagame czy władze niektórych afrykańskich państw. Władca Zairu miał także wielu wrogów we własnym kraju. Należał do nich m.in. przemytnik Laurent-Désiré Kabila, który od lat występował przeciwko Mobutu. Wreszcie, w połowie lat 90., ujrzał dla siebie szansę i porozumiał się z Paulem Kagame, który miał siły i środki, aby pomóc mu dojść do władzy. W listopadzie 1996 r. Kabila ogłosił, że zamierza zdobyć Kinszasę i zmusić Mobutu do odejścia. W Zairze rozpętała się wojna domowa.

W czasie, kiedy w kraju trwały walki, Mobutu Sese Seko był już ciężko chory i przebywał na leczeniu w Europie. O tym, co dzieje się w jego państwie, wiedział coraz mniej, powoli tracąc kontakt z rzeczywistością. Jednak nawet wówczas Paryż nie zamierzał rezygnować z popierania jego reżimu. Prezydent Chirac oficjalnie ogłosił, że Francja będzie interweniować w obronie rządów Mobutu. Zrobiła to, wysyłając do Zairu opłaconych przez siebie 300 Serbów (Biały Legion), którzy dopiero co brali udział w wojnie w Jugosławii.

Siły rządowe od początku były na straconej pozycji. Na nic zdała się pomoc Francji. Zairskie wojska były skorumpowane i słabe, a oddziały Kabili zdeterminowane i wspierane przez rwandyjskie wojska Paula Kagame. Po ośmiu miesiącach zdobyto Kinszasę.

W czasie walk, głównie we wschodniej części Konga, gdzie pomiędzy sobą walczyli Hutu i Tutsi, dochodziło do zbrodni wojennych. Rwandyjskich żołnierzy należących do Tutsi trudno było powstrzymać przed krwawą zemstą. Szacuje się, że zabito nawet 200 tys. Hutu.

Mobutu wrócił w tym czasie do Zairu, jakby nie zdawał sobie sprawy z ogarniającej kraj pożogi. Zlekceważył Kabilę, a przede wszystkim Paula Kagame i jego zaprawioną w boju, żądną odwetu armię. W końcu władca Zairu, wraz z najbliższą rodziną, wsiadł jednak do samolotu i uciekł do Maroka. Mobutu Sese Seko zmarł 7 września 1997 r. na raka prostaty, poza krajem, z którego uczynił piekło na ziemi.

17 maja 1997 r. Laurent-Désiré Kabila został prezydentem Zairu. Nazwę Zair zmienił na Demokratyczna Republika Konga. Początkowo uważany był za powiew świeżości, tak potrzebny w państwie wymęczonym przez Mobutu. Kabila okazał się jednak tylko kolejnym tyranem, człowiekiem bez osobowości. Nowy prezydent nie posiadał zaplecza politycznego, a jego działania były kontrolowane przez Rwandę. To Kagame rozdawał karty, podczas gdy Kabila skupił się na utrzymaniu poprzez terror trzęsącego się w posadach kraju. Taki układ nie mógł trwać wiecznie. Kongijczycy zbuntowali się przeciwko wszechobecnym wpływom Rwandyjczyków. Aby ratować siebie, Kabila postanowił więc uderzyć w Tutsi. Wszystko zaczęło się od nowa – atakowano mieszkających w DRK Tutsi, a cała wschodnia część kraju ponownie zapłonęła. Druga wojna domowa wybuchła w 1998 r. Nazywa się ją też wielką wojną afrykańską, gdyż nie była to wyłącznie wewnętrzna sprawa Konga. W konflikt zaangażowało się kilkanaście państw i organizacji. W czasie wojny zginęło 5,5 mln ludzi, a kilkanaście milionów odniosło rany lub musiało opuścić swoje miejsce zamieszkania. Był to największy konflikt od czasu zakończenia drugiej wojny światowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fc267a1cd

Druga wojna światowa / Polsko-ukraińskie relacje obozowe



Świętowanie urodzin Stepana Bandery we Lwowie w 2022 r.
FOT. EFREM LUKATSKY/AP/EAST NEWS

Banderowcy w Auschwitz



Arkadiusz Karbowiak

„Wieczorem do bloku nr 11 przyszli z kijami Polacy. Było ich ponad dziesięciu i zaczęli pytać, kto tutaj jest z OUN–B. Nikt z nas się nie odezwał. Tak trzy razy pytali, grożąc, że zabiją na miejscu, gdy znajdą”

Ogłoszenie Aktu Restytucji Państwa Ukraińskiego we Lwowie 30 czerwca 1941 r. doprowadziło do wybuchu konfliktu pomiędzy Niemcami a przychylną im dotychczas frakcją banderowską OUN. Ta deklaracja była dla przywódców OUN-B pierwszym krokiem w kierunku utworzenia niepodległej Ukrainy. Władze Trzeciej Rzeszy uznały ten ogłoszony bez konsultacji z nimi akt za posunięcie wrogie wobec Berlina. Niemcy nie chcieli powołania do życia Samostijnej Ukrainy. Adolf Hitler był przekonany, że okupowane terytoria ZSRS powinny być nadzorowane przez niemiecką cywilną administrację, a one same powinny być rezerwuarem żywnościowo-surowcowym Rzeszy. Ten punkt widzenia był sprzeczny z oczekiwaniami banderowskich liderów. Uważali oni, że wyzwolenie ziem zamieszkanych przez ludność ukraińską z rąk bolszewików tworzy warunki do powstania niepodległego państwa ukraińskiego. Tak się jednak nie stało. 1 sierpnia 1941 r. ukraiński „Piemont niepodległościowy”, którym była Galicja Wschodnia, został włączony do Generalnego Gubernatorstwa. Pozostałą część ziem ukraińskich wcielono do Reichskomisariatu Ukraine. Te posunięcia w konsekwencji doprowadziły do podjęcia przez niemiecką policję bezpieczeństwa działań wymierzonych w głoszących niepodległościowe hasła członków OUN-B.

Aresztowani

5 lipca 1941 r. został zatrzymany i osadzony w areszcie domowym w Berlinie prowidnyk organizacji, Stepan Bandera. Wkrótce dołączył do niego premier powołanego we Lwowie rządu ukraińskiego Jarosław Stecko. W połowie września obaj zostali osadzeni w więzieniu przy Prinz-Albrecht-Strasse w Berlinie, a następnie deportowani do KL Sachsenhausen. Umieszczono ich w części obozu przezna-

eprasa.pl 2fc267a1cd



Powitanie oddziałów niemieckich we Lwowie FOT. NAC

czonej dla więźniów uprzywilejowanych (Zellenbau). OUN-B została zmuszona do zejścia do podziemia. Na pełniącego obowiązki prowidnyka wyznaczono Mykołę Łebeda. Na skutek decyzji szefa RSHA SS-Obergruppenführera Reinharda Heydricha niemieckie organa bezpieczeństwa przeprowadziły 15 września 1941 r. masową akcję aresztowań liderów struktur banderowskich. Oblicza się, że 80 proc. kierownictwa ruchu znalazło się w rękach niemieckiej Sipo. Na celowniku gestapo znaleźli się członkowie grup pochodnych OUN-B, których zadaniem było przejmowanie władzy i ustanawianie ukraińskiej administracji na terenach wyzwolonych z rąk bolszewików. W październiku 1941 r. został ujęty i rozstrzelany w Myrhorodzie dowódca grupy pochodnej „Środek" Mykoła Łemyk. 25 listopada 1941 r. Einzatzkommando C/5 wydało rozkaz aresztowania banderowców, a po przesłuchaniu likwidacji ich jako szabrowników.

Liderzy i działacze OUN-B, których nie zabito, zostali umieszczeni w więzieniach w Kołomyi, we Lwowie, w Stanisławowie i przy Montelupich w Krakowie. Stamtąd deportowano ich do obozów koncentracyjnych. Banderowcy trafiali przede wszystkim do KL Auschwitz. Na mocy decyzji KdS Kraków (Kommandantur der Sipo und des SD Krakau) pierwszy transport 24 OUN-owców przybył do oświęcimskiego obozu 20 lipca 1942 r. W gronie więźniów znajdowali się zarówno wysoko ulokowani w hierarchii OUN-B, jak i mniej znani działacze. Byli to minister Dmytro Jaciw (prawnik, wiceminister gospodarki w rządzie Jarosława Stećki), Stepan Łenkawski (autor słynnego dekalogu ukraińskich nacjonalistów), Roman Polutranka (dziennikarz), Petro Mirczuk (po wojnie autor monumentalnej monografii UPA). Jednym z przybyłych był też młodszy brat Stepana Bandery, Wasyl Bandera, (aresztowany wraz z ciężarną żoną, którą zwolniono po kilku dniach).

Bracia Bandera

Polscy więźniowie szybko dowiedzieli się o przybyciu banderowców. Dla nich byli oni uosobieniem wszystkiego, co antypolskie. Jeden z Ukraińców, Borys Witoszyński, wspominał: „Polacy od pierwszych chwil naszego pobytu rozpoczęli znęcać się nad nami, bili nas do krwi, podczas bicia krzyczeli: »Chcieliście Polskę zawalić? Wy mordercy Pierackiego! Który to jest ten Bandera?«. Z nami do obozu przyjechał Wasyl Bandera, który siedział w więzieniu w Krakowie. Polska rozszalała hołota rzuciła się na naszych oczach mordować naszego przyjaciela, najstraszniejsze było to, że nie mieliśmy sił jemu pomóc, każdy z nas był pobity i otoczony bandą »głoworezów«, którzy pałkami i pięściami dawali swobodę swoim zwierzęcym instynktom, nie mogłem nawet myśleć o jakiejkolwiek próbie sprzeciwu. W atmosferze katowania, bicia i krzyków minęła pierwsza nasza noc w Oświęcimiu, podczas której główne role katów odegrali nie hitlerowscy bandyci ale polscy więźniowie polityczni".

Podobnie zapamiętał powitanie w kacecie Petro Mirczuk: „Podczas przeglądu więźniów przywiezionych z Montelupich, Polak ze Stryja Groński usłyszał nazwisko Bandera, podbiegają inni Polacy, biją Wasyla pierwszy raz, Groński krzyczy: »Wam za Polski było źle? My wam takie dobro sprawimy, że nikt z was nawet kilku dni nie przeżyje«".

24 lipca 1942 r. przybyła do obozu kolejna 23-osobowa grupa ukraińskich więźniów. Wraz z nimi przybył drugi brat Stepana Bandery, Aleksander. Wtedy Ukraińców zaczęto potocznie nazywać „Bandera Gruppe". Więźniowie musieli zapoznać się z zasadami życia w obozie. Dla kilku z nich, m.in. braci Banderów, zakończyło się to tragicznie. Nazwisko, które nosili było w Polsce powszechnie znane. Kojarzono je z zamachem na płk. Bronisława Pierackiego. Osadzeni w obozie Polacy chcieli zemścić się na przywódcy OUN. Okazja się nadarzyła, kiedy Aleksander Bandera trafił do komanda budowlanego Neubau. Funkcję vorarbeitera w tym komandzie pełnił polski student z Przemyśla Franciszek Podkulski. Celowo zmuszał Aleksandra do ciężkiej pracy. Niedługo później Aleksander Bandera został pobity przez polskich więźniów i trafił do obozowego szpitala. Tam podczas selekcji dokonywanej przez lekarza SS jego i 69 innych chorych przeznaczono do uśmiercenia. 10 sierpnia 1942 r. Aleksandra Banderę zamordowano dosercowym zastrzykiem z fenolu. Podobny los spotkał drugiego z braci, Wasyla. Również i on znalazł się wcześniej we wspomnianym komandzie budowlanym. O tym, jak Wasyl był traktowany, informował w oświadczeniu jeden z więźniów, Zygmunt Gaudasiński: „Latem 1942 r. byłem zatrudniony w komandzie »Neubau« jako pomocnik pisarza [...]. Po przybyciu na blok 16 kapo Edward Radomski wskazał nam więźnia niewielkiego wzrostu, który na rusztowaniu dowoził tynkarzom zaprawę murarską, oświadczając przy tym, że jest to zbrodniarz ukraiński Bandera, odpowiedzialny za śmierć wielu Polaków. Zauważyłem wówczas, że vorarbeiter Feliks Maruta (później jeden z kapów komanda) zachowywał się brutalnie w stosunku do Bandery, twierdząc, że jest to zapłata za zbrodnie, których dopuścił się na jego rodzinie i innych Polakach". W wyniku brutalnego traktowania Wasyl Bandera

eprasa.pl 2fc267a1cd

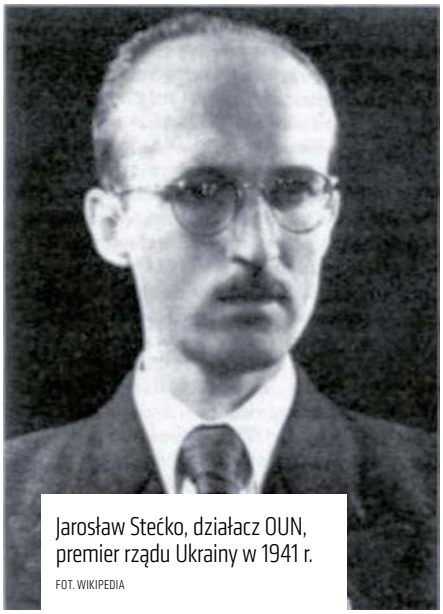

NOWY KURJER WARSZAWSKI
Cena w całej Gub. Gen. 20 gr
Front Europy
Francja zerwała stosunki z Sowietami
Flaga niemiecka na cytadeli lwowskiej
Pierścień wokół kotła białostockiego zacieśnia się
22 maszyny R. A. F. zestrzelono nad Rzeszą

Strona tytułowa gadzinowego „Nowego Kuriera Warszawskiego" FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

także znalazł się w bloku szpitalnym, gdzie 5 września 1942 r. zmarł. Jerzy Tabeau, także więzień KL Auschwitz, zeznał po wojnie, że Wasyl Bandera przebywał w bloku szpitalnym i tam zmarł na biegunkę.

Po śmierci Banderów Politische Abteilung, czyli obozowe gestapo, wszczęło śledztwo. Było to spowodowane przez interwencję Włochów. Działać w tej sprawie mogła żona Aleksandra Bandery Maria D'amico, Włoszka i krewna hr. Galeazzo Ciano. Śledztwo wykazało, że do śmierci Banderów przyczynił się wspomniany Podkulski, który został rozstrzelany pod Ścianą Straceń 29 stycznia 1943 r. Stracono również trzech innych więźniów: pisarza komanda Feliksa Suligowskiego, kapo Wilhelma Szymę oraz Józefa Lichtenberga. Aresztowano też oberkapo Józefa Krala. Pomimo miesięcznego pobytu w bunkrze głodowym oraz tortur nie przyznał się on zamordowania braci Banderów i został zwolniony. Po wojnie stanął przed komunistycznym sądem, który również go uniewinnił. Zeznania świadków wskazywały jednak, że miał on swój udział w śmierci Banderów. Podczas procesu Krala Władysław Smalski zeznawał: „Widziałem, jak cement na taczkach woził więzień nazwiskiem Bandera. W czasie tego wożenia widziałem, jak Kral Józef zaczął Banderę bić drągiem od łopaty po głowie, plecach i rękach w sposób okrutny i bezlitosny tak, ze więzień wkrótce stracił przytomność i upadł na ziemie. Na skutek tego pobicia odwieziony został po apelu do ambulatorium, skąd nie wrócił". Inny świadek Rudolf Żaczek zeznawał z kolei: „Z inicjatywy Krala podlegli Kralowi kapowie, Kowalski i Mikulski, zamordowali dwóch braci Banderów. Kral namawiał mnie do bicia Ukraińców i czynił mi wymówki, że jako vorarbeiter obchodzę się łagodnie z podległymi mi Ukraińcami. O fakcie zabójstwa braci na polecenie Krala dowiedziałem się od Kowalskiego i Mikulskiego. Mówili, że zbili drągami Banderów, a następnie zanurzali ich w beczce z wodą i w ten sposób ich wykończyli".

8 sierpnia 1942 r. przybył do obozu kolejny transport, w którym znalazło się 23 działaczy OUN-B. Jednym z nich był Lew Rebet (w latach 1935–1938 krajowy prowidnyk OUN, wicepremier w rządzie



Jarosław Stećko, działacz OUN, premier rządu Ukrainy w 1941 r. FOT. WIKIPEDIA

Jarosława Stećki; zamordowany 12 października 1957 r. przez funkcjonariusza KGB Bogdana Staszyńskiego). W tej grupie znalazł się również Mykoła Kłymyszyn, dowódca grupy pochodnej OUN-B Północ. Kłymyszyn tuż po przybyciu został ostrzeżony przez Borysa Witoszyńskiego, że poszukują go Polacy, chcąc mu wymierzyć sprawiedliwość za śmierć płk. Pierackiego (Kłymyszyn za udział w zamachu skazany został przez polski sąd na karę dożywotniego więzienia). „Otawa" (jeden z pseudonimów Kłymyszyna) tak wspominał moment zetknięcia się polskimi więźniami: „Wieczorem do bloku nr 11 przyszli z kijami Polacy. Było ich ponad dziesięciu i zaczęli pytać, kto tutaj jest z OUN-B. Nikt z nas się nie odezwał. Tak trzy razy pytali, grożąc, że zabiją na miejscu, gdy znajdą. Kiedy mimo wszystko nikt z nas nie zgłosił się, oni zaczęli jednego po drugim pytać o imię i nazwisko. Kiedy imię i nazwisko brzmiało po polsku odprawiali na blok. [...] Kiedy przyszła na mnie kolej, powiedziałem prawdziwe swoje nazwisko i że jestem Ukrainiec. Ale na pytanie skąd, powiedziałem, że z Żytomierza.

– A gdzie jest Żytomierz?

– Koło Kijowa – odpowiadam.

– Toś ty nie z polskiej Ukrainy?

– Nie – daję odpowiedź.

– To idź na blok – zadecydował jeden z nich".

Dobrze się ustawić

Wkrótce Niemcy przenieśli banderowców do jednego bloku. Wspólny pobyt dawał szansę na wzajemną pomoc. Przywódcą grupy banderowskich więźniów został Kłymyszyn. Miał on świadomość, że najważniejszą kwestią będzie ulokowanie ukraińskich więźniów w strukturach obozowych, co da największe szanse przeżycia. Udało się to np. Petro Mirczukowi. Pracował on w komandzie budowlanym, a dzięki znajomości języka niemieckiego został tłumaczem kapo nadzorującego pracę więźniów. Okazało się, że poza znajomością języka Mirczuk potrafi także robić na drutach. Ta umiejętność okazała się bardzo cenna. Ciepła odzież była towarem deficytowym. W ten sposób Mirczuk dostał pracę w warsztacie szewców i krawców. Sam Mykoła Kłymyszyn, także znający niemiecki, został przeniesiony do biura rejestracji więźniów (Aufnamenenkomando). Obok niego pracowali tam również Zenon Winnicki i Borys Witoszyński. Kłymyszyn, jako przywódca ounowskiej samopomocy, dbał o to, by Ukraińcy znajdowali „ekskluzywne" miejsca pracy. Omelian Kowal trafił do kuchni, dzięki czemu pojawiła się możliwość dostarczania innym więźniom żywności, co w związku z chronicznym niedożywieniem miało olbrzymie znaczenie. Inni współwięźniowie, np. Mychajło Maruńczak, pracowali w szpitalu, a Wołodymyr Oreńczuk w Effektenkammer – magazynie rzeczy „wziętych w depozyt", czyli odebranych innym więźniom. Petro Bolechowski-Bojan zatrudniony został z kolei w obozowej orkiestrze.

W roku 1943 do obozu dotarły nowe transporty z ukraińskimi więźniami.

eprasa.pl 2fc267a1cd

150 osób przybyło 3 października 1943 r. Wszystkich skierowano do KL Birkenau. Ponieważ był to obóz zagłady, prawdopodobieństwo ich śmierci było bardzo duże. Kłymyszyn podjął próbę uratowania swych rodaków. Dzięki kontaktom, jakie miał z SS-Unterscharfuhrerem Klausem Dylewskim (studiującym przed wojną w Gdańsku z ukraińskimi działaczami OUN), ukraińskich więźniów z Birkenau udało się przerzucić do Auschwitz. Kolejny transport ze 132 banderowcami przyjechał 28 października 1943 r. Tym razem w grupie znajdowało 10 kobiet. Natychmiast udzielono im stosownej pomocy.

Ważnym elementem funkcjonowania więźniów członków OUN były relacje z polskimi więźniami. Początkowo były one bardzo wrogie. Śmierć braci Banderów była tego przykładem. Szybko jednak zarówno polska, jak i ukraińska strona doszły do wniosku, że należy zawrzeć jakieś porozumienie. W tym celu zorganizowano spotkanie Kłymyszyna z Ludwikiem Rajewskim. Ten pierwszy przedstawił postulaty ukraińskie dotyczące np. zatrudnienia słabszych więźniów ukraińskich „pod dachem" oraz zatrudnienie na bloku nr 11 ukraińskiego lekarza Wasyla Stroncićkiego. Te propozycje Polacy należący do obozowej konspiracji zaakceptowali. W rozmowach ze stroną ukraińską uczestniczył

Z biegiem czasu polsko-ukraińskie relacje obozowe zaczęły układać się coraz lepiej

także Władysław Fejkiel. Wspominał on później, że początkowo członkowie OUN rozmawiać nie chcieli. Zmienili zdanie, gdy okazało się, że jeden z Ukraińców (Mychajło Szewczuk) to kolega ze studiów Władysława Fejkiela. Dzięki temu udało się ostatecznie osiągnąć porozumienie w sprawie opieki nad chorymi banderowcami. Sprawować ją miał Tadeusz Szymański, który zatrudnił dwóch Ukraińców: Mychajło Szewczuka i Leonida Mostowycza.

Z biegiem czasu polsko-ukraińskie relacje obozowe zaczęły układać się coraz lepiej. Pracujący w biurze rejestracji więźniów, wraz Kłymyszynem, Kazimierz Smoleń pomimo plotek krążących w obozie o rzekomym donoszeniu Niemcom przez Ukraińców po wojnie relacjonował: „Nie słyszałem, aby ktoś z Ukraińców naszego komanda donosił do Politische Abteilung. A mieli ku temu sposobność, bo wymieniony SS-Hauptscharführer Malotky zjawiał się od czasu do czasu w KL Auschwitz, rozmawiał z Ukraińcami i interesował się warunkami ich pobytu w obozie, a więc gdyby chcieli, to mogli mu opowiedzieć o swoich spostrzeżeniach".

Ukraińcy nie tylko przyjęli postawę neutralną, lecz także w końcu angażowali się w działania konspiracyjne. Smoleń wspominał: „Mówiąc o naszych ukraińskich kolegach z komanda, muszę dodać, że współdziałali z nami Polakami przy sporządzaniu nielegalnego wykazu transportów więźniarskich. Wykaz [...] ten został potajemnie wysłany z KL Auschwitz i zachował się. Gdyby esesmani z Politische Abteilung dowiedzieli się o tej naszej działalności, uczestnikom tego działania groziłaby śmierć. We wspomnianym wykazie transportów rejestrowanych w KL Auschwitz można między innymi rozpoznać rękopis Kłymyszyna". Wśród Polaków i Ukraińców rodziły się nawet przyjaźnie. Omelian Kowal po latach wspominał jednego z polskich więźniów o imieniu Władek, z którym pracował w kuchni. Więzień Andrzej Rablin stwierdził natomiast: „Z Ukraińcami byłem w dobrych stosunkach, jeden z nich uczył mnie pieśni ukraińskich".

W grudniu 1944 r. nastąpiły zwolnienia więźniów ukraińskich pełniących wysokie funkcje w OUN-B. Jarosław Rak odzyskał wolność 18 grudnia, a dzień później obóz opuścili Kłymyszyn, Łenkawski i Rebet. Ci, którzy zostali w Auschwitz, szli później w ewakuacyjnym marszu śmierci. Dla większości droga ta zakończyła się w KL Mauthausen-Gusen i jego podobozie KL Ebensee. W tym ostatnim zmarł 5 maja 1945 r., tuż przed wyzwoleniem go przez armię amerykańską, Julian Sawicki, działacz, który odczytał przez radio w 1941 r. Akt 30 czerwca.

W latach 1942–1945 w obozie KL Auschwitz zmarło ok. 17 ounowskich więźniów. W większości byli to Ukraińcy deportowani w lipcu 1942 r. Kolejnych 22 zmarło potem w Ebensee. Liczba 39 ofiar na ok. 340 ukraińskich więźniów nie była więc duża, biorąc pod uwagę to, że członkowie OUN przebywali przecież w obozie koncentracyjnym będącym synonimem zbrodni niemieckich popełnionych podczas drugiej wojny światowej.



Powitane Hansa Franka przez Ukraińców we Lwowie FOT. NAC

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fc267a1cd



Zamek w Kiesi FOT. ADOBE STOCK

XVI–XVII w. / Szarże polskiej jazdy

Inflanckie triumfy husarii



Sławomir Koper

Sukcesy husarii na Inflantach kojarzą się głównie z bitwą pod Kircholmem, ale już wcześniej nasi skrzydlaci jeźdźcy pokazali swoją wartość

Mistrzowie zakonu inflanckiego z reguły unikali dłuższych pobytów w Rydze, uważając sąsiedztwo arcybiskupa i kłótliwych mieszczan za wyjątkowo niewskazane. Wprawdzie zakonni dostojnicy często musieli przebywać na tamtejszym zamku, ale na swoją stałą siedzibę wybrali miasto Wenden nad rzeką Gaują. Obecnie nosi łotewską nazwę Cēsis, a do polskiej historii przeszło pod bardziej swojskim mianem Kieś.

W 1209 r. zakonnicy wznieśli kamienny zamek, który już rok później odparł oblężenie wojowniczych Estów. Z czasem twierdza stała się jedną z najważniejszych na Inflantach, a przy okazji rozwijało się również miasto położone na uczęszczanym szlaku handlowym. Karawany kupieckie zmierzały z Rygi do Dorpatu, co w rzeczywistości oznaczało połączenie handlowe pomiędzy Europą Zachodnią a Rusią. Oczywiście zakonnicy nadzorowali ten cały proceder, co przynosiło im poważne dochody.

Obecnie miasto liczy nieco ponad 18 tys. mieszkańców. Zachwyca jego położenie, Kieś znajduje się bowiem na terenie Parku Narodowego Gauja, a rzeka przepływa pomiędzy wysokimi wzgórzami przypominającymi miejscami klify. Znajdują się tutaj również liczne jaskinie, dzięki czemu park wygląda chwilami jak

eprasa.pl 2fc267a1cd





Kościół św. Jana w Kiesi
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ZAIR ON

skrzyżowanie okolic Ojcowa z puszczą Białowieską. Samo miasteczko natomiast wyrasta nagle, gdyż niespodziewanie przed szybą samochodu pojawiają się drewniane domy tak charakterystyczne dla Łotwy. Chociaż już z daleka widziałem ruiny zamku, to nie mogłem sobie odmówić kontaktu z sielankowym miasteczkiem. Było wczesne, letnie popołudnie, panował leniwy spokój, a co najważniejsze, nie było tłumów turystów. W zamian niemal wszędzie stały malarskie sztalugi, na których miejscowi plastycy szkicowali coś zajadle, a obok wisiały ukończone już prace. Jak zwykle w takich miejscach były to widoki miasta i okolicy, chociaż nie brakowało też portretów. Inna sprawa, że liczba malarzy była tak znaczna, iż zrozumiałem, dlaczego miasto bywa określane jako plastyczna stolica kraju. A przy okazji również muzyczna, gdyż u podnóża zamku zawsze odbywają się inauguracja i zakończenie sezonu operowego, a do tego jeszcze wiele koncertów.

Kieś bywa też nazywana najbardziej łotewskim z miast. W czasach sowieckich nie było tutaj praktycznie osadnictwa ludności rosyjskojęzycznej, a ci, którzy do dzisiaj przyznają się do tej narodowości (ok. 11 proc. mieszkańców), na ogół są potomkami osób, które przybyły tutaj jeszcze za czasów imperium Romanowów. Jeszcze ważniejszym powodem przywiązania Łotyszy do miasta jest to, że to właśnie stąd mają pochodzić barwy narodowe kraju: czerwono-biało-czerwone. Podobno jest to pamiątka po bohaterskim królu (raczej naczelniku plemiennym) Liwów czy Łatgalów, który zaciekle bronił się przed kawalerami mieczowymi.

Ranny wykrwawił się na białe płótno, a jego poddani mieli ponieść dalej tę zaimprowizowaną chorągiew, która z czasem stała się flagą narodową. Ile jest w tym prawdy, nie wiadomo, ale Łotysze są bardzo przywiązani do swoich barw i chętnie je eksponują.

Na zamku

Przyjechałem do miasta głównie z powodu miejscowego zamku stanowiącego wyjątkowej klasy atrakcję turystyczną. Twierdza powstała z kamienia wapiennego na planie czworoboku i kiedyś była otoczona fosą, a jej walory obronne wzmacniały trzy baszty. Budowla zachowała się w formie zabezpieczonej ruiny, co nie powinno specjalnie dziwić, gdyż przechodziła bardzo burzliwe koleje losu. W 1577 r., podczas oblężenia warowni przez wojska Iwana Groźnego, miejscowi dostojnicy woleli wysadzić część budowli w powietrze i ponieść śmierć na miejscu niż dostać się w ręce wschodniego satrapy.

Zamek odbudowano, potem dostał się w ręce Szwedów, aż podczas wielkiej wojny północnej opanowali go Rosjanie. Wtedy budowla popadła w ruinę, a pod koniec XVIII w. jej właścicielem stał się zamożny Baltendeutsch, Karol von Sievers. Hrabia w bezpośredniej bliskości murów warowni wybudował pałac, w którym obecnie mieści się muzeum. Barokowa rezydencja nie jest pozbawiona uroku, ale nie może się równać z pozostałościami zakonnej fortecy.

Będąc w mieście, warto zajrzeć również do gotyckiego kościoła św. Jana służącego obecnie luteranom. To najstarsza zachowana budowla w Kiesi. Kiedyś była ona siedzibą biskupa inflanckiego, którego diecezja istniała do 1798 r. W jej wnętrzu zachowały się interesujące polonika świadczące o przynależności miasta do Rzeczypospolitej. Jednym z nich jest epitafium biskupa Ottona Schenkinga, który otrzymał inwestyturę z rąk Zygmunta III Wazy, natomiast drugim jest nagrobek jego poprzednika, Andrzeja Nideckiego.

eprasa.pl 2fc267a1cd

Trudno nie oprzeć się refleksji, że chociaż miasto położone jest o ponad 700 km od Warszawy, to jednak kiedyś znajdowało się w granicach państwa polsko-litewskiego. Wprawdzie wszyscy pamiętamy, że przed wiekami granice naszego kraju rozciągały się daleko na wschód i północ, ale dopiero gdy staniemy przed nagrobkiem, to w pełni uświadomimy sobie, jak ogromne było państwo naszych przodków.

Husaria na Inflantach

Jeżeli weźmiemy do ręki jakikolwiek podręcznik historii wojskowości, to okaże się, że Polacy w dziejach wojen zapisali się głównie z powodu husarii. Skrzydlaci jeźdźcy przez dwa wieki dominowali na polach europejskich bitew, a ich szarża była z reguły uderzeniem nie do odparcia. Nie miała znaczenia dysproporcja sił, nieważne, czy przeciwnik miał trzykrotną czy też większą przewagę, atak ciężkiej jazdy przełamywał szyki, co decydowało o losach starcia. Przy okazji skuteczna szarża znacznie też skracała czas bitwy, ponieważ najczęściej po kilkunastu minutach było już po wszystkim.

Po raz pierwszy pełnię swoich możliwości skrzydlata jazda wykazała na Inflantach podczas wojen ze Szwecją. Skandynawowie nie mieli dotychczas do czynienia z husarią i gdy w styczniu 1601 r. zaatakowali znacznie słabsze siły polsko-litewskie pod Kiesią, byli pewni zwycięstwa. Oddziały szwedzkie liczyły bowiem ok. 3 tys. ludzi, podczas gdy wojska Rzeczypospolitej zaledwie 700 osób. Napastnicy jednak pozwolili naszym rodakom przyszykować się do ataku, co przyniosło fatalne skutki. Nie znali bowiem siły uderzeniowej husarii i szwedzka jazda w popłochu wycofała się zamarzniętą rzekę. Załamujący się lód dopełnił klęski. Przy okazji wybito też niemal do nogi piechotę, a straty Szwedów wyniosły blisko 2 tys. ludzi. Natomiast po stronie polskiej poległo tylko 10 osób.

Wydawać się może dziwne, że w czasach, gdy broń palna odgrywała coraz większą rolę, to właśnie „ręczna robota" polskich jeźdźców decydowała o zwycięstwach w bitwach. Warto jednak pamiętać, że celność ówczesnych pistoletów czy arkebuzów pozostawiała wiele do życzenia, a ich szybkostrzelność wynosiła zaledwie dwa–trzy strzały na minutę. Skuteczny zasięg dochodził do stu metrów, co oznaczało, że po zaledwie jednej salwie w szeregi piechoty wpadała husaria i czyniła prawdziwe spustoszenie. Tym bardziej że jeźdźcy atakowali w luźnym szyku, co utrudniało celowanie, a dopiero na sam koniec zwierali szeregi, by przełamać wroga.

Zwycięstwo pod Kiesią było pierwszym z licznych polskich triumfów na Inflantach, ale niestety nie zostało ono wykorzystane. Podczas kolejnych wojen Rzeczypospolitej w XVII w. z reguły nie mieliśmy sobie równych na placu boju, ale ostateczny wynik zmagań pozostawał dość problematyczny. Wina leżała w ustroju państwa polsko-litewskiego, który w tych latach zaczynał coraz bardziej szwankować.

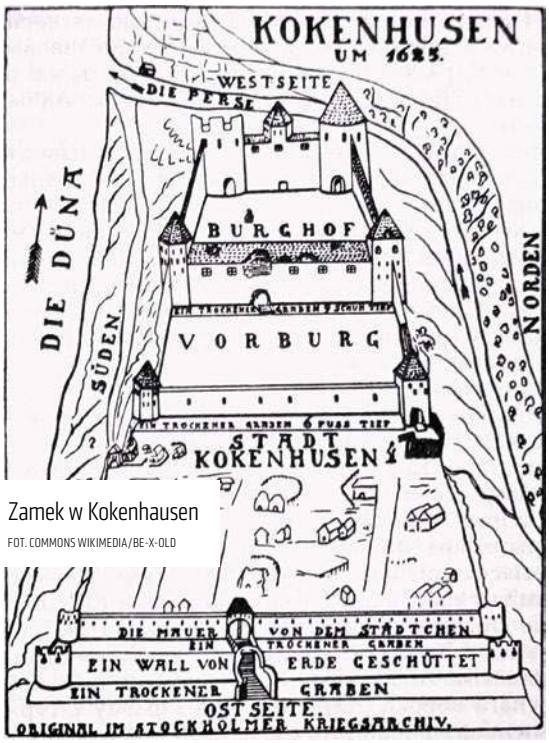
Podstawowym problemem był proces organizacji środków finansowych na utrzymanie wojska. Podatki musiał uchwalić Sejm, a ich ściąganie zajmowało trochę czasu. W efekcie po zwycięskich kampaniach nieopłacone wojsko najczęściej rozchodziło się do domów i niewiele pomagało osobiste zaangażowanie wodzów, którzy czasami opłacali armię z własnych środków. Szwedzi natomiast nie mieli podobnych problemów, gdyż ich ubogie królestwo miało duże możliwości mobilizacyjne, a wojny były dla jego ludności jedyną możliwością wzbogacenia. Skandynawscy żołnierze uchodzili przy tym za wyjątkowo bitnych, zatem był to dla Rzeczypospolitej wyjątkowo trudny rywal.

Kokenhausen

Inflanty były obszarem o dużym znaczeniu strategicznym i ten, kto panował nad ich terytorium, dominował też we wschodniej części basenu Morza Bałtyckiego. Uwagę okolicznych mocarstw przyciągały także nadmorskie miasta, które wzbogacone na handlu uchodziły za wyjątkowo zamożne.

„Już tu wjeżdżamy w nowy świat, rozkoszny – wspominał uczestnik wyprawy Stefana Batorego, Jan Piotrowski. – Krzyżacy nie byli snadź prostaccy, że się tu cisnęli. Około Dorpatu kraje szerokie, grunta osobliwe i urodzajne. Miasto same bardzo nadobne, na cudnym miejscu, rzekę portową ma. Mniejsze niż Toruń nasz. Kamienice wszystkie ze szczerego muru na kształt toruńskich, drewnianego domu żadnego nie masz".

Sprawa Inflant od początku była skomplikowana, gdyż królowie ze Sztokholmu usadowili się w Estonii i nie zamierzali respektować polskich układów z Zakonem Kawalerów Mieczowych. Już Stefan Batory narzekał, że gdy on odnosił zwycięstwa nad Moskwą, to najbardziej korzystał z tego jego szwagier (Jan III Waza był mężem Katarzyny Jagiellonki, siostry żony Batorego). Wybranie na tron polski syna króla Szwecji, Zygmunta III, jeszcze pogorszyło sytuację, gdyż młody Waza był gorliwym katolikiem i raczej nie miał szans na uznanie w luterańskim Sztokholmie. Unia polsko-szwedzka szybko się rozpadła, szczególnie że Zygmunt,



Zamek w Kokenhausen

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BE-X-OLD

eprasa.pl 2fc267a1cd



Krzysztof Mikołaj Radziwiłł „Piorun”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

zgodnie ze wcześniejszymi ustaleniami, ogłosił przyłączenie Estonii do Rzeczypospolitej. Doszło do otwartej wojny, której oficjalnym powodem były sprawy dynastyczne, ale tak naprawdę chodziło o panowanie na Inflantach.

Konflikt rozpoczął się wiosną 1600 r., gdy szwedzkie wojska wyparły polskie załogi z miast Estonii. Od samego początku wojna układała się niekorzystnie dla Rzeczypospolitej, Skandynawowie bez walki zajmowali miasta, popierali ich inflanccy mieszczanie i chłopi. Nie na wiele przydało się też zwycięstwo pod Kiesią.

Szwedzi odnosili kolejne sukcesy, gdyż nieopłacone wojsko Rzeczypospolitej po zwycięstwie nad Kiesią rozeszło się po kraju, grabiąc jego mieszkańców. Oczywiście nie wpłynęło to pozytywnie na nastroje miejscowej ludności, która jeszcze bardziej sprzyjała Szwedom. Skandynawowie mieli też znaczną przewagę liczebną, a ich dwa korpusy operujące na Inflantach dysponowały 14 tys. ludzi, przy 4,5 tys. Polaków i Litwinów.

Sejm uchwalił jednak solidne podatki i planowano, że następnego roku na Inflantach pojawi się kilkunastotysięczna armia. Wojsko jednak zbierało się wyjątkowo opieszale, co wykorzystali Szwedzi, docierając pod Rygę i osiągając linię Dźwiny. Na początku kwietnia zdobyli Kokenhausen, a polska załoga broniła jeszcze tylko zamku. Tam też miała się niebawem rozegrać bitwa będąca jednym z największych triumfów husarii.

Pierwszy raz trafiłem do Kokenhausen przez przypadek. Była jesień 2011 r. i jechałem w kierunku Rygi, nie planując tego dnia zwiedzania po drodze. Jednak gdy zobaczyłem łotewską nazwę Koknese, od razu uświadomiłem sobie, gdzie jestem. Natychmiast się zatrzymałem i zacząłem się rozglądać za ruinami miejscowego zamku, który dotychczas znałem tylko ze zdjęć.

Miasteczko jest niewielkie i liczy obecnie ok. 3 tys. mieszkańców. Sprawia wrażenie zwykłej „przelotówki” przy głównej drodze prowadzącej z Dyneburga do stolicy kraju. Dawna twierdza położona jest nad szeroko rozlewającą się tutaj Dźwiną, ok. kilometra od szosy. To zabezpieczona ruina, gdyż została wysadzona w powietrze podczas wielkiej wojny północnej, ale kamienne mury nad rzeką są niezwykle fotogeniczne. Tym bardziej że podczas pierwszej mojej wizyty w tym miejscu był bardzo mglisty dzień i wodne opary wolno snuły się nad Dźwiną. Słońce z trudem przebijało się przez mgłę, tworząc wręcz baśniową scenerię, a urok zamku potęgowało jeszcze to, że poza mną nie było w nim nikogo i miałem budowlę wyłącznie do swojej dyspozycji. W tej sytuacji nie przeszkadzały mi nawet dwie kiczowate armaty ustawione pomiędzy murami.

Twierdza sprawia imponujące wrażenie, już na pierwszy rzut oka widać, że rozbudowywano ją przez całe pokolenia. Sąsiadują ze sobą elementy romańskie i gotyckie, nie brakuje też późniejszych dodatków. Niegdyś zamek znajdował się na wysokich skałach, ale po spiętrzeniu Dźwiny znalazł się nad samą wodą. Rzeka zresztą rozlewa się tutaj bardzo szeroko i przypomina jezioro, gdyż nie widać nawet nurtu wody.

Dowodzący siłami skandynawskimi książę Karol Sudermański (późniejszy król Karol IX) uznał zamek za fortecę nie do zdobycia i polecił jej blokadę, licząc, że załoga podda się po wyczerpaniu zapasów. W drugiej połowie maja nadciągnęły jednak wojska polsko-litewskie pod dowództwem hetmana wielkiego litewskiego Krzysztofa Radziwiłła, a nieco później posiłki prowadzone przez jego zastępcę, Jana Karola Chodkiewicza.

W odpowiedzi Szwedzi przysłali odsiecz i 23 czerwca doszło do decydującej bitwy. Szwedzi jak zwykle mieli przewagę liczebną (ok. 5 tys. żołnierzy), do czego dochodziła jeszcze silniejsza artyleria, a w każdej chwili mogła ich wspomóc dwutysięczna załoga miasta. Naprzeciwko z nich stanęła nieopłacana armia Radziwiłła licząca niecałe 3 tys. ludzi. I zwyciężyła, gdyż o wszystkim przesądziło uderzenie husarii pod dowództwem Chodkiewicza. Ciężka kawaleria rozbiła szwedzką jazdę, a chwilę później zmiotła piechotę. Dzieła zniszczenia dopełniła polska artyleria, Skandynawowie stracili 2 tys. żołnierzy, natomiast straty po drugiej stronie wyniosły poniżej 200 ludzi. Husaria po raz kolejny pokazała swoje możliwości, udowadniając, że w rękach dobrego wodza była formacją nie do pokonania.

Tego samego dnia skapitulowała załoga miasta. Przy okazji doszło do niezbyt chwalebnych wydarzeń, ponieważ zwycięzcy wymordowali część jeńców, a resztę obrabowali. Zapewne wpływ na takie zachowanie miało to, że armia dawno nie otrzymywała żołdu, a do tego doszło jeszcze upojenie zwycięstwem i trunkami. Natomiast dalsze wypadki tylko potwierdziły kompletną niewydolność militarną Rzeczypospolitej. Ten kraj wydawał znakomitych wodzów i żołnierzy, ale nigdy jednak nie potrafił sobie poradzić z opracowaniem sprawnego systemu finansowania armii. Nieopłacane oddziały zaczęły się rozchodzić, do tego doszły jeszcze doszły spory pomiędzy Radziwiłłem a Chodkiewiczem. Dwa miesiące po zwycięstwie hetman miał już tylko jedną trzecią stanu osobowego armii i wycofał się do Rygi. Kampania 1601 r. zakończyła się przedwcześnie.

O losach zamku Kokenhausen zadecydowała kolejna wojna o panowanie nad Bałtykiem. W 1700 r. budowlę obsadziły wojska saskie Augusta II, wzniesiono potężne szańce, w których zorganizowano obóz dla 12 tys. ludzi. Kilka miesięcy później nadciągnęły jednak szwedzkie oddziały Karola XII i Sasi podczas ewakuacji wysadzili budowlę w powietrze. Jako ruina przetrwała do dzisiaj.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



SŁAWOMIR KOPER, TOMASZ STAŃCZYK
„KRESY PÓŁNOCY. WYPRAWA DO POLSKICH INFLANT”
FRONDA

„Antologia pamiętników XVI wieku, red. R. Pollak, *Wrocław 1966.*
Bohun T., „Kircholm 1605. Gambit hetmański”, „Mówią Wieki”, *https://web.archive.org/web/20070927211334/http://www.mowiawieki.pl/artykul.html?id_artykul=1496*

eprasa.pl 2fc267a1cd



Legioniści rzymscy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/JASTROW/ MUSEO NAZIONALE ROMANO DI PALAZZO ALTEMPS

I-W. / Dwa samobójstwa i dwa zabójstwa

Krew czterech cesarzy



Tomasz Stańczyk

Lata 68–69 n.e. były przełomowym momentem w historii Imperium Rzymskiego. Wojsko, a nie senat, zaczęło wybierać cesarzy

W 14. roku rządów Nerona miarka się przebrała. Ten wrażliwy i niepewny siebie artysta, uwielbiający występować ze śpiewem i z deklamacjami przed publicznością, żądny braw i nagród, był jednocześnie bezwzględnym tyranem. Rozkazał zamordować swoją matkę Agrypinę i żonę Oktawię, skazywał na śmierć ludzi z rzymskiej elity, w tym senatorów, lub kazał im popełniać samobójstwo. Wśród tych ostatnich był Gajusz Pizon, przywódca spisku przeciw Neronowi. Prefekt pretorianów Ofoniusz Tygellinus wykorzystał okazję, by wyeliminować z kręgu najbliższego otoczenia pisarzy i filozofów Senekę Młodszego i Gajusza Petroniusza oraz poetę Lukana, których posądził o powiązania z Pizonem. Zostali oni zmuszeni do popełnienia samobójstwa.

Petroniusz, jak pisał Tacyt: „Nawet w testamencie nie schlebiał, jak większość tych, co ginęli, Neronowi ani Tygellinowi, ani żadnej innej wpływowej osobistości, lecz podawszy imiona bezwstydnych chłopców i niewiast, opisał sromoty cesarza i niezwykłość każdej rozpusty; pismo to opatrzył swoją pieczęcią i posłał Neronowi". Likwidacja spisku Pizona przedłużyła życie Neronowi o trzy lata. W 68 r. Serwiusz Sulipciusz Galba, namiestnik Hiszpanii Tarrakońskiej, dowiedział się z przejętych listów, że Neron polecił go zamordować. To popchnęło go działania.

Swetoniusz tak opisał decydujący moment w życiu Galby: „Więc gdy wszedł na wzniesienie, jakoby pragnąc oswobodzić się ze skóry niewolnika – tam uprzednio ustawiono przed nim największą, jaką można było zgromadzić, liczbę wizerunków obywateli przez Nerona skazanych na śmierć i wymordowanych [...], wówczas opisał z żalem opłakany stan państwa i powitany jako cesarz ogłosił się legatem senatu i narodu rzymskiego".

Galba przeraził się jednak, gdy dowiedział się o śmierci Gajusza Juliusza Windeksa – namiestnika Galii Ludgueńskiej, który wzniecił nieudany bunt przeciw Neronowi. Podobno chciał nawet popełnić samobójstwo, gdy dowiedział się o jego klęsce. Decydujący o losie Nerona spisek zawiązał się w samym Rzymie, a na jego czele stanął prefekt pretorianów Nimfidiusz Sabinus.

Galba

„Potajemnie, lecz sprawnie i skutecznie przeciągnął na stronę Galby kohorty pretorianów – pisał Aleksander Krawczuk. – Momentalnie, w ciągu zaledwie kilku godzin jednej nocy, opuścili Nerona wszyscy: straże, służba, przyjaciele". Sabinus obiecał pretorianom wielkie nagrody, które miał im przyznać nowy cesarz...

Stało się to w czerwcu 68 r. Neron miał tylko do wyboru być zabitym – został przez senat uznany za wroga ojczyzny i skazany na śmierć – lub popełnić samobójstwo. Wybrał to drugie. Przed śmiercią miał powiedzieć ze skruchą, że żył haniebnie i wstrętnie. Ubolewał

eprasa.pl 2fc267a1cd

jednocześnie: „Jakiż artysta ginie wraz ze mną!". Zabrakło mu odwagi, by się zabić, dopiero przy pomocy swego sekretarza Epafrodyta wbił sobie sztylet w szyję. Popełnił samobójstwo w wieku 32 lat, podobno w tym samym dniu, w którym przed laty z jego rozkazu została zamordowana jego żona.

Galba na wiadomość o śmierci Nerona odzyskał rezon, przestał tytułować się legatem senatu i ludu rzymskiego i przyjął tytuł cezara. Senat mógł tylko formalnie to zaakceptować, a gorycz tego osładzało to, że Galba należał do rzymskiej elity, do stanu senatorskiego.

Nowy cesarz niemal błyskawicznie stracił sympatię elit, ludu i wojska. Ogromną rolę przy jego boku odgrywali Tytus Winiusz Rufus, Korneliusz Lakon, nowy dowódca pretorianów i wyzwoleniec Icelus. „Dopuszczali się nadużyć według swych różnych wad, a Galba […] pewnych sławnych obywateli z obydwu stanów na podstawie błahego oskarżenia, skazał bez przesłuchania" – oceniał Swetoniusz.

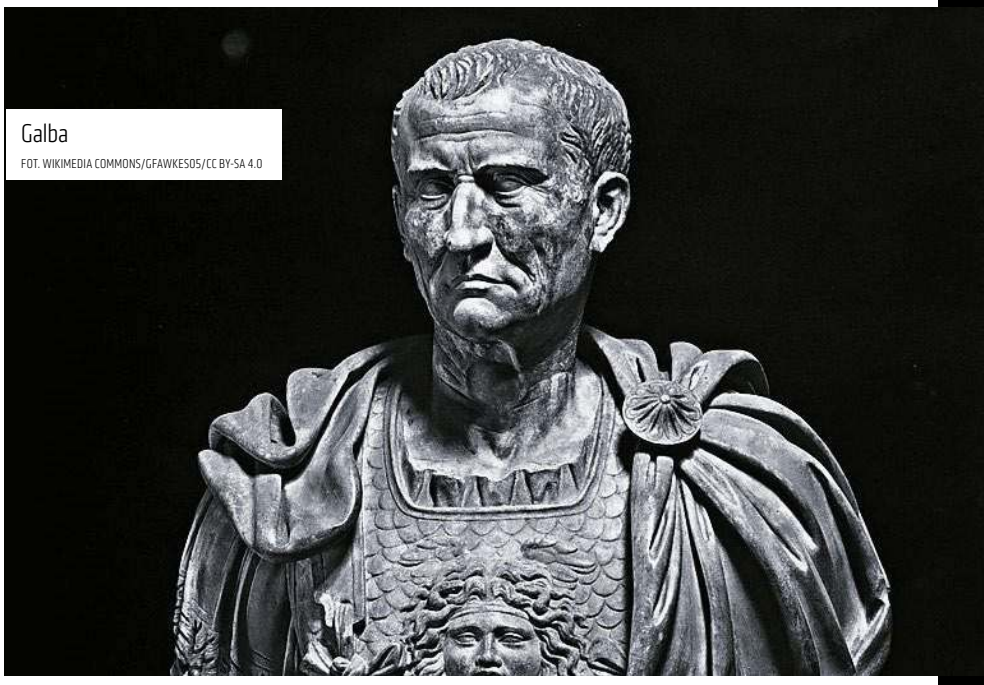
Galba nie zyskał sympatii ludu rzymskiego, gdyż będąc z natury skąpym, nie zjednywał ich ani chlebem, ani igrzyskami. Lud był bardzo zawiedziony brakiem rozrywek. „Wspominano coraz tęskniej Neronowe igrzyska – stwierdzał Aleksander Krawczuk – zabawy, wesoły tryb życia młodego władcy. O jego występkach zapomniano łatwo, ostatecznie bowiem godziły głównie w warstwy możnych". A tych możnych, których obsypywał Neron darami, oburzyła decyzja, by je zwrócili.

Nowy cesarz naraził się też bardzo pretorianom i wojsku, które złożyło przysięgę wierności na ręce swoich dowódców i dostało od nich obietnicę otrzymania większej niż zwykle daniny. Galba przekreślił to zobowiązanie, mówiąc, że ma zwyczaj „werbowania żołnierzy, a nie kupowania". Inna to rzecz, że finansowo nie mógł spełnić nadmiernych obietnic, które składano w jego imieniu. Żołnierze legionów z Germanii, zawiedzeni brakiem wynagrodzeni za pomoc Galbie, oświadczyli, że przysięgną, jednak nie jemu, ale senatowi, i żądali od pretorianów, aby wybrano cezara, który byłby zaakceptowany przez wszystkie legiony. Był styczeń 69 r., zaczynał się rok czterech cesarzy.

Tymczasem Galba bardzo ryzykownie postępował z pretorianami, zwalniając wielu z nich ze służby. Jednak naprawdę fatalnym krokiem była adopcja w styczniu 69 r. młodego Lucjusza Pizona Licynianusza, którego ponad 70-letni Galba w ten sposób namaścił na swojego następcę. Nie dość, że ten krok nie zyskał akceptacji wojska, gdyż Galba nie zamierzał zjednać dla nominacji Pizona dowódców i żołnierzy pieniędzmi, to jeszcze wywołał wściekłość Marka Salwiusza Othona, namiestnika Luzytanii, który pierwszy wsparł Galbę w buncie przeciw Neronowi i liczył, że to on właśnie zostanie usynowiony i wyznaczony na następnego cesarza. Othon zadziałał błyskawiczne. „Rankiem tuż przed morderstwem Galbę składającego ofiary kilkakrotnie upominał wieszczek, aby się strzegł niebezpieczeństwa, że niedaleko są już siepacze" – opisywał dzień zamachu Swetoniusz. Othon przeciągnął na swoją stronę pretorianów, a Galbę uspokajano, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa buntu, informowano go nawet, iż Othona zabito. Galba, nieświadomy śmiertelnego niebezpieczeństwa, przechadzał się więc swobodnie po Rzymie, gdy „jeźdźcy, którym polecono go zabić, najpierw rozpędzili po ulicach tłum cywilów, wpadłszy na nich w pełnym galopie. Następnie zauważywszy go z dala, na chwilę się zatrzymali. Znowu podcięli konie. Świta cesarska pierzchła. Zarąbali go".

Podobno Galba chciał przekupić morderców, oferując im pieniądze, a gdy odrzucili propozycję, miał powiedzieć, aby czynili swoje i zabili go, skoro uważają to za słuszne, dla dobra państwa. Jeden z żołnierzy odciął głowę Galbie, noszono ją później na pice. Zamordowany został także Lucjusz Pizon. Jego głowę przyniesiono Othonowi.

„Powiadają – opowiadał Tacyt – że Othon żadnego mordu radośniej nie przyjął do wiadomości, żadnej głowy nie oglądał tak nienasyconym oczami […], sądził, że jest rzeczą słuszną i godziwą cieszyć się zabójstwem Pizona, który był jego wrogiem i współzawodnikiem".



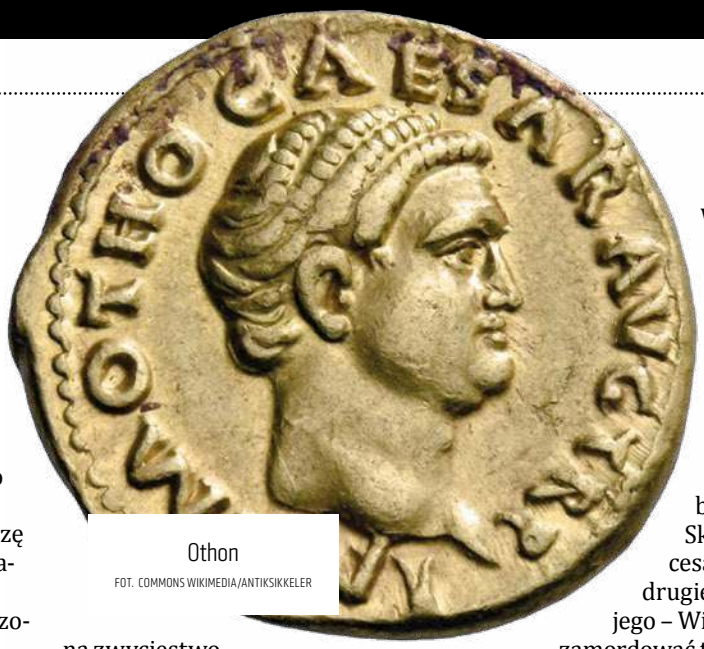
Galba

FOT. WIKIMEDIA COMMONS/GFAWKES05/CC BY-SA 4.0

Othon

Senat znów nie miał wyboru – musiał formalnie uznać cesarza wybranego przez pretorianów i wojsko. Othonowi się wydawało, że nie ma już rywali: Galba i Pizon nie żyli, kazał też zamordować niegdyś wszechwładnego dowódcę

eprasa.pl 2fc267a1cd

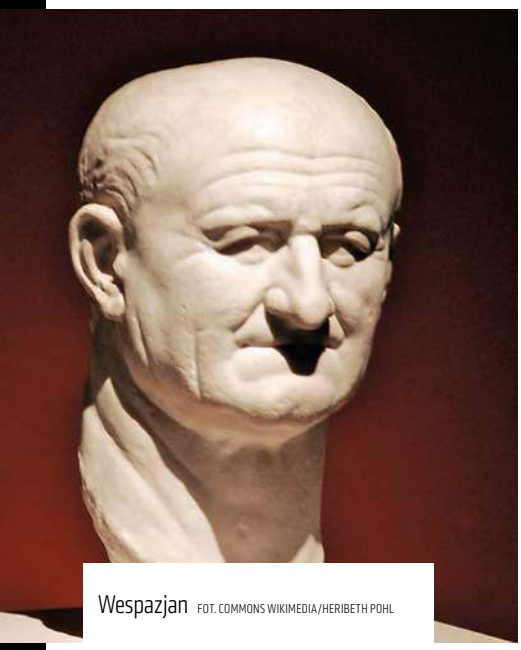


Othon
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ANTIKSIKKELER

pretorianów Tygellinusa, którego uznał za wciąż niebezpiecznego. Dotychczas szczęście sprzyjało Othonowi: był ulubieńcem Klaudiusza, wdzięcznego za zdemaskowanie spisku na jego życie, był też w łaskach u Nerona i mógł się cieszyć, że cesarz, zakochawszy się w jego żonie Sabinie Poppei, nie kazał go zgładzić, lecz tylko usunął go z Rzymu na daleką prowincję.

Jednak gdy Othon obejmował władzę cesarską, żołnierze legionów w Germanii złożyli już przysięgę na wierność swojemu wodzowi Aulusowi Witeliuszowi Germanikusowi. Stało się to dzięki inicjatywie Fabiusza Walensa i Aleniusza Cecyny – dowódców, którzy uznali, że Witeliusz jest słabą osobowością, więc będą rządzić cesarstwem z tylnego fotela.

Othon nie zamierzał walczyć z Witeliuszem. Najpierw zaoferował mu duże pieniądze, żeby zrezygnował z cesarskich ambicji, a potem proponował, że podzieli się z nim władzą i ożeni się z jego córką, by przypieczętować ten układ. Wreszcie nasłał na niego zabójców. To samo zrobił Witeliusz, ale oba zamachy nie doszły do skutku. W tej sytuacji wojna domowa stała się nieuchronna. Pierwsze dwie bitwy wygrali żołnierze Othona, w trzeciej – pod Bedriakum – ponieśli porażkę. Nadal jednak cesarz miał szansę na zwycięstwo, a do dalszej walki i wytrwałości dopingowali go dowódcy i żołnierze. Othon jednak zdawał sobie sprawę, że oznacza to dalszą krwawą wojnę domową. Odpowiedział więc, jak relacjonował Tacyt: „Czyż miałbym pozwolić na to, aby tyle rzymskiej młodzi, tyle wybornych wojsk znowu pokotem legło i państwu wydartych zostało?". Bał się, że przeciągający się konflikt – ktokolwiek zostałby zwycięzcą – spowoduje katastrofę całego państwa, dlatego postanowił go zakończyć nie rokowaniami i rozejmem z Witeliuszem, lecz samobójstwem. Być może też załamał się po klęsce i zdawał sobie sprawę, że zwycięzcy pozbawią go życia.



Wespazjan FOT. COMMONS WIKIMEDIA/HERIBETH POHL

Ojciec Swetoniusza, który brał udział w tamtej wojnie, opowiadał mu, że Othon czuł wstręt do wojny domowej i nigdy nie wystąpiłby przeciw Galbie, gdyby miało to oznaczać krwawą walkę. Zresztą w powszechnej opinii – jak zaznaczał Swetoniusz – zgładził Galbę „nie tyle dla uzyskania władzy, ile raczej dla przywrócenia rzeczypospolitej i wolności". Othon zabił się po niespełna 100 dniach panowania, w kwietniu 69 r. – wbijając sobie sztylet w serce. A na wieść o jego śmierci niektórzy jego żołnierze także popełnili samobójstwo. „Nie z poczucia winy ani obawy – jak zaznaczał Tacyt – lecz dla współzawodnictwa w chwale i miłości dla cesarza".

Witeliusz

Po wielu dniach na pole bitwy pod Berdiakum, gdzie leżały wciąż rozkładające się trupy poległych, przybył Witeliusz i powiedział: „Zabity wróg wonieje pięknie". Jednym z jego pierwszych zarządzeń było stracenie ponad 100 pretorianów, którzy domagali się od Othona nagrody za pomoc w spisku przeciw Galbie i jego morderstwie. Skoro zabili jednego cesarza, to mogli zabić drugiego – w tym przypadku jego – Witeliusza. Nie omieszkał zamordować też niektórych dowódców Othona. W ten sposób wyobrażał sobie, że zapewni sobie bezpieczeństwo.

Sam zaś zamierzał wzorować się na Neronie, więc – jak twierdził Swetoniusz – „szczególnie lubował się w zbytku i okrucieństwie […], skłonny był do mordowania i torturowania każdego z najbłahszej przyczyny […], gdy dwaj synowie wstawiali się za ojcem skazanym na śmierć, do kary ojca dorzucił wyrok skazujący synów". Żołnierze Witeliusza dopuszczali się zaś rabunków, gwałtów i zabójstw. Nic w tym dziwnego – byli zawiedzeni, że Witeliusz nie obdarował ich sowicie za utorowanie drogi do władzy.

Po kilku miesiącach, w lipcu 69 r., zbuntowały się przeciw Witeliuszowi legiony na wschodzie cesarstwa. Bez wątpienia przyczyniła się do tego rozsiewana celowo pogłoska, że legiony z Syrii mają być przeniesione nad Ren. Oburzenie żołnierzy tak wyjaśniał Aleksander Krawczuk: „Mieliby więc porzucić ten kraj miły i ciepły, aby maszerować gdzieś na krańce świata i tam zaczynać wszystko od nowa w prymitywnych warunkach, wśród bagien i lasów, cierpiąc od mrozów i deszczów, walcząc z groźnymi Germanami?".

Cesarzem został okrzyknięty Tytus Flawiusz Wespazjan, tłumiący powstanie w Judei. Podobnie jak w przypadku Witeliusza za tą aklamacją wojska stali ambitni ludzie: Tyberiusz Juliusz Aleksander, prefekt Egiptu, i Gajusz Licyniusz Mucjanus, namiestnik Syrii. Pierwszy, jak tłumaczyli Max Cary i Howard Hayes Scullard, autorzy „Dziejów Rzymu od czasów najdawniejszych do Konstantyna", nie ośmielił się sam pretendować do

eprasa.pl 2fc267a1cd

cesarskiej godności, gdyż był rodowitym mieszkańcem wschodniej części imperium (pierwszym z nich, który uzyskał wysoki urząd prefekta). Drugi zaś, choć pochodził z senatorskiego rodu, nie miał dość ambicji, a może zabrakło mu odwagi. Wespazjan zaakceptował nową swą rolę nie bez wahań, ale miała go przekonać wróżba, według której jego przyszłość była obiecująca: „Cokolwiek zamierzasz obecnie – czy dom budować, czy rozszerzać posiadłości, będzie ci to dane".

Witeliusz usiłował uśmierzyć bunt, sypiąc pieniędzmi, ale to nie pomogło. Zaczął przegrywać bitwy. Za gwarancję życia i odszkodowanie zrzekł się władzy, lecz zachęcony przez swoje otocznie do wytrwania, wycofał się z tego przyrzeczenia. Zbuntowani żołnierze legionu z Panonii, pod wodzą Marcusa Antoniusza Primusa, pokonali armię Witeliusza pod Cremoną. Cesarz zgodził się skapitulować, oddać władzę za cenę ocalenia życia i sowite odszkodowanie. Jednak warunki kapitulacji zostały złamane przez pretorianów, którzy zamordowali Flawiusza Sabinusa – brata pretendenta Wespazjana.

W Rzymie rozpoczęły się krwawe walki między zbuntowanym legionem a pretorianami i żołnierzami Witeliusza, którzy bronili się zaciekle, ale musieli ulec. „Okropny i wstrętny widok przedstawiało miasto całe – pisał Tacyt – tu potyczki i rany, tam łaźnie i knajpy, razem kałuże krwi i stosy martwych ciał, a tuż obok nierządnice i podobni im rozpustnicy; wszelakie chucie rozwiązłego pokoju i wszelkie najbardziej bezwzględne w podboju zbrodnie".

Witeliusz zorientował się szybko w grozie swojego położenia, starał się ukryć, lecz został odnaleziony i poprowadzony ulicami Rzymu. Koniec jego opisał Swetoniusz: „W podartej szacie, półnagiego wleczono go na forum wśród powszechnego poszturchiwania i pośmiewiska. [...] Głowę odchylono mu ku tyłowi, gdyż trzymano go za włosy, jak zwykle złoczyńców, ostrzem miecza podparto mu podbródek, aby można było obejrzeć jego twarz i aby nie pochylał jej w dół. Niektórzy rzucali w niego gnojem i błotem. Inni przezywali podpalaczem i żarłokiem. [...] Wreszcie u Schodów Gemońskich umęczono go drobnymi ciosami i wykończono. Stamtąd hakiem zawleczono go do Tybru". Senat kolejny raz nie miał wyboru, zatwierdził Wespazjana na stanowisku cesarza. Był ostatni miesiąc 69 r.

W ocenie autorów „Dziejów Rzymu" trzej cesarze – Galba, Othon i Witeliusz – byli wojskowymi awanturnikami, zdanymi na łaskę i niełaskę swoich żołnierzy. A lata 68–69 udowodniły, że cesarze mogą być wynoszeni do władzy nie w Rzymie, ale w prowincjach. Wybór Wespazjana pokazał zaś, że władcą Imperium Rzymskiego może być ktoś niepochodzący z elit, ze stanu senatorskiego. Objęcie przez Wespazjana rządów oznaczało nie tylko koniec czasów rządów szalonych, niezrównoważonych ludzi – Kaliguli i Nerona – oraz koniec wojny domowej roku 69. Dziesięcioletnie panowanie Wespazjana było nader pomyślne dla państwa, a po jego śmierci nastąpiła „epoka pięciu dobrych cesarzy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

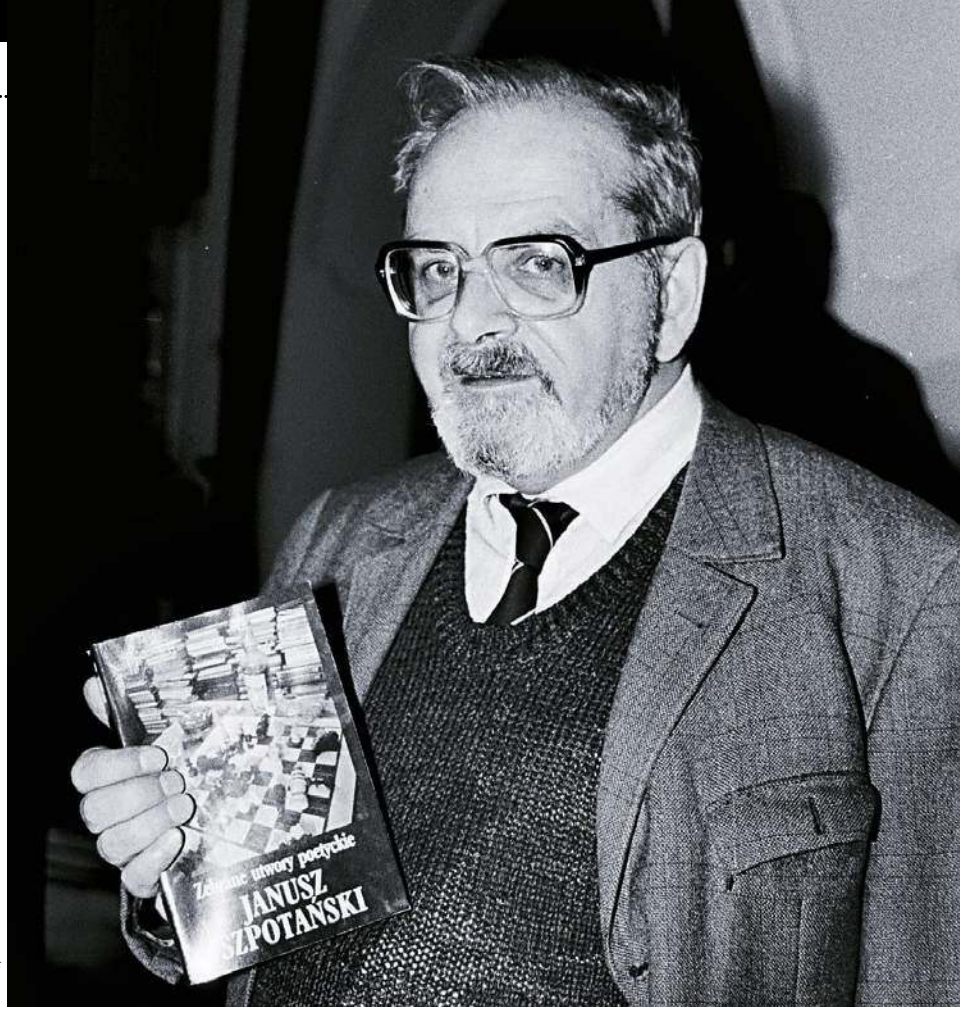


eprasa.pl 2fc267a1cd



Krzysztof Masłoń

Żaden poeta nie wywołał u rządzących komunistów takiej wścieklizny jak Janusz Szpotański



FOT. PAP/JANUSZ MAZUR

1929–2001 / Twórca „Towarzysza Szmaciaka”

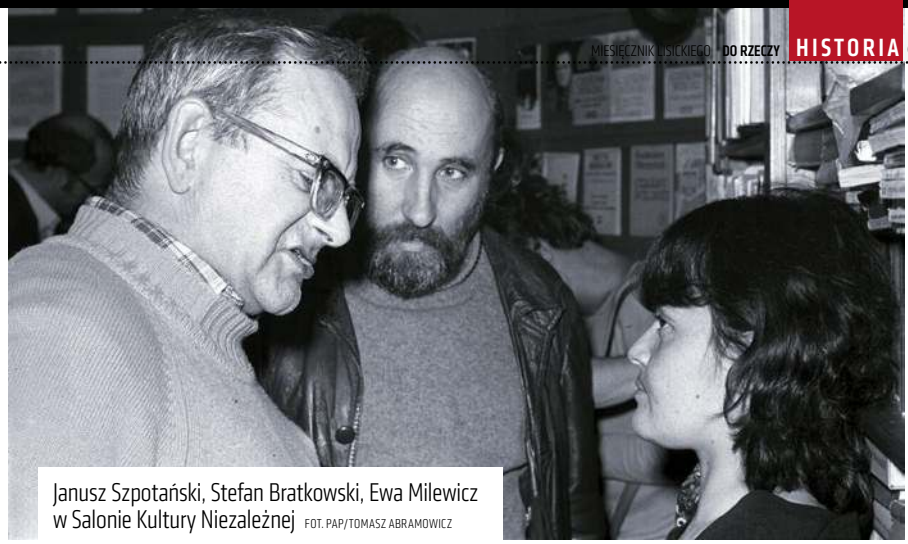
„Człowiek o moralności alfonsa”

Jedna, niewielka książka, a w niej cała historia żałosnego tworu PRL zwanego. Parę poematów dowodzących, że satyra polityczna wcale nie starzeje się tak szybko, jak zwykliśmy mniemać. I że w obliczu wojny na Ukrainie ruskie barbarzyństwo z czasów komunizmu nie jest zamkniętym rozdziałem naszej historii najnowszej. A już na brak towarzyszów Szmaciaków, genialnie sportretowanych przez autora, nie możemy się uskarżać. Oni sami wymarli wprawdzie, bo biologia ma swoje prawa, ale ich dzieci i wnuki poczynają sobie niezgorzej…

Żaden człowiek pióra nie wywołał u rządzących takiej wścieklizny jak Janusz Szpotański (1929–2001). Nieobecny w oficjalnych publikacjach, bo nieprzyjmujący istnienia cenzury do wiadomości. Zresztą odrzucał cały system nazywany „socem”. Łącznie choćby z edukacją. Bo też jak mógł serio traktować studia, na których miały miejsce wydarzenia, które opisał w autobiograficznej prozie zatytułowanej „Wykłady uczonych radzieckich na Uniwersytecie Warszawskim”.

A było to tak… Profesor Konowałow wygłosił odczyt mający wykazać bezapelacyjną wyższość rosyjskiej i sowieckiej myśli filozoficznej nad zgniłą filozofią Zachodu. Szczególne miejsce w wywodach uczonego zajął Michał Łomonosow, który – w ujęciu uczonego – „był, doprawdy, jakąś gigantyczną figurą! Był to po prostu największy uczony wszech czasów. Czegóż to on nie wymyślił! Poza wszystkimi co ważniejszymi prawami fizyki, wynalazł elektryczność, węgiel kamienny, światło, a nawet zorzę polarną! Mało! Już w końcu XVIII wieku skonstruował on samolot, podczas gdy na Zachodzie w tym czasie ledwo co balonem wznoszono się nad ziemię; nic w tym zresztą dziwnego, skoro zajmował się tym ciemny kler w rodzaju księdza Lana czy księdza de Gusmao. Wieść, iż na terenach obecnego Związku Radzieckiego latano samolotem już w XVIII wieku, zelektryzowała salę. Pierwsze rzędy, zajęte przez »Michcików« [nawiązanie do postaci prymusa z »Syzyfowych prac« Stefana Żeromskiego; tu chodzi o komunistycznych janczarów wielbiących wszystko, co ruskie – przyp.

eprasa.pl 2fc267a1cd



Janusz Szpotański, Stefan Bratkowski, Ewa Milewicz w Salonie Kultury Niezależnej FOT. PAP/TOMASZ ABRAMOWICZ

red.] przeszedł dreszcz entuzjazmu, w rzędach ostatnich zaś rozległy się nieśmiałe pochrząkiwania i chichoty. Wówczas skonsternowany tym nieco Konowałow powiedział, że jeśli ktoś nie wierzy, to on się może powołać na świadectwo pewnego 185-letniego Gruzina, który razem z Łomonosowem na tym aeroplanie fruwał i który do dzisiejszego dnia żyje gdzieś na Kaukazie; znane jest miejsce jego zamieszkania, tak że w każdej chwili można się tam do niego udać i zapytać. Do niego więc kieruje wszystkich niedowiarków".

Niestety, słuchający wykładu „w tym czasie mocno już zdziwaczały, a nawet nie będzie przesadą, jeśli się powie, że zdrowo sfiksowany" prof. Rafał Taubenschlag podniósł się z miejsca i po głośnym oświadczeniu: „Bardzo przepraszam, ale podobnych bzdur to ja dłużej już słuchać nie mogę!" opuścił salę, głośno trzaskając drzwiami. Co gorzej, zły przykład widać podziałał, bo już w trakcie następnego, tym razem literaturoznawczego wykładu innego sowieckiego uczonego, prof. Żurki, student do tej pory uważany za jednego z podrzędniejszych „Michcików" wdał się z prelegentem w dyskusję, czy rzeczywiście do Puszkina nie umywają się „ani Homer, ani Dante, ani Szekspir czy Goethe razem wzięci".

Co więcej, ów ZMP-owski dysydent śmiał twierdzić, że od Puszkina większym poetą jest Adam Mickiewicz. No to się musiało wszystko źle skończyć, a wykłady uczonych sowieckich przyspieszyły jedynie rozstanie się Szpota z uniwersyteckimi studiami. Pozostały po nich tylko te, i jeszcze dwa, fragmenty nienapisanej autobiografii twórcy wiekopomnej opery „Cisi i Gęgacze" (1964).

Krakowiacy i górale

Najciekawszy jest zapewne ten ustęp, w którym Janusz Szpotański opowiada: „Jak zostałem poetą satyrycznym". „Aresztowany zostałem w święto Trzech Króli 1967 roku" i osadzony w więzieniu na Mokotowie. W papierach zarekwirowanych w czasie rewizji w jego mieszkaniu znalazł się m.in. list „od znanego i wybitnego adwokata warszawskiego, Michała Brojdesa. Był to list zupełnie niewinny, zapraszający mnie, zdaje się, na jakieś przyjęcie, a kończący się słowami: »Z serdecznym gęganiem – Michał Brojdes«". Prokurator wezwał nadawcę listu jako świadka, a rozmowa ich przebiegała następująco:

„– Panie mecenasie, zna pan niejakiego Szpotańskiego?

– No oczywiście, że znam – na to Brojdes. – I to dobrze.

– A wie pan – ciągnie dalej prokurator – że jest on aresztowany i za co aresztowany?

– Oczywiście – na to Brojdes. – Jest to dosyć głośna sprawa w sferach sądowych: aresztowano go pod zarzutem napisania opery »Cisi i Gęgacze«.

– No właśnie – na to prokurator – a więc stwierdza pan, panie mecenasie, że autorem opery o tym tytule jest Janusz Szpotański.

Na co Brojdes:

– Panie prokuratorze, ja niczego takiego ani nie stwierdziłem, ani nie zamierzam stwierdzić.

– No dobrze – na to prokurator – to w takim razie z innej beczki: czy pan wie, panie mecenasie, kto to właściwie są ci Gęgacze?

Brojdes: – Oczywiście, że wiem. Termin ten powstał i przyjął się, gdy istniał jeszcze Klub Krzywego Koła: tak mianowicie nazywano zapalonych dyskutantów w tym klubie, którzy domagali się głównie, by szanować ich prawa obywatelskie gwarantowane konstytucyjnie.

– No, to chyba niezupełnie tak – na to prokurator – ale mniejsza z tym. A kto to są w takim razie, według pana mecenasa, Cisi?

– To z kolei, panie prokuratorze – powiada na to Brojdes – byli tacy panowie, którzy równie gorliwie i często przychodzili na zebrania Klubu Krzywego Koła, tyle tylko, że w odróżnieniu od Gęgaczy raczej w ogóle nie zabierali głosu w dyskusji, natomiast wyjątkowo uważnie słuchali.

– No tak – powiada wtedy prokurator – wie pan, kto to są Cisi, wie pan, kto są Gęgacze, mało tego, zna pan osobiście Szpotańskiego, i jak to, nie wie pan, kto napisał operę »Cisi i Gęgacze«?

– Panie prokuratorze – na to Brojdes. – A czy pan wie, kto to są krakowiacy?

– No pewnie, że wiem, ale co to ma do rzeczy?

– No, a górale, też pan wie?

– No oczywiście, że wiem, ale raz jeszcze pytam, co to ma wspólnego ze sprawą?

– A czy wie pan, kto napisał operę »Krakowiacy i górale«?

Prokurator szalenie się zdumiał: – To jest taka opera?

– A jakże! – na to Brojdes. – No i widzi pan: wie pan, kim są górale, wie pan, kto to są krakowiacy, wie pan już teraz, że jest opera pt. »Krakowiacy i górale«, a mimo to nie wie pan, kto ją napisał. A ode mnie pan żąda, bym wiedział, kto napisał »Cichych i Gęgaczy«".

Niestety, znalazły się osoby, które potwierdziły to, że na pewnym przyjęciu Szpot wykonywał Operę. Tym bardziej warto przypomnieć „pewną starszą, bardzo czcigodną damę – księżnę Radziwiłł. Otóż kiedy ją właśnie przesłuchiwano w mej sprawie i zadano jej kluczowe pytanie, czy śpiewałem tam jakieś piosenki, to ona odpowiedziała tak:

– Może on i coś tam śpiewał, ale ja nic nie zapamiętałam, bo to nie było o ludziach z towarzystwa". Bo i rzeczywiście trudno Władysława Gomułkę, operowego Gnoma, nazwać osobą z towarzystwa.

Do rozprawy jednak w końcu doszło, przy drzwiach zamkniętych, a to „ze

eprasa.pl 2fc267a1cd

względu na »pornograficzne obrzydliwości«, jakie występują w Operze, i zostałem w jej wyniku skazany na 3 lata więzienia. Byłem jeszcze sądzony z tak zwanego małego kodeksu karnego, który za takie rzeczy [»sporządzanie i przekazywanie w celu rozpowszechniania opracowań szkodliwych dla interesów państwa« – przyp. red.] przewidywał karę od 3 do 15 lat więzienia, tak więc można powiedzieć, że do końca miałem szczęście, bo zostałem przecież możliwie najłagodniej potraktowany".

Powiedzmy... Niebawem przytrafić się miały tzw. wydarzenia marcowe, które zapewniły Szpotańskiemu sławę, o której nie mógłby pomarzyć, nawet gdyby nagrodzono go literackim Noblem. A zawdzięczał ją wyżej wymienionemu Gomułce, który 19 marca 1968 r., przemawiając w Sali Kongresowej na spędzie PZPR-owskiego aktywu, nazwał w gruncie rzeczy mało komu znanego Szpota „człowiekiem o moralności alfonsa", który napisał „reakcyjny paszkwil ziejący sadystycznym jadem nienawiści do naszej partii". No to się nazywa reklama!

Marzec '68 tak zainspirował Janusza Szpotańskiego, że w więzieniu popełnił następnie niezwykle popularną „Balladę o Łupaszce" i prześmieszną „Rozmowę w kartoflarni", w której znów sportretował nieszczęsnego Gnoma, każąc mu obierać ziemniaki w... zakładzie karnym.

Przesiedział Szpot w więzieniu dwa lata i siedem miesięcy, na koniec zostając amnestionowany z okazji 25-lecia PRL, czyli – jak pisał – „tzw. srebrnego wesela". To pod tym tytułem stworzono wówczas, nadawaną przez radio od rana do wieczora, radosną piosenkę ze słowami: „Rodzince strzeliło dwadzieścia pięć lat". Rzeczywiście, jak z knuta trzasnął!

Chitrij, miełkij frant

Poeta „po wyjściu z więzienia – pisze Antoni Libera w tekście »Duch Szpota«, otwierającym najnowsze, PIW-owskie wydanie zebranych utworów satyrycznych Janusza Szpotańskiego »Bo mnie stać na blagę« – wykonał posunięcie jeszcze bardziej ryzykowne: napisał humorystyczny paszkwil na Rosję Sowiecką – niby współczesną, pod rządami zramolałego Breżniewa próbującego bratać się z Nixonem – w gruncie rzeczy jednak w ogóle na to mocarstwo w wymiarze historycznym, a więc na wielką, groźną, pasożytniczo-destrukcyjną cywilizację". Nie ukrywam, że jest to wciąż mój ulubiony utwór Szpota, ostry jak brzytwa, nieodparcie śmieszny i niewymagający sięgania przez młodych czytelników do stosownych źródeł historycznych, by zdali sobie sprawę z pokładów kryjącej się w „Carycy i zwierciadle" (bo o ten poemat chodzi) morderczej krytyki i systemu komunistycznego, i Rosji jako takiej. A przy tym nie przegapili rozlicznych „cienkości" poematu, powstałego – podobno – w ciągu jednej nocy.

Nie mogę się powstrzymać od zacytowania choćby takiego fragmenty „Carycy...", nie tylko ze względu na polski i literacki zarazem akcencik:

Pomniu, kak prijechał w Moskwu
de Gaulle, sklierotik i starik
i ja jewo pocełowała,
on potom prosto dostał tik,
ach, on formalno popał w trans,
on przestał bredzić o belle France
i tolko skuczał u mych stóp:
„Ach, Leonide, ty mienia lub',
dla ciebie cały Zapad broszę,
tylko mnie jeszcze całuj, proszę?!"
A potom Pompidou, i Brandt,
a nawet chitrij, miełkij frant,
poet iz Polszy – Iwaszkiewicz,
gdy tolko pili ust mych miód,
wołali, że to istny cud,
kto go nie zaznał, ten nic nie wie.

Nagle goryczy kropla spada,
wypełza myśl ohydna: Sadat! –
zimny egipski pederasta,
podstępna, jadowita żmija!
„Jak on się w moje wargi wpijał,
Jak on udawał podniecenie,
A ruki wsadzał mi w kieszenie!
A kiedy wszystko wyjął, złodziej,
pokazał drzwi na Bliskim Wschodzie.
Ech, job jewo, płaz bez znaczenia!
Bo wszystko się na dobre zmienia
i oto nagle Tricky Dicky,
potężny władca Ameryki,
który pół świata ma u stóp,
po pocałunkach w Waszyngtonie
miłością dziką do mnie płonie
i zaraz chciałby zawrzeć ślub!".











Faszyzm nie przejdzie!

„Jak większości Polaków, marzeniem mym Paryż" – wyznawał z kolei poeta w prologu do „Bani w Paryżu" (1974–1979), ale – kontynuował:

Niestety, mnie już pewnie to nie będzie dane
i całe moje życie, średnie i zasrane,
spędzę w ojczystym kraju, tuż nad brzegiem Wisły,
szaleńcze rojąc plany i głupie pomysły.
Posmutniałem... Lecz wnet mi się zrobiło raźniej –
bo od czegóż potęga twórczej wyobraźni!
Chociaż wziął mnie tu w kraju Gnom na krótki łańcuch,
nie przeszkodził fantazji mojej w dzikim tańcu.
Gdy mi z kraju nie dają wyjechać legalnie,
ja znajdę się w Paryżu, by tak rzec, mentalnie,
jak Prus, który nie ruszał się nawet na Pragę,
a opisał wszak Paryż – bo mnie stać na blagę!

Pomysł na „Banię w Paryżu" autor miał taki: „Grupa ultralewicowych intelektualistów paryskich, na czele której stoją: rozszalały filozof Lew Levy-Stoss, fanatyczny ksiądz latynoski Carramba i radykalna feministka księżna de Guise, postanawia zadać decydujący cios znienawidzonej kulturze burżuazyjnej, burząc katedrę Notre-Dame i wznosząc na jej miejscu postępową banię, czyli łaźnię – olbrzymią budowlę, stanowiącą skrzyżowanie prawosławnej cerkwi z Centre George Pompidou. Do wysadzenia w powietrze katedry zostaje zaangażowany słynny terrorysta palestyński Ali Ibn Khaadaf, który przybywa w tym celu z Libii do Paryża. Wysadzenie katedry ma być połączone z wielką pom-

eprasa.pl 2fc267a1cd

pą: oto, gdy opadnie kurzawa spowodowana wybuchem, na wyspę Cite ma wkroczyć na czele barwnego pochodu małżonka filozofa Stossa, Madame Bonja, jako bogini Thermosu i Hydrosu i dokonać aktu położenia kamienia węgielnego pod przyszłą budowlę".

No tak, madame Bonja, cóż to była za postać:
Gdy po raz pierwszy w swym turbanie
weszła do Cafe deux Magots,
sam wielki Sartre wykrzyknął: „o!" –
tak to go wzięło niesłychanie.
Julliette Greco aż zzieleniała,
a zaś Simone de Beauvoir
z wrażenia od stolika wstała,
bo tak ja olśnił Bonjy czar.
I to początek był kariery.
Z miejsca zaczęły się dusery,
długie spacery i uściski,
po czym Wcielenie Drugiej Płci
przed Bonją otworzyło drzwi
do ekskluzywnych sfer paryskich.

Znalazłszy się w tych sferach, Bonja
do celu prostą drogą zdąża.
Przez łóżek sto przechodzi szparko,
stając się damą i pisarką,
ozdobą ekskluzywnych zebrań,
przyczyną ciągłych męskich żebrań
o uśmiech, całus i spotkanie,
którym odmawia wyszukanie,
gdyż już kobietą jest świadomą,
która nie daje byle komu.

Choć wielu z względów jej korzysta,
lecz każdy z nich to komunista
albo co najmniej lewicowiec.
Liberał nigdy się nie dowie,
co znaczy rozkosz w jej łożnicy,
bo nazbyt blisko jest prawicy.
W Bonjy na dźwięk słowa „prawica"
budzi się rozjuszona lwica,
co prędzej pożre własne ciało,
niżby reakcji służyć miało.
„Faszyzm nie przejdzie przez to łoże!
Ja się z faszyzmem nie położę!"
Niezłomne to postanowienie
oczarowało monde szalenie.

Dziś w wielkim świecie na Zachodzie
komunizm jest w ogromnej modzie,
dlatego każdy człowiek z szykiem
musi być tutaj bolszewikiem,
wielbić Lenina, Soso, Mao,
co wkrótce może być za mało
i wówczas tylko Khmer Czerwony
wstęp będzie dawał na salony.

Skąd się ta dziwna moda bierze,
że monde się tak zakochał w Khmerze,
że bankierowe i hrabiny
zamiast urządzać huczne bale
chcą pląsać wokół gilotyny
w jakimś straceńczym, dzikim szale,
że salonowe pięknoduchy
miast rzucać w tłum celnym bon-mot'em
rewolucyjne wielbią ruchy
i w kółko rozprawiają o tym,
jakby tyranię demokracji
obalić w imię wyższych racji
i zaprowadzić Nowy Ład
na wzór wielkiego Związku Rad.

Odpowiedź znam na to pytanie,
lecz nie odpowiem teraz na nie,
bo jest olbrzymim błędem w sztuce,
gdy się zaczyna od pouczeń.
Dosyć, że w wielkim świecie gorze
i choć to kogoś zdziwić może,
dziś rewolucji ogień płonie
nie w chatach wcale, lecz w salonie.

Irena Lasota z lat 60. w Warszawie zapamiętała, że w kawiarni Harenda „wszyscy garnęli się do, nieraz podchmielonego, Szpota, a on z wielką dezynwolturą opowiadał dowcipy i wyśmiewał się właściwie z każdego i ze wszystkiego. Świat był rzeczywiście wtedy inny niż dziś, może mniej, a może bardziej zabawny, ale człowiek z ironią i językiem Szpota miałby dziś zakaz wstępu do każdej kawiarni czy nawet baru mlecznego. Rozszarpałaby go policja poprawności politycznej […]".

Rozmowa dziada z obrazem

Żegnając swojego przyjaciela i mistrza, Antoni Libera w październiku 2001 r. na uroczystościach żałobnych w kościele ewangelicko-reformowanym w Warszawie (grób Janusza Szpotańskiego znajduje się na kalwińskim cmentarzu przy ulicy Żytniej) powiedział: „W twórczości nawiązywał do wzorów najświetniejszych: do Krasickiego, Fredry, Mickiewicza, Tuwima. Życie zaś sobie ułożył podobnie jak Gombrowicz: był »osobny«, samotny, a przy tym – towarzyski. Zgromadził wokół siebie grono wiernych wyznawców i oddanych słuchaczy, którzy przejęli od Niego styl myślenia i język – tę całą niezapomnianą, jedyną w swoim rodzaju, estetykę zachowań, grymasów, skrótów i fraz.

Szachy i papierosy. Muzyka i alkohol. Brahms, Beethoven i Mozart, Goethe, Heine i Rilke. Racjonalizm, sceptycyzm, wątpienie w zwycięstwo Dobra, a jednocześnie wiara w niepodważalność wartości. Subtelna lutnia Apolla i dionizyjskie szały. Oto jak się spełniała wolność tego człowieka. Umysł miał z Oświecenia, lecz cały był z Renesansu. Wszechstronna osobowość. Geniusz i humanista".

Zanim powstał drugi obieg, jego utwory przepisywano odręcznie i na maszynie, przekazując znajomym, albo i uczono się ich na pamięć. Aż przyszli „Brodacze", jak zatytułował wiersz dedykowany Mirosławowi Chojeckiemu, z tajemniczymi paczkami nielegalnej bibuły, dzięki której „odzyskuje myśl śmiałość, odzyskuje moc słowo".

Porównuję dziś wydaną w PIW książkę z zebranymi utworami satyrycznymi Janusza Szpotańskiego z tomem „Utworów wybranych" Szpota z listopada 1979 r. wydanymi przez Niezależną Oficynę Wydawniczą NOWA. Druk daje się jeszcze odczytać, choć z trudnością. Słowo to samo, tyle że poeta Mandalian z „Arii Cichego Poety" podążający za cieniem towarzysza Dzierżyńskiego jest już „Fekalianem", co sprawie nadaje nieco inny wymiar.

Jednak czy Szpota warto czytać dzisiaj, 46 lat po powstaniu „Towarzysza Szmaciaka"? Jasne, że tak. Ten enfant terrible okresu jak najsłuszniej minionego, dla komuchów miał wyłącznie słowa powszechnie uznawane za obelżywe, ale natrząsał się i z „gęgających" opozycjonistów, a o wymowie takiego np. wiersza Janusza Szpotańskiego z 1976 r. pamiętać powinna każda władza:

Historia wam nauczkę dała:
bo kto z oporem się nie styka,
ten w absolutnej próżni działa.
Wzniesioną głowę buntownika
Łatwo katowski ścina topór,
Wszelkiej represji się wymyka
Jednak milczący, bierny opór.
Długo dziad mówił do obrazu,
Obraz do niego ani razu.
Dziś obraz mówić chce do dziada,
Lecz dziad mu już nie odpowiada.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fc267a1cd





Józef Stalin i Stanisław Redens FOT. DOMENA PUBLICZNA

Książka miesiąca / Związek Sowiecki

Polscy „krewniacy” Stalina

Przez kilka lat mogło mu się wydawać, że jest nietykalny i zalicza się do wąskiego grona komunistów, którym los sprzyja. W końcu ożenił się ze szwagierką samego Stalina! On i przywódca ZSRS wzięli za żony dwie siostry Alliłujewe. Stalin wybrał Nadieżdę, a on Annę. Obie rodziny były ze sobą przez długi czas w bardzo dobrej komitywie.

Urodzony w Tykocinie Stanisław Redens był wprawdzie Polakiem, ale „operacja polska” NKWD, w wyniku której zabito ok. 200 tys. naszych rodaków zamieszkujących ZSRS, ominęła go szerokim łukiem. Protekcja Stalina dawała mu immunitet, choć inni wysocy rangą enkawudziści polskiego pochodzenia zostali zgładzeni już w 1937 r. Redens, trzeci najwyżej postawiony Polak w NKWD, po Feliksie Dzierżyńskim i Wiaczesławie Menżyńskim, w latach „operacji polskiej” (1937–1938) stał na czele moskiewskiego obwodowego NKWD. Nie był więc zwykłym trybikiem w aparacie bezpieczeństwa Stalina, lecz jednym ze współorganizatorów wielkiego terroru. W masowym zatwierdzaniu wyroków śmierci miał już zresztą długą praktykę. Gdy w latach 20. był osobistym sekretarzem Dzierżyńskiego, wyręczał nierzadko swojego zapracowanego szefa w różnych ważnych obowiązkach, m.in. właśnie w akceptowaniu list skazańców.

Jeżeli jednak chodzi o liczbę ofiar, to żaden okres jego służby komunizmowi nie równa się z tym, co zrobił na Ukrainie jako szef tamtejszego GPU (następcy Czeka). Razem z innym polskim komunistą Stanisławem Kosiorem, I sekretarzem partii na Ukrainie, nadzorował wówczas brutalną politykę wobec wsi, której efektem był wielki głód.

Redensowi udało się, dzięki protekcji „krewnego” na Kremlu, przetrwać „operację polską”, ale jego szczęście skończyło się wraz z aresztowaniem Nikołaja Jeżowa, głównego architekta wielkiego terroru, któremu bardzo wiernie służył. Okazało się nawet, że zbyt wiernie. W zeznaniach aresztowanych enkawudzistów z najbliższego otoczenia Jeżowa zbyt często pojawiało się nazwisko Redensa jako wiernego poplecznika byłego szefa NKWD. Stalin stwierdził w końcu, że nie ma sensu dłużej chronić męża szwagierki. Co ciekawe, po latach zeznania Redensa okazały się bardzo pomocne dla polskich historyków, pokazując, jak w szczegółach została przeprowadzona „operacja polska”. „Szwagier” Stalina przyznał się do szpiegowania dla Polski i zginął zastrzelony 12 lutego 1940 r.

Redens to jeden z „bohaterów” książki autora, którego nie trzeba przedstawiać stałym czytelnikom naszego miesięcznika. Profesor Iwanow od lat przybliża na tych łamach zapomniane postaci polskich komunistów, którzy uwierzyli w opowieści o budowaniu „raju na ziemi” i brutalnie realizowali wytyczne Lenina, a potem Stalina – czy to na terenie ZSRS, czy też w komunizowanej Polsce. Mimo że w ich żyłach płynęła polska krew, byli to ideowi krewniacy sowieckich tyranów. Niestety, wbrew potocznemu wyobrażeniu takich Redensów było niemało, i jeszcze na początku lat 20. Polacy mieli w partii bolszewickiej renomę bardzo oddanych ideowców. „Jak mogło dojść do tego, że synowie i córki Polski, przedstawiciele narodu, który zdecydowanie odrzucił ideę komunistyczną i stoczył z bolszewizmem zwycięską wojnę w 1920 r., w tak dużej liczbie wzięli udział w tworzeniu i umacnianiu nieludzkiego systemu totalitarnego w Związku Sowieckim oraz jego polskiej odmiany? Kim byli ci wychowankowie szkół katolickich, którzy uwierzyli Marksowi, a potem Leninowi i Stalinowi?” – pyta we wstępie prof. Iwanow. Na kolejnych stronach książki znajdziemy bardzo ciekawe odpowiedzi na te wszystkie pytania. ©℗

Piotr Włoczyk



NIKOŁAJ IWANOW
„LUDZIE KREMLA NAD WISŁĄ. IDEOWCY CZY ZDRAJCY?”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

eprasa.pl 2fc267a1cd

Z piekła do piekła

Wydaje się, że gorzej już być nie może. Za nieco ponad miesiąc minie pięć lat, odkąd Niemcy napadli na Polskę. Z dawnego życia pozostało niewiele – srebrny samowar ukryty głęboko w kredensie, trochę porcelany (ta dla odmiany wdzięczy się na widoku i przypomina o czasach, gdy w domu pijało się prawdziwą herbatę), kilka ziaren kawy trzymanych na specjalną okazję. Maria i Henryk oraz ich dzieci – dwie niemal dorosłe córki, dwaj kilkuletni synowie i piąte dziecko w drodze – nie mają najgorzej. W domu są jeszcze oszczędności, dzięki którym na stole gości prawdziwy rarytas (ziemniaki, które co prawda już dawno się przejadły, ale są!) i jest pomoc domowa, która może i jest niechlujna, ale wie, do których drzwi na Pradze zastukać, by wrócić z kartoflami, a czasem i słoniną. Są strach, zmęczenie wojną, ale to sielanka w porównaniu z tym, co czeka ich po 1 sierpnia 1944 r.

Na tle krwawego konfliktu – konflikt pokoleń. Córki rwą się do działania, matka próbuje je powstrzymać i uchronić przed niebezpieczeństwem. W przyspieszonym nurcie historii nie zwalniają miliony zwykłych ludzkich losów. Są tu więc i rozterki miłosne, i dramaty rodzinne, i huśtawki nastrojów, także związane z powstaniem – od początkowej euforii do „Niech się przewali albo na prawo, albo na lewo, ale niech się wreszcie skończy". Jednak nie tak łatwo zatrzasnąć za sobą wrota piekieł. Pozorne z niego wyjście prowadzi często nie na zewnątrz, a tylko do innego kręgu. Jeszcze w trakcie powstania, w sierpniu i we wrześniu, blisko 13 tys. warszawiaków zostało deportowanych do Auschwitz.

„Z powstania do Auschwitz" jest powieścią opartą na prawdziwych życiorysach. Dużą wartością dodaną są archiwalne zdjęcia, dzięki którym możemy spojrzeć w oczy bohaterom opowieści. Liczne przypisy nawiązują do historii i topografii Warszawy.

Autorka, Nina Majewska-Brown, debiutowała pozycjami z pogranicza literatury obyczajowej i romansów. Nie oddala się od konwencji i w tym tytule.

©℗ ***Radosław Wojtas***



NINA MAJEWSKA-BROWN
„Z POWSTANIA DO AUSCHWITZ"
BELLONA 2023

Kulisy sekretów

Do dziś krążą niestworzone legendy o pochodzeniu naszego wieszcza. Czy to możliwe, że tak wspaniały poeta mógł być po prostu Polakiem? A może jednak był Żydem, skoro w III części „Dziadów" padają słowa, według których bohater pochodzi „z matki obcej". Niektórzy literaturoznawcy właśnie pod kątem stosunku do Żydów przeglądają dzieła Mickiewicza, próbując odkryć jego „tajemnicę". Tymczasem fakty są takie, że nasz wieszcz raz przedstawiał Żydów tak, a innym razem pisał o nich zupełnie inaczej. Poza pochodzeniem Mickiewicza autor odsłania przed nami kulisy życia prywatnego wielu innych znanych artystów i pisarzy, których dzieła znajdziemy w każdym szanującym się domu. ©℗ ***(p.w.)***



PIOTR ŁOPUSZAŃSKI
„SEKRETY ŻYCIA PISARZY I ARTYSTÓW"
FRONDA



ALEKSANDER KRAWCZUK
„RZYM, KOŚCIÓŁ, CESARZE"
ISKRY

TRIUMF CHRZEŚCIJAŃSTWA

Wydawnictwo Iskry przypomina ciekawą opowieść zmarłego w tym roku (w wieku 100 lat!) prof. Aleksandra Krawczuka na temat burzliwego okresu w świecie rzymskim. Mowa o latach 284–363 n.e., gdy chrześcijaństwo wyszło z podziemia, stało się religią tolerowaną, a w końcu wspieraną przez władców. Młody cesarz postanowił jednak cofnąć bieg dziejów i wrócić do starych wierzeń. Próba ta zakończyła się dramatycznie. ©℗ ***(p.w.)***



A. GIERYMSKI
„MALARSTWO",
RED. S. KRZYSZTOFOWICZ-KOZAKOWSKA
BOSZ

GENIUSZ ŚWIATŁA

Aleksander Gierymski, znany głównie z obrazów „Pomarańczarka" i „Chłopska trumna", zapisał się w historii polskiej sztuki jako twórca niezwykle różnorodny. Był mistrzem operowania światłem. Tworzył ciepłe sceny rodzajowe, klimatyczne nokturny, malował niemal fotograficzne krajobrazy miejskie, ukazywał polską wieś. Warto go lepiej poznać. ©℗ ***(asz)***



STANISŁAW STOLARCZYK
„POLACY W KANADZIE. HISTORIA GROBAMI PISANA"
POLONIKA 2023

HISTORIA W GROBIE

Ocalić od zapomnienia jak najwięcej grobów polskich osadników w Kanadzie. Takiej misji podjął się przed laty Stanisław Stolarczyk. Zapomnianych, opuszczonych grobów są tam tysiące. Zdawać by się zatem mogło, że ta misja to szaleństwo. „Szaleniec" się jednak znalazł. Książka pełna historii i ciekawostek o Polakach w Kanadzie. ©℗ ***(raw)***

eprasa.pl 2fc267a1cd



Walery Sławek (na pierwszym planie), z tyłu Józef Piłsudski FOT. NAC

O terrorze i Piłsudskim

Walery Sławek był jednym z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego od czasów PPS i pozostał nim do końca życia Marszałka. „Wspomnienia zebrane" Sławka dotyczą lat działalności w PPS, ruchu niepodległościowym, a także czasów pierwszej wojny światowej.

Sławek był wraz z Aleksandrem Prystorem pierwszym kierownikiem Organizacji Bojowej PPS. Część działaczy oczekiwała akcji terrorystycznych, takie też było żądanie dołów partyjnych. Sławek przyznawał, że nie od razu zaakceptował stanowisko Piłsudskiego, który uznał, że droga terroru prowadzi donikąd. Piłsudski nie zamierzał zużywać bojówki dla doraźnych celów, chciał – według Sławka – zachować ją do czasów, gdy kolejna rewolucja podetnie korzenie caratu.

Sławek pisze o porzuceniu przez „młodych" działaczy PPS, którym przewodzili Feliks Kon, Paweł Lewinson i Maksymilian Horwitz, idei walki o niepodległość zapisanej w programie partii. Stwierdzał, że „młodzi" nie rozumieli, iż walka z caratem powinna mieć charakter zbrojny. Na tym tle doszło do rozłamu w PPS. Sławek znalazł się, wraz z Józefem Piłsudskim, w szeregach niepodległościowej PPS-Frakcji Rewolucyjnej.

Rewolucja lat 1905–1907 otworzyła – jak pisał Sławek – nowe horyzonty. Należało się przygotować lepiej na kolejny historyczny przełom. To właśnie była idea Piłsudskiego, który postanowił budować kadry przyszłego wojska. Natrafił jednak na opór wśród działaczy PPS-FR. Nie godzili się oni na włączenie do działań niepodległościowych ludzi z innych obozów politycznych. Obawiali się, że sprawa socjalizmu zejdzie na drugi plan. Ich opór został w końcu przełamany przez Piłsudskiego.

Walery Sławek wspomina o nieznanej próbie „zamachu stanu", planowanej przez zwolenników Komendanta w 1917 r. Podczas uroczystości w rocznicę Konstytucji 3 maja zamierzano proklamować regentem księcia Zdzisława Lubomirskiego, prezydenta Warszawy. Misję stworzenia rządu, z udziałem lewicy niepodległościowej, miał otrzymać książę Eustachy Sapieha. Jednak plan nie został zrealizowany, gdyż został zdekonspirowany przez Lubomirskiego i Sapiehę. ©℗

Tomasz Stańczyk



WALERY SŁAWEK
„WSPOMNIENIA ZEBRANE", WSTĘP I OPRACOWANIE: PAWEŁ SAMUŚ
MUZEUM HISTORII POLSKI, WARSZAWA 2022

Kozacka wojna

Konflikty polsko-kozackie są tematem licznych opracowań naukowych. Większość z nich traktuje jednak głównie o samych konfliktach oraz ich przyczynach. Niewielu badaczy skupiało się do tej pory na sztuce wojennej jako takiej. O ile polska taktyka wojenna została dość dobrze opisana, o tyle metody walki i taktyka Kozaków zaporoskich wciąż stanowią pewną zagadkę. Kwestią tą zajmowało się dotąd kilku ukraińskich badaczy, w Polsce zaś zagadnienie to nie zostało dostatecznie zbadane. Tę lukę wypełnia praca Jacka Komudy. Jego książka została w całości poświęcona kozackiej sztuce wojennej. Ze względu na rozległość zagadnienia autor skupia się tylko na taktyce Kozaków zaporoskich w walkach na lądzie, pomijając działania prowadzone na morzu.

Komuda podzielił swoją pracę na cztery części. W każdej koncentruje się na innym rodzaju kozackich sił: piechocie, jeździe, taborze oraz fortyfikacjach i artylerii. Na uwagę zasługuje zastosowana przez autora rzadko spotykana metoda badawcza, czyli historia eksperymentalna. Komuda samodzielnie zweryfikował prawdziwość różnych tez i dawnych przekazów dotyczących sposobu walki Kozaków i na „własnej skórze" przekonał się m.in., jak wyglądał konny atak na kozacki tabor. ©℗

Anna Szczepańska



JACEK KOMUDA
„SZTUKA WOJENNA KOZAKÓW ZAPOROSKICH"
ZONA ZERO

eprasa.pl 2fc267a1cd

Dyplomacja po kremlowsku

Przez lata Rosję postrzegano jako mocarstwo, imperium. I choć w państwach takich jak Polska czy innych były demoludach dowcipom na temat Rosjan i rosyjskiej władzy nie było końca, to jednak – rozmawiając już na poważnie – każdy przyznawał, że Rosja jest państwem potężnym, a z Moskwą nie ma żartów, m.in. dlatego, że mając broń nuklearną oraz potężną armię, będzie zawsze rozdawać karty i szachować swoich przeciwników.

Kiedy 24 lutego 2022 r. Władimir Putin rzucił swoje wojska przeciwko Ukrainie, cały świat wstrzymał oddech. Pojawiały się głosy o wybuchu trzeciej wojny światowej. Rosyjska armia lada dzień miała zająć Kijów. Wiele osób zadawało sobie pytanie, co zrobi NATO, kiedy Rosja stanie u granic Polski. „Trzydniowa wojna Putina" rozciągała się jednak w czasie. Miesiąc, pół roku, rok... Okazało się, że rosyjskie wojska, postrzegane przez świat jako zdeterminowane i silne, nie mogą poradzić sobie z o wiele mniejszymi siłami ukraińskimi. Mit o niepokonanej armii Putina padł.

Jak doszło do tego, że cały świat uwierzył w potęgę rosyjskiej armii, która zdolna jest pokonać każdego wroga i narzucić swą wolę podbitym ludom? Między innymi o tym opowiada książka Michała Patryka Sadłowskiego.

Autor podkreśla, że jednym z kluczowych elementów funkcjonowania państwa rosyjskiego jest dyplomacja. To właśnie dzięki niej możliwe było (i możliwe jest nadal) wykreowanie konkretnego wizerunku Rosji. Polityka zagraniczna była „od zawsze" wykorzystywana przez kolejnych przywódców Rosji jako narzędzie, dzięki któremu dbano o bezpieczeństwo zewnętrzne państwa, realizowano interesy gospodarcze i handlowe, rozszerzano swoje wpływy na świecie, a także – jak pisze Sadłowski – „uwiarygadniano istniejącą w państwie niedemokratyczną formę ustrojową". W państwie takim jak Rosja – niedemokratycznym, dziś już wręcz totalitarnym mocarstwie – dyplomacja, oparta na sile, agresji i sprawczości, cementowała państwo i naród oraz trzymała go w ryzach, tłumiąc wszelkie przejawy buntu czy choćby niewielkich ustrojowych reform. Jak wskazuje Sadłowski, cytując Romana Dmowskiego: „[rozwój państwa rosyjskiego] to rozwój idący na zewnątrz, a nie do wewnątrz", co oznacza, pokrótce rzecz ujmując, że polityka zagraniczna służy władzom Rosji także do utrzymania dominacji nad podległym jej ludem.

Jednocześnie rosyjscy dyplomaci potrafili bardzo często ugrać dla swojego państwa znacznie więcej, niż wskazywała na to sytuacja polityczna czy militarna. Z racji niedemokratycznego ustroju Rosja mogła sobie zawsze pozwolić na ostrzejsze negocjacje. Rozmowy prowadzone przez dyplomatów z Moskwy były toczone z pozycji siły i z perspektywy mocarstwa także dlatego, że Kreml nie martwił się o nastroje społeczne.

Dyplomacja jest zatem od lat elementem niezbędnym dla istnienia Rosji (czy to carskiej, bolszewickiej, komunistycznej, czy putinowskiej) w takim kształcie, jaki znamy już z kart podręczników. Książka Sadłowskiego wspaniale wprowadza w meandry rosyjskiej dyplomacji. Autor kreśli sylwetki wszystkich ministrów spraw zagranicznych Rosji pełniących urząd od początku XX w. Nie są to nudne biogramy przepełnione suchymi faktami, lecz opowieści o ludziach „z krwi i kości", którzy mają swoje zalety, przywary, przyzwyczajenia i obsesje. Wszystkich jednak łączyło i łączy jedno: bezgraniczne oddanie państwu, któremu służą. Porywająca lektura dla wszystkich miłośników światowej polityki. ©℗ ***Anna Szczepańska***



MICHAŁ P. SADŁOWSKI
„DZIEJE NAJNOWSZE DYPLOMACJI ROSYJSKIEJ"
ZONA ZERO

HISTORYCZNE BITWY

Bitwa o Kraków

Od 1850 r. Austriacy budowali i stale modernizowali krakowską twierdzę. Opanowanie jej i Krakowa, ważnego węzła komunikacyjnego oraz logistycznego, stało się celem działań armii rosyjskich jesienią 1914 r. Autor książki „Kraków 1914" stwierdza, że zdobycie twierdzy i miasta mogło być zapowiedzią całkowitej klęski armii austro-węgierskiej. A ominięcie jej w dalszym marszu na zachód, w celu zdobycia uprzemysłowionego Śląska, stwarzało wielkie ryzyko dla Rosjan. Austriacy przeszli w połowie listopada do kontrataku. Wzięły w nim udział pułki złożone w większości lub w dużej mierze z Polaków, w tym 13. Pułk „Krakowskie Dzieci", walczący zwycięsko pod Gołaczewami. Krwawą walkę pod Krzywopłotami stoczyły bataliony 1. Pułku Legionów. Front zatrzymał się 14–40 km od Krakowa. Rosjanie jednak nie zrezygnowali z opanowania Krakowa. W drugiej bitwie w grudniu 1914 r. armia rosyjska zdobyła Wieliczkę, do Rynku Głównego było już tylko kilkanaście kilometrów. Rosjanie ostrzeliwali podkrakowskie forty. Odpowiadała im mobilna artyleria twierdzy: moździerze 305 mm na podwoziu Porsche. Ostatecznie Rosjanie zostali w połowie grudnia powstrzymani i zmuszeni do odwrotu spod Krakowa. ©℗ ***(t.s.)***



HENRYK ŁUKASIK
„KRAKÓW 1914"
BELLONA

eprasa.pl 2fc267a1cd

/ Felieton



Rafał A. Ziemkiewicz

Pierwsza relokacja

Skoro władze Unii Europejskiej postanowiły wrócić do pomysłu przymusowego relokowania imigrantów, to godzi się przypomnieć, że Polska raz już była ofiarą takiego zabiegu, u schyłku wieku XIX i na początku XX. Mowa o zalewie rosyjskich Żydów, których Moskwa relokowała nam w ramach ogólnego narastania w imperium carów antysemityzmu, stopniowo stającego się jego półoficjalną ideologią. Oficjalnym powodem wykreślenia „czierty osiedłosti", granicy osiedlenia, od której na wschód zakazano Żydom posiadania nieruchomości, podejmowania pracy, a w końcu w ogóle przebywania, była przypisywana im rola w zamordowaniu cara Aleksandra II i ruchu wywrotowym – faktycznym po prostu chęć pozbycia się z metropolii. Zamiar zaszkodzenia przy okazji wiecznie krnąbrnej Polsce też bez wątpienia był brany pod uwagę jako dodatkowa zaleta tej operacji.

Po drugiej wojnie, jak wszelkie inne elementy dziejów polsko-żydowskich, dwie masowe fale carskiej relokacji (u zarania lat 90. XIX w. i w połowie pierwszej dekady następnego) stały się tematem tabu. Jeśli jednak sięgniemy po wspomnienia z epoki oraz pamiętniki spisywane w okresie międzywojennym, to znajdziemy tam zapis sprawy spójny i jednoznacznie negatywny. Przepędzeni z Rosji na ziemie polskie Żydzi – nazwani „Litwakami" – nie tylko w żaden sposób się z Polską nie identyfikowali, lecz także jej nienawidzili. A zarazem, z racji swej liczby i lepszej sytuacji materialnej, szybko zdominowali Żydów miejscowych, z którymi stosunki lepiej lub gorzej, ale jakoś tam się od pokoleń układały.

To właśnie z grona polskich Żydów, mniej lub bardziej zasymilowanych, pochodzą najbardziej dla „Litwaków" miażdżące świadectwa. Część z nich przywołał w jednym z zapisów swej pomnikowej „Silva Rerum" Mieczysław Grydzewski (urodzony jako Grutzhandler, a w młodości używający nazwiska Grycendłer), podsumowując wprost, że w przeciwieństwie do Żydów miejscowych, z zasady życzliwych Polsce i jej dążeniom niepodległościowym, Litwacy byli całym sercem po stronie Rosji i rusyfikacji. „Wilhelm Feldman... socjalista, na pewno odległy od antysemityzmu, opisywał w swej ultrapostępowej »Krytyce«, jak około roku 1900 po krwawym stłumieniu manifestacji pierwszomajowej w Alejach Jerozolimskich widział na jednym z balkonów grupę Żydów rosyjskich, śmiejących się i zadowolonych z triumfu bohaterskiej armii, a Tadeusz Frenkiel we wspomnieniach opowiada o awanturze z rosyjskim Żydem, który odezwał się do niego w Warszawie: nie panimaju wasziego sobaczjawo jazyka (nie rozumiem waszego psiego języka)".

> W przeciwieństwie do Żydów miejscowych, z zasady życzliwych Polsce i jej dążeniom niepodległościowym, **Litwacy byli całym sercem po stronie Rosji i rusyfikacji**

Po pierwszej wojnie światowej większość żydowskich relokantów Polskę opuściła, w znacznej części udając się do Palestyny, gdzie, rzecz charakterystyczna, też zdobyli sobie jak najgorszą reputację – niezainteresowanych wspólnotą i budową żydowskiego państwa i odmawiających podejmowania jakiejkolwiek pracy, poza handlem i kombinowaniem. Dowody znaleźć można np. w autobiografii byłego premiera Izraela, Chaima Weizmanna. „O ile wolno sądzić, Chaim Weizmann nie jest i nie był antysemitą. Być może antysemitami nie byli także ci Polacy, którzy, jak on, nie chcieli rozrostu getta i żargonu na swojej ziemi?" – podsumował ironicznie Grydzewski, zapewne w najgorszych snach nie przeczuwając wtedy, że upiór rosyjskiej „relokacji" zmartwychwstanie po latach na Zachodzie. ©℗

eprasa.pl 2fc267a1cd

/ Felieton

Kanalia w koloratce



Piotr Semka

Wielką wdzięczność winniśmy wszyscy okazać Łukaszowi Adamskiemu i Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia za wydanie niezwykle ciekawego zbioru dokumentów dotyczących stosunków polsko-sowieckich z lat 1939–1945. Czytając te poruszające teksty z lat, gdy wolna Polska była powoli osaczana przez Stalina przy bierności Churchilla i Roosevelta, natrafiłem na zapomnianą dziś postać ks. Stanisława Orlemańskiego.

Ten amerykański ksiądz katolicki polskiego pochodzenia urodził się w 1889 r. w Erie w USA jako syn robotnika pracującego w warsztacie naprawy wagonów, który wyemigrował z Poznania do Ameryki wraz z żoną w 1876 r. Orlemański wybrał powołanie kapłańskie i działał wśród Polonii na terenie stanu Michigan i w kanadyjskim Montrealu. Jako duszpasterz polonijny zdobył sporą popularność. Tym atrakcyjniejszym kąskiem do zwerbowania był ks. Orlemański dla „dyrygenta" sieci sowieckiego wywiadu w USA Bolesława Geberta. Nie wiemy, czy użyto metody „korek, worek lub rozporek", ale faktem jest, że począwszy od 1943 r. Orlemański stał się najbardziej użytecznym dla Sowietów przedstawicielem Polonii, który zaczął w Ameryce reklamować prosowiecki Związek Patriotów Polskich oraz dywizję Zygmunta Berlinga, wiernego sługusa Stalina. W 1943 r. Orlemański zakłada Ligę Kościuszkowską, która na terenie Ameryki ma za zadanie wspierać dywizję Tadeusza Kościuszki.

Na krajowej konferencji Ligi Kościuszkowskiej w Detroit w listopadzie 1943 r. zaatakował on rząd londyński i przedstawiał Berlinga oraz ZPP Wandy Wasilewskiej jako godnych najwyższego szacunku polskich patriotów. Szczytem jego kariery zaprzańca był propagandowy wyjazd w maju 1944 r. wraz z innym polskim agentem sowieckim prof. Oskarem Lange do Moskwy w roli samozwańczych rzekomych przedstawicieli Polonii amerykańskiej. Orlemańskiego osobiście przyjął Józef Stalin, co było wówczas sporą rzadkością. Kapłan po powrocie przekonywał opinię publiczną w USA, że Stalin chce Polski silnej i demokratycznej. Co więcej, po powrocie z Moskwy Orlemańskiego zaproszono ze wszystkimi honorami do Białego Domu i prezydent Roosevelt traktował go jak polskiego męża stanu.

O tym, jak bardzo amerykański prezydent w ówczesnych czasach oddalał się od rzeczywistości, świadczy to, że w odbytej 25 czerwca 1944 r. rozmowie Roosevelta z premierem Stanisławem Mikołajczykiem przywódca największego mocarstwa na świecie z przejęciem opowiadał o rozmowie księdza agenta ze Stalinem. Jak wynika ze stenogramu tej rozmowy, Orlemański przypomniał Stalinowi o wolności dla Kościoła rzymskokatolickiego. Stalin miał na to odpowiedzieć, że nie miałby nic przeciwko takiej wolności, problem w tym, że jest tyle rozmaitych religii, iż trudno się mu w nich zorientować. I ponoć Stalin zapytał Orlemańskiego, czy nie można byłoby doprowadzić do scalenia wyznań. Tutaj kończy się opowieść Roosevelta o wizycie Orlemańskiego i zaczyna się jego osobisty wykład, którego słuchał osłupiały Mikołajczyk. Jak wynika ze stenogramu rozmowy, Roosevelt mówił: „Bardzo mnie to zafrapowało. Przecież byłoby najlepiej, gdyby można było połączyć Kościół prawosławny z Kościołem rzymskokatolickim. Może to jest wskazówka w odpowiednim kierunku. Stalin wcale nie ma takich ambicji, które miał car, aby być głową Kościoła. Może by się więc zgodził, żeby papież był głową zarówno prawosławnych, jak i katolików".

Roosevelt ze śmiertelną powagą proponował, by Orlemański pojechał do Watykanu i tę sprawę tam przedłożył. Nawet 79 lat po tym zdumiewającym wywodzie Roosevelta trudno nie być w szoku. Przywódca jednego z mocarstw z powagą wygłaszał oczywiste bzdury, uznając dość szmirowatego ruskiego sługusa w koloratce za kogoś, kto zjednoczy katolicyzm z prawosławiem. Na szczęście więcej zdrowego rozsądku od gospodarza Białego Domu miał zwierzchnik Orlemańskiego, biskup Springfield, Irlandczyk Thomas Michael O'Lear. Widząc, jak Orlemański widzi się już w roli persony rozgrywającej światową politykę, bez wahania zawiesił księdza na kilka tygodni w obowiązkach duszpasterskich, a następnie zabronił mu prowadzenia działalności publicznej poza parafią. Gdyby nie ta brutalna, ale jakże słuszna interwencja, ks. Orlemański cieszyłby się funkcją członka PKWN, którą szykował dla niego Stalin. Ksiądz Orlemański zmarł w 1960 r. bez specjalnego rozgłosu. Panie Boże, bądź błogosławiony za zdrowy rozsądek niektórych Twoich biskupów. ©℗

eprasa.pl 2fc267a1cd



1928–1943 / Wołyńska Gdynia

Krew na bazalcie

Słupy bazaltowe w Janowej Dolinie FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BAZAN



Tomasz Stańczyk

Kamieniołomy w Janowej Dolinie były jedną z wizytówek II Rzeczypospolitej. A istniejące przy nich osiedle robotnicze stało się miejscem zbrodni dokonanej przez UPA

Niemal sto lat temu, w 1924 r., inżynier Melchior Nestorowicz pisał: „Polskę czeka poważne zadanie techniczno-gospodarcze. Aby stanąć na jednym poziomie z państwami kulturalnymi, musimy posiadać odpowiednią do potrzeb ekonomiczno-komunikacyjnych sieć dobrych dróg w ogólności, a więc i odpowiednią sieć dobrych dróg kołowych. Musimy więc przystąpić niezwłocznie, zarówno do doprowadzenia do porządku istniejących już dróg o twardej nawierzchni (bitych i brukowanych), jak i do rozszerzenia ich sieci przez pobudowanie wielu dziesiątków tysięcy kilometrów dróg nowych. Urzeczywistnienie tych zadań w dziedzinie gospodarki drogowej wymaga użycia olbrzymiej ilości materiałów". Nestorowicz szacował, że potrzebnych będzie 8 mln 800 tys. materiałów kamiennych: kamienia brukowego, kostek, tłucznia i żwiru w ciągu 10 lat.

O bazalcie, skale krystalicznej (wulkanicznej), inżynier pisał: „Materiał to pierwszorzędny, łatwo łupliwy i bardzo odpowiedni do wyrobu kostek brukowych". Istniał wówczas kamieniołom w Berestowcu na Wołyniu, eksploatowany już od kilkudziesięciu lat. Problemem był jednak wywóz: z normalnotorową linią kolejową był połączony kolejką wąskotorową, która nie mogła zapewnić odpowiedniej przepustowości. Wprawdzie działała już maszyna do produkcji kostki brukowej, ale urządzenia do wytwarzania tłucznia były proste, a nawet prymitywne. Kamieniołomy bazaltu w Berestowcu były eksploatowane przez samorządy Małopolski, z kolei granit pozyskiwano w Klesowcu – działały tam kamieniołomy samorządów Górnego Śląska.

Państwowa inwestycja

Na Wołyniu pokłady bazaltu znajdowały się również w Janowej Dolinie na

eprasa.pl 2fc267a1cd

terenie należącym do państwa. W 1922 r. chciało ono wydzierżawić ten teren, jednak nie znalazł się żaden chętny. I nic dziwnego. Nabywca musiałby wybudować 18-kilometrową linię kolejową, do najbliższej stacji. Czyniło to zakup złóż bazaltu niezbyt opłacalnym. Inżynier Nestorowicz proponował, by rząd uruchomił ten kamieniołom – co oznaczało położenie torów – a to sprawi, że łatwiej zostanie on wydzierżawiony.

Władze nie poszły jednak za jego radą i postanowiły utworzyć w Janowej Dolinie państwowy kamieniołom. Z inicjatywy Ministerstwa Robót Publicznych w 1925 r. przystąpiono do pierwszych prac, a trzy lata później uruchomiono go. Produkcja szybko wzrastała: w 1928 r. – 90 tys. ton, w 1933 r. – dwukrotnie więcej, w następnych latach – ponad 300 tys. ton.

Była to mniej więcej jedna trzecia rocznego zapotrzebowania, szacowanego przez inżyniera Nestorowicza, a możliwości produkcyjne oceniano nawet na 400 tys. ton. Także ta skala wydobycia bazaltu pokrywałaby najwyżej połowę zapotrzebowania na surowce budowlane, tak więc Janowa Dolina nie zagrażała egzystencji prywatnych i samorządowych kamieniołomów.

Jednak musiały one obniżyć cenę produkowanego surowca budowlanego aż o 60 proc., dostosowując ją do cennika, jaki dla Janowej Doliny zatwierdziło Ministerstwo Komunikacji. A koszt eksploatacji bazaltowych słupów w Janowej Dolinie był o 20–25 proc. niższy od kosztu pozyskania innych materiałów kamiennych do budowy dróg.

Tym samym znacznie potaniała budowa dróg, a była ona jednym z najważniejszych zadań zarówno rządu, jak i samorządów. Polska odziedziczyła po zaborcach rzadką, szczególnie na byłych ziemiach zaboru rosyjskiego, sieć dróg, nieodpowiadających już nowoczesnej komunikacji i potrzebom rozwijającej się motoryzacji. W 1938 r. było w Polsce 63 tys. km dróg o twardej nawierzchni. Prawie jedną trzecią wybudowano lub przebudowano w latach 1924–1938. Było to więc znaczne osiągnięcie, zważywszy na to, że w tym czasie było kilka lat wielkiego kryzysu. Bardzo ciężkim okresem dla budownictwa drogowego były lata budżetowe 1931–1932, gdy wyasygnowano na ten cel jedynie 8 mln zł. Gdy kryzys ustąpił, doszło do znacznego wzrostu nakładów – do 76 mln w latach 1937–1938.



Na pierwszym planie: Leonard Szutkowski, dyrektor kamieniołomów FOT. NAC



Fragment osiedla pracowniczego w Janowej Dolinie FOT. NAC

W „Wołyńskich Wiadomościach Technicznych" oceniano w 1937 r., że jeżeli cała Polska nie zaopatruje się jeszcze w kamień wołyński, to dlatego, że odległość kamieniołomów od rynków zbytu jest duża i do tego dochodzą problemy transportowe. Szansę upatrywano w stworzeniu trwałej komunikacji między Prypecią i jej dopływami a Bugiem. „Pozwoliłoby to wyjść z kamieniem wołyńskim na dorzecze Wisły i skutecznie konkurować tam z kostką szwedzką". Dwa lata później w tymże piśmie inżynier Julian Kiersnowski pisał o inwestycji, którą był Kanał Kamienny, który wraz z przebudowywanym Kanałem Królewskim dałby dostęp do dorzecza Wisły. Kiersnowski oceniał, że można by w ten sposób przetransportować 3,5 mln ton towarów z Wołynia rocznie, w tym bazalt i granit do budowy dróg. Transport kolejowy kosztował więcej niż surowiec, także z powodu wysokich taryf kolejowych. Aby obniżyć koszty wywozu kamienia, trzeba było go właśnie „przerzucić na wodę". Wybuch wojny przerwał tę wodną inwestycję.

Dyrektorem państwowych kamieniołomów w Janowej Dolinie został w 1928 r. 40-letni inżynier Leonard Szutkowski,

eprasa.pl 2fc267a1cd

urodzony niedaleko Kobrynia. Przed pierwszą wojną światową studiował na wydziale górniczym Politechniki w Warszawie, a po wojnie w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Miał więc solidne wykształcenie, a jednocześnie był pełnym inicjatywy, rzutkim menedżerem. Na stanowisku dyrektora pracował do września 1939 r.

„W Janowej Dolinie osobą numer jeden, władcą serc i umysłów, instancją ostateczną, alfą i omegą jest dyrektor kamieniołomów Leonard Szutkowski [...] – pisała Agnieszka Rybak. – Za misiowatą posturą kryje się gracz, który sprawnie osiąga swoje cele. Jeśli postanowi, że w tym miejscu powstanie kopalnia, to powstaje. Jeśli zechce być jej dyrektorem, to nim jest [...]. Buduje sobie na Wołyniu niezależną pozycję. W województwie u Józewskiego [wojewody – przyp. red.] jego interesów pilnuje przyjaciel od polowań Wacław Gordziałkowski. W Warszawie szczególne relacje utrzymuje z Ministerstwem Przemysłu, które powołuje go na ławnika w Kolegium Górniczym. Przyjmuje wizyty, ministrów, posłów, senatorów, wojewodów [...]. Do Szutkowskiego kierowane są prośby i petycje. O szpital, przedszkole, kościół, lepsze połączenie kolejowe. Dyrektor reaguje na nie z ojcowską troską (Agnieszka Rybak, Anna Smółka, „Wieża Eiffla nad Piną").

Wzorcowe osiedle

Wizyty dygnitarzy w Janowej Dolinie nie wynikały jedynie z zainteresowania kamieniołomem jako zakładem produkcyjnym. Owszem, przedsiębiorstwo w Janowej Dolinie było jedną ze sztandarowych inwestycji II Rzeczypospolitej, obok takich jak port w Gdyni (Janową Dolinę nazywano wołyńską Gdynią), linia kolejowa Śląsk – Gdynia, Państwowe Zakłady Lotnicze, fabryki Centralnego Okręgu Przemysłowego. Ponadto kamieniołom trudno nazwać symbolem nowoczesności i postępu technicznego, jakim była np. fabryka sztucznego kauczuku w Dębicy. Natomiast produkcja Janowej Doliny przyczyniła się do budowy dróg, które były niezbędnym warunkiem rozwoju kraju. Stefan Tyszkiewicz, konstruktor pierwszego polskiego samochodu – Stetysz, prezes Ligi Drogowej, propagował hasło: „Dobre drogi – silna Polska".



Bazalt w Janowej Dolinie występował w postaci słupów FOT. NAC

W osiedlu w Janowej Dolinie UPA zamordowała ok. 600 Polaków, a w całym powiecie kostopolskim liczba ofiar sięgnęła 4 tys.

W drugiej połowie lat 30. dygnitarze, a także dziennikarze przyjeżdżali do Janowej Doliny, by zapoznać się z tym, co „Kurier Poranny" w 1934 r. nazwał „ośrodkiem propagandy myśli państwowej na kresach, ośrodkiem organizacyjno-wychowawczym wyrabiającym w robotniku poczucie obywatelskie, poczucie solidarności państwowej i społecznej".

Właśnie w 1934 r. zaczęto w Janowej Dolinie przygotowania do budowy osiedla, dla ok. 1,8 tys. pracowników (ogółem kamieniołom zatrudniał do 3 tys. ludzi) z całą potrzebną im infrastrukturą.

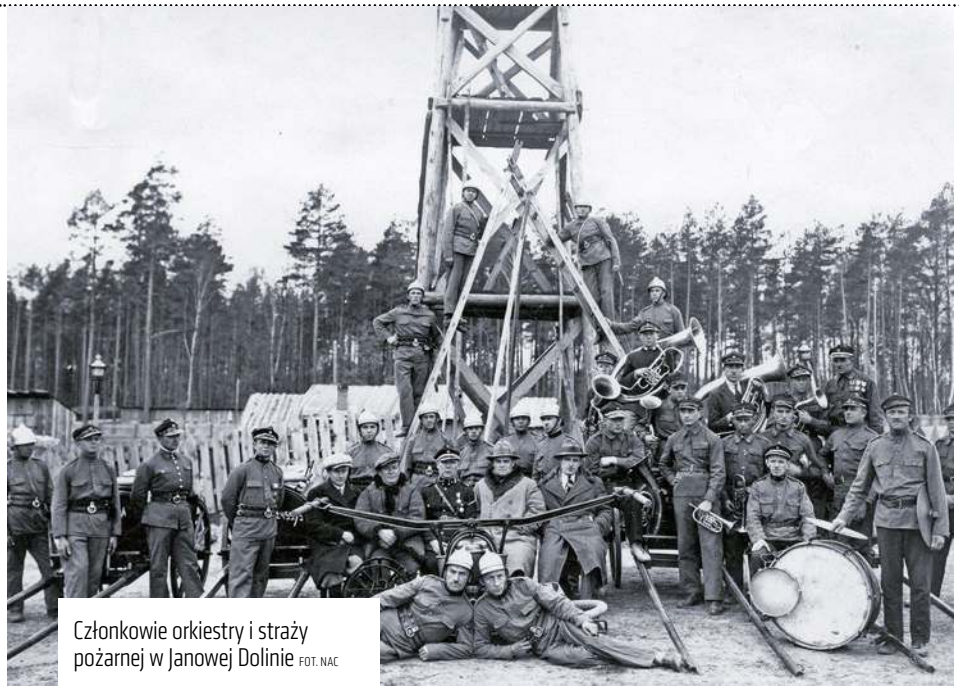
„Wołyńskie Wiadomości Techniczne" tak opisywały osiedle w Janowej Dolinie: „Jest to nowoczesne miasteczko wśród lasu i zieleni, prawidłowo rozplanowane, z zabrukowanymi ulicami, urządzeniami techniczno-sanitarnymi jak wodociągi, kanalizacja itp.". Oprócz domków dla rodzin robotników, personelu technicznego i urzędników wybudowano też tzw. dom zbiorowy, dla pracowników nieposiadających rodzin, kaplicę. Planowano budowę kościoła, ale udaremniła to wojna. W Janowej Dolinie były też szkoła, kino, przychodnia ze stale obecnym lekarzem, boisko do piłki nożnej, elektrownia. Fundusze na budowę pochodziły w większości z Towarzystwa Osiedli Robotniczych i były uzupełnione przez kredyty państwowe.

Zapewnienie godziwych, a nawet atrakcyjnych, modelowych warunków życia dla robotników były jedną stroną przedsięwzięcia. Drugą stanowił cel państwowy, społeczny i propagandowy. Dyrekcja kamieniołomu wykładała niemałe pieniądze, jak pisał „Kurier Poranny", „na cały szereg organizacji i instytucji, które grupują brać robotniczą, dając robotnikowi odpowiedni kierunek myśli państwowej, robiąc z niego świadomego swych obowiązków i praw obywatela członka wielkiej rodziny społecznej".

W Janowej Dolinie działały Związek Strzelecki, Związek Rezerwistów, Związek Zawodowy Robotników Przemysłu Górniczego, Towarzystwo Sportowe, klub szybowcowy, Koło Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, Ochotnicza Straż Pożarna, Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, dwie orkiestry i chór.

Około 80 proc. zatrudnionych w Janowej Dolinie było Polakami, choć

eprasa.pl 2fc267a1cd



Członkowie orkiestry i straży pożarnej w Janowej Dolinie FOT. NAC



Bazaltowy krzyż w Janowej Dolinie, upamiętniający ofiary UPA
FOT. WIKIPEDIA/GRZEGORZ NAUMOWICZ

na Wołyniu zdecydowanie przeważała ludność ukraińska, natomiast mieszkający w pobliżu kamieniołomu ukraińscy chłopi korzystali na dostawach żywności do robotniczego osiedla.

„Zarobić to się wiele nie zarobi – opowiadał jeden z robotników – ale życie pewniejsze, pokój mam, stół mam, kamieniołomy nie stają". Robotnicy zarabiali od 2,5 do 4 zł dziennie, na akord, natomiast koszt utrzymania dla robotnika wraz z rodziną nie był duży, wynosił bowiem 8–17 zł miesięcznie, wliczając w to opał i prąd.

Pracujący w Janowej Dolinie Jacek Maria Orlik napisał sławiący ją i jej robotników wiersz:

... Za nasz pot,
Za naszą krwawiznę dni
– o bezkresnych szlakach gładkich dróg,
O nowych brukowanych ulicach,
O błękitnych wstęgach autostrad,
Rzeczpospolita śni...

Wybiegając w przyszłość, mówiono o Janowej Dolinie jako o „matce polskich autostrad".

Sen II Rzeczypospolitej o autostradach, o rozwoju, wieloletnich planach rozwoju przedstawionych przez wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego został brutalnie przerwany we wrześniu 1939 r. Jesienią dyrektor Leonard Szutkowski został aresztowany przez NKWD i wywieziony z Janowej Doliny. Zamordowano go lub zmarł w sowieckim więzieniu.

Zbrodnia UPA

Na przełomie marca i kwietnia 1943 r. do Janowej Doliny uciekali – przed rozpoczętą właśnie falą mordów dokonywanych przez UPA – Polacy z okolicznych wsi. Po ich przybyciu w osiedlu żyło ok. 3 tys. ludzi. Wraz z mieszkającymi w osiedlu liczyli, że będą bezpieczni, gdyż znajdowali się tu niemieccy żołnierze. A jednak odział UPA pod dowództwem Iwana Ływtyńczuka „Dobowego" wdarł się do Janowej Doliny. Był 23 kwietnia, noc Wielkiego Piątku 1943 r.

Banderowcy z Ukraińcami z sąsiedztwa Janowej Doliny zaczęli podpalać domy i wrzucać do nich granaty. Polacy dusili się w dymie, palili żywcem, część uciekła z płomieni. „Złapani byli przywiązani do drzew i podpalani lub pozbawiani różnych części ciała. Niektórzy zostali powieszeni. Do ofiar nie strzelano – ludzie byli mordowani siekierami, widłami, a niemowlęta brano za nogi i rozbijano głowy o ściany" – pisali Ewa i Władysław Siemaszkowie w swoim dziele „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939–1945". Ofiarami napadu byli także pacjenci i personel podpalonego szpitala, z którego uprzednio Ukraińcy wynieśli swoich rodaków.

A co robili w tym czasie Niemcy? Początkowo nie reagowali. Dopiero gdy zbrodnia trwała w najlepsze, zaczęli strzelać na postrach. W obronie własnej zabili kilku upowców, którzy próbowali podpalić ich blok. W Janowej Dolinie zostało zamordowanych ok. 600 Polaków, w całym powiecie kostopolskim, w którym miejscowość się znajdowała, według obliczeń Siemaszków, było co najmniej 4 tys. polskich ofiar.

Agnieszka Rybak, współautorka „Wieży Eiffla nad Piną" wydanej w 2018 r., pojechała do Janowej Doliny (obecnie miejscowość ta nazywa się Bazaltowe). Gdy spytała miejscową Ukrainkę o to, kto zamordował Polaków, usłyszała następującą odpowiedź: „No jak to, Giermańce, oni wsiach ubili, i naszych, i waszych"...

O krwawej kwietniowej nocy w Janowej Dolinie mówią dwa pomniki. Jeden ku czci oddziału UPA pod dowództwem Łytwynczuka „Dubowego", który zlikwidował „bazę polsko-niemieckich okupantów Wołynia". Na drugim, na masowym grobie pomordowanych Polaków, jest lakoniczny napis, po polsku i ukraińsku, nic niemówiący o tym, co się stało. Tylko na taki napis zgodziły się władze ukraińskie. „Dla pamięci spoczywających w tej ziemi od wiosny 1943 roku". Ukraiński wykonawca tablicy w ostatniej chwili usunął datę 23 kwietnia 1943 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fc267a1cd

XIX w. / Francja vs. Austria



Horace Vernet „Napoleon pod Wagram”

FOT. WIKIPEDIA/MUZEUM PAŁACU W WERSALU

Zapowiedź Waterloo



Grzegorz Janiszewski

Pod Wagram doszło do jednej z największych bitew wojen napoleońskich. Mało brakowało, a cesarz Francji zostałby pokonany jak pod Waterloo, lecz już sześć lat wcześniej. Ważną rolę w bitwie odegrali walczący po obu stronach Polacy

Po zawarciu w lipcu 1807 r. pokoju z Rosją i Prusami wydawało się, że Napoleon i jego liczna rodzina panują niepodzielnie w Europie. Jedynie Anglia prowadziła wciąż wojnę z Francją, korzystając ze swojej floty i z korpusu ekspedycyjnego operującego w Hiszpanii i Portugalii. Hiszpańscy guerillas i nieliczni, ale dobrze wyszkoleni Anglicy byli dla Francuzów prawdziwą zmorą. Francuska Wielka Armia pokonała Hiszpanów dzięki szarży polskich szwoleżerów pod Somosierrą w listopadzie 1808 r., ale do uspokojenia sytuacji było daleko. Zarządzona przez Napoleona w 1806 r. blokada kontynentalna dawała się we znaki nie tylko Anglikom. Dusiła również niemieckich przedsiębiorców pozbawionych możliwości handlu.

Sytuację postanowili wykorzystać Austriacy. Upokorzeni przez Napoleona pod Austerlitz w 1805 r., pozbawieni części ziem, korony Cesarstwa Rzymskiego i wpływu na inne niemieckie państwa widzieli teraz dobrą okazję do odegrania się. W dodatku za cudze pieniądze. Anglicy obiecali im bowiem pomoc finansową.

Austria wydawała się potęgą. Jednak jej armia, mimo że liczna, na tle innych mocarstw była w ostatnim czasie najgorzej przygotowana do walki. Austriaccy wyżsi dowódcy, zwykle wywodzący się z arystokracji, byli schematyczni i asekuranccy, ściśle trzymając się pisemnych rozkazów. Regulaminy opierały się na musztrze i zwartych formacjach bojowych, nie zostawiając dowódcom miejsca na inicjatywę. Pochodzący z różnych zakątków wielonarodowego państwa żołnierze, często wcieleni do armii siłą, niezbyt chcieli umierać za panujących Habsburgów. Po przegranych z Francuzami reform armii podjął się brat cesarza

eprasa.pl 2fc267a1cd

Franciszka, arcyksiążę Karol. Wzorem była oczywiście armia napoleońska.

Karol walczył już z Napoleonem we Włoszech i miał nawet pewne sukcesy w starciach z Francuzami. Po klęsce w 1805 r. zdołał narzucić nowe wzorce. Stworzono samodzielne korpusy, artylerię zgrupowano w silnych związkach korpuśnych i brygadowych. Zlikwidowano nawet kapralskie kije. Powołano Landwehrę – narodową milicję złożoną z ludzi, którzy nigdy nie służyli w wojsku. W 1809 r. austriacka armia licząca ok. 400 tys. żołnierzy regularnych i ponad 100 tys. milicji była trzecią co do wielkości w Europie. Austriaccy dowódcy nie potrafili jednak korzystać z samodzielności, a nowinki stosowali tylko w obecności arcyksięcia.

Francuska armia była przygotowana do działań, od kilkunastu lat nieustannie walcząc. Sam Napoleon nie był jednak skory do wszczynania kolejnego konfliktu. Austriacy zmusili go do tego, wkraczając w kwietniu 1809 r. do Bawarii. Jednocześnie rozpoczęto działania na pomocniczych kierunkach – we Włoszech i w Księstwie Warszawskim.

Przebywający w Paryżu Napoleon był zaskoczony szybkością ataku. W Bawarii marszałek Louis Alexandre Berthier przeżywał ciężkie chwile, czekając na jego pomoc. W końcu jednak weteranom Wielkiej Armii udało się pokonać niedoświadczonych Austriaków. Po zdobyciu 23 kwietnia Ratyzbony, gdzie marszałek Jean Lannes sam chwycił drabinę oblężniczą, krzycząc do swoich niekwapiących się do szturmu żołnierzy: „Zanim zostałem marszałkiem, też byłem grenadierem", droga na Wiedeń stała otworem. Napoleon planował wciągnąć Austriaków w obronę stolicy. Ci jednak pozostali na drugim brzegu Dunaju.

Wyspa forteca

Most na rzece został zniszczony przez wysoki poziom wody. Pierwsza przeprawa na zachód od Wiednia nie powiodła się, wybrano więc miejsce z drugiej strony, przez wyspę Lobau.

Dunaj nie przypominał wtedy dzisiejszej spokojnej, uregulowanej rzeki. Nurt wił się między różnej wielkości wyspami, meandrując w zakolach i przesmykach.



Arcyksiążę Karol Ludwik Habsburg FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ HEERESGESCHICHTLICHES MUSEUM WIEDEŃ

Rozmiar Lobau sprawiał, że można było zgromadzić na niej wielką liczbę wojska, budując kilka mostów łączących ją z obydwoma brzegami, zamiast jednego, łatwego do zniszczenia. Wyspa była też gęsto porośnięta drzewami i krzewami, co umożliwiało skryte prowadzenie działań. 18 maja francuscy woltyżerowie przeprawili się łodziami na wyspę, ciągnąc pierwszą linę do budowy mostu pontonowego.

Następnego dnia francuska awangarda budowała już umocnienia na drugim brzegu Dunaju. Główne siły Napoleona pozostawały na Lobau. W dniach 21–22 maja przeciwnicy stoczyli bitwę o wsie Aspern i Essling, po której Napoleon wycofał się na Lobau. Bitwa została przegrana głównie przez kilkukrotnie zrywane mosty pontonowe, co uniemożliwiało transport posiłków i zaopatrzenia dla Francuzów.

Następne tygodnie Wielka Armia spędziła na przygotowaniach do bitwy. Ufortyfikowano wyspę, której teraz broniło 109 armat i moździerzy, na obu brzegach Dunaju zbudowano solidniejsze mosty, chronione przez wbite w dno pale i flotyllę 30 łodzi. Napoleon ściągał też na miejsce armie Włoch i Dalmacji oraz oddziały saskie i wirtemberskie. Po sześciu tygodniach miał do dyspozycji 123 tys. piechoty, 25 tys. kawalerii i 404 działa.

Karol Habsburg, obawiając się zniszczenia swojej armii i być może utraty tronu przez Habsburgów, postanowił poczekać na swojego przeciwnika na miejscu. Robił to w starym austriackim stylu, nie próbując nawet przeszkodzić Napoleonowi w fortyfikowaniu wyspy i przygotowaniach do forsowania Dunaju. Postanowił za to cofnąć swoje wojska od brzegu, aby zapewnić sobie miejsce na manewr (kiedy Napoleon sforsuje rzekę), a także aby zapobiec wybuchowi zarazy, której źródłem były trupy na pobojowisku. Cesarz Franciszek zaaprobował plan, mówiąc: „Dobre to, tylko nie wpuść ich za wiele". Gotowych do walki było 120 tys. piechoty, 15 tys. kawalerii i 388 dział. Sporą część stanowiły oddziały ochotnicze, których wartość bojowa była wątpliwa, oraz Polacy z Galicji po cichu sprzyjający Napoleonowi. Jedyne posiłki, na jakie mógł liczyć, to kilkanaście



Przejście armii Napoleona I przez Dunaj FOT. COMMONS WIKIMEDIA/JACQUES SWEBACH

eprasa.pl 2fc267a1cd

tysięcy żołnierzy arcyksięcia Jana prowadzącego działania opóźniające na Węgrzech, wolno zmierzającego w stronę Wiednia.

Dwie wielkie armie stały naprzeciwko siebie, gotowe do walki, ale wydarzenia rozwijały się niespiesznie. Napoleon 30 czerwca zaczął pozorować przeprawę w rejonie Essling-Aspern. Karol dał się złapać i przesunął swoje wojska w tym kierunku, odsłaniając flankę. Tymczasem w nocy zaczęła się przeprawa francuskich sił przez Dunaj. Austriacy zorientowali się dopiero 4 lipca, kiedy główne siły, w tym 9. Korpus Bernadotte'a i Gwardia, były już na wyspie. Pierwsza część przeprawiła się na łodziach i tratwach. Potem saperzy błyskawicznie postawili mosty po wschodniej stronie. Miejsce wybrali wcześniej Napoleon z Masseną, udając kąpiących się w rzece sierżantów. Jak stwierdził cesarz: „Dunaj został pokonany".

Francuzi zaczęli przeprawę w strugach deszczu i burzy. Było tak ciemno, że – jak wspominał francuski chirurg Dominique Larrey – „orientowaliśmy się w kierunku marszu tylko w świetle błyskawic". W tym czasie na brzegu Dunaju po zachodniej stronie niewielkie siły prowadziły działania pozorujące. 5 lipca od rana Francuzi przy dużej pomocy artylerii z Lobau wypierali austriackie oddziały opóźniające z okolic Aspern, powoli odpychając ich od Dunaju. Około godz. 18 armia Napoleona zakończyła formowanie szyków na drugim brzegu rzeki.

Zarówno Karol, jak i Napoleon uważali, że zajmują dogodne do bitwy pozycje. Arcyksiążę uniknął bitwy na rozległym, płaskim polu Marschfeld, idealnym dla francuskiej kawalerii. Napoleon zaś zajął swoją ulubioną pozycję centralną, dającą mu dużą przewagę nad rozciągniętymi formacjami przeciwnika. Cesarz miał jednak twardy orzech do zgryzienia. Przed Francuzami rozciągał się teraz wyniesiony płaskowyż, za którego krawędzią nie widać było pozycji austriackich korpusów. Napoleon obawiał się, że Karol zarządzi odwrót i wymknie się na Morawy.

Późny atak

Aby zatrzymać Austriaków, mimo późnej pory, bo ok. godz. 19, Bonaparte zarządził atak na czterech kierunkach. W kierunku wioski Wagram, leżącej po drugiej stronie potoku Russbach, na korpusy rozmieszczone na płaskowyżu i w kierunku leżących naprzeciw austriackiego lewego skrzydła wiosek Baumerdsorf i Marksgrafneusiedl. Słabo skoordynowane ataki odniosły pewne sukcesy. Wojska Napoleona wdarły się na płaskowyż i przełamały pierwszą linię Austriaków. Zajęły też most na potoku Russbach przed Wagram. W obu przypadkach nadchodzące posiłki wzięły jednak walczących w białych mundurach Saksończyków Napoleona za Austriaków i zaczęły do nich strzelać. W szyki wkradł się zamęt i Francuzi musieli się wycofać, spychani przez austriacką kawalerię. Napoleon wiedział, że ma przed sobą główne siły wroga, i zaczął szykować Grandee Armee do decydującego starcia.



Henry Georges Chartier „Francuscy szaserzy szarżują na austriackich dragonów" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

To samo zrobił arcyksiążę Karol. Na prawej flance ustawił VI Korpus Klenaua i III Korpus Kolowratha, które miały zaatakować Massenę. I Korpus Bellegarda miał bronić Wagram i znajdującego się tam mostu. Dalej na lewo II Korpus Hohenzollerna stał za sięgającym pasa potokiem Russbach. Na lewej flance znajdował się Rosenberg z IV Korpusem, którego zadaniem było natrzeć na marsz. Davouta. Jak wspominał potem uczestniczący w bitwie Dezydery Chłapowski: „Najpiękniejszy widok, jaki w życiu oglądać mi się zdarzyło, teraz się przed nami rozwinął. Całą armię austryacką, prawe skrzydło od Dunaju, lewe aż po za Wagram, nasze lewe także o Dunaj oparte od Aspern, prawe aż po za Wagram widać było mniej więcej na milę rozległości".

Zawiodły przygotowania. Rosenberg zaczął atak, jak planowano, o godz. 4, ale III i VI korpusy nie zdążyły na czas. Oddziały Rosenberga z rozwiniętymi sztandarami pułkowymi i przy dźwiękach orkiestr ruszyły w kierunku leżących przed lewym skrzydłem wiosek Glinzendorf i Grosshofen. Artyleria Davouta i ataki jego kawalerii powstrzymały je, ale zdezorganizowało to przygotowania do francuskiego ataku na lewe skrzydło Austriaków. W centrum zaczęły się walki o wioskę Aderklaa. Zajął ją I Korpus Belegarde'a, a próbowali odbić Francuzi i Saksończycy Bernadotte'a. Na lewym skrzydle Massena trzema dywizjami piechoty i lekką kawalerią przypuścił atak na Wagram i Aderklaa.

Natarcie zwartymi formacjami zmieniło się w krwawe walki pozycyjne. Austriaccy jegrzy chowali się wśród domów czy rowów melioracyjnych, rażąc Francuzów ogniem. Pozycje kilkukrotnie przechodziły z rąk do rąk. Tutaj szansę dostrzegł Karol, który w obliczu bierności swych dowódców sam poprowadził atak pułku piechoty i kilku batalionów grenadierów. Saksończycy broniący Aderklaa szybko zrejterowali, pociągając za sobą Francuzów i Hesów. Dwa elitarne pułki piechoty, 4. liniowa i 24. lekka, straciły swoje orły. Heski chorąży Bornemann bronił pułkowego sztandaru do śmierci. Austriacy, nie mogąc go wyjąć z zaciśniętych dłoni, odrąbali je pałaszem.

Lewe skrzydło Francuzów zaczęło się chwiać. Napoleon miał w zanadrzu rezerwy – Armię Dalmacji Marmonta

eprasa.pl 2fc267a1cd



January Suchodolski „Biwak polskich ułanów pod Wagram" FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

i Bawarczyków Wredego – ale wolał zachować je na decydujący atak. Massenę wysłał na znajdujący się na skraju austriackiego prawego skrzydła VI Korpus. Dowodzący nim marsz. Klenau, zamiast odciąć Francuzów od Dunaju, zatrzymał się, czekając na rozkazy. Massena musiał przemaszerować przed frontem III korpusu, dostał więc dla osłony kawalerię Bessieresse'a. Szarża na czworoboki austriackiej piechoty była kosztowna, ale dała czas na podciągnięcie składającej się ze 112 dział wielkiej baterii. Teraz waliła ona po ścieśnionych dla obrony przed kawalerią szykach austriackiego centrum, urywając żołnierzom w białych mundurach nogi i głowy.

Wtedy doszło do bratobójczego starcia. Do walki rzucono polski 1. Pułk Lekkokonny Gwardii Cesarskiej, nazywany Szwoleżerami Gwardii. Natarli oni na austriacki 2. Pułk Ułanów Arcyksięcia Karola. Austriacy formowali pułki ułanów, kompletując je głównie Polakami z Galicji, żeby dać zajęcie szlacheckiej młodzieży oraz ugłaskać Polaków i pokazać ich ugodowość wobec naddunajskiej monarchii. Ułani natychmiast rozpoznali się po noszonych na głowach rogatywkach. Jak wspominał Józef Załuski: „Obie strony wyzywały się najobelżywszymi wyrazami w mowie rodowitej" i przystąpiły do walki, w której górą okazali się szwoleżerowie. Nie dosyć, że zapobiegli odcięciu od Dunaju, to jeszcze posługując się szablami, odebrali lance swoim przeciwnikom, czyniąc z nich śmiertelny użytek. Ta najbardziej polska broń po bitwie została im przydzielona na stałe. „Dać im te lance, jeśli tak dobrze umieją się nimi posługiwać" – powiedział Napoleon. Nazwę pułku zmieniono na „szwoleżerów-lansjerów".

Wielki czworobok

Napoleon obserwował pole bitwy z siodła swojego śnieżnobiałego wierzchowca Eufrata na wzgórzu na północ od wioski Raasdorf. Około godz. 10 kazał sformować gen. Macdonaldowi wielki czworobok w centrum. Formacja składała się z dwóch dywizji. Na czele szło osiem batalionów piechoty, po bokach dwie kompanie wzdłuż i trzy w głąb. Formacja była silna, ale bardzo wolna w ruchu i podatna na ogień artylerii. Napoleon jednak wierzył, że jego wielka bateria dostatecznie przetrzebiła austriackie szeregi. Osiem tysięcy ludzi ruszyło ok. południa i szybko znalazło się pomiędzy austriackimi III Korpusem i Gwardią. Taki był cel uderzenia, ale Austriacy zwinęli swoje flanki, żeby go przepuścić, a następnie rozpoczęli ostrzał z dwóch stron. W ciągu godziny w czworoboku zostało 1,5 tys. żołnierzy. Napoleon musiał wysłać na pomoc trzy dywizje z Armii Włoch, Bawarczyków Wredego i Młodą Gwardię. To ustabilizowało sytuację w centrum.

W tym czasie Massena posuwał się wzdłuż Dunaju, zwijając austriackie prawe skrzydło. Na lewym skrzydle Davout osiągnął przełomowy w planie cesarza punkt, wioskę Markgrafneusiedl, i dalej zwijał austriackie II i IV Korpus. Arcyksiążę Karol nie miał już rezerw, które mógłby rzucić do walki. Jedyną szansą na wygraną było przybycie oddziałów arcyksięcia Jana. Około godz. 14 Karol otrzymał informację, że Jan pojawi się na polu bitwy za trzy godziny. Było to o wiele za późno. Karol zarządził generalny odwrót. Bitwa była przegrana, chociaż Austriacy zdołali wycofać się, zachowując szyki, ratując armię od kompletnej katastrofy. Zmęczone oddziały Napoleona nie podjęły pościgu.

Pyrrusowe zwycięstwo?

Straty poniesione w bitwie były ogromne i podobne po obu stronach. Austriacy stracili 23,5 tys. ludzi, 10 tys. było rannych, 7,5 tys. zostało wziętych do niewoli. Utracono 20 dział. Francuzi mieli 27 tys. zabitych, 10 tys. zaginionych i wziętych do niewoli, a stracili 21 dział. Dla porównania: pod Austerlitz czy Pruską Iławą zginęło odpowiednio około 5,5 i 10 tys. żołnierzy.

Karol wycofał się na Morawy, gdzie 10 lipca pod Znojmem rozegrała się ostatnia bitwa kampanii. Wojna zakończyła się pokojem w Schönbrunn podpisanym 14 października 1809 r. Austria uznała poprzednie zdobycze Napoleona. Traciła Tyrol i Salzburg na rzecz Bawarii, z części Dalmacji z Triestem utworzono tzw. Prowincje Illyryjskie, włączone do Francji. Księstwo Warszawskie ocaliło swój byt, a nawet zyskało terytorialnie. Austriacy musieli przekazać mu tzw. Nową Galicję, przyłączoną po trzecim rozbiorze, i Cyrkuł Zamojski. W stanie wojny z Francją pozostała tylko Wielka Brytania.

Bitwa pod Wagram militarnie była kolejnym wspaniałym zwycięstwem Napoleona. O jej wyniku zdecydował geniusz cesarza, który w krytycznej sytuacji potrafił wykorzystać atuty swojej armii. Jego naśladowcy musieli się jeszcze wiele nauczyć, choć okazało się, że nawet słabi dotąd przeciwnicy Napoleona mogą skutecznie z nim walczyć, korzystając z jego wzorów. Wyszkolenie i taktyka, zasoby ludzkie, broń i wyposażenie dorównywały już napoleońskim. Brakowało jeszcze błyskotliwych dowódców w rodzaju francuskich marszałków, ale ci już dojrzewali na polach bitew. Dla Napoleona było to zwiastunem wielu klęsk, które ostatecznie doprowadziły do jego upadku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fc267a1cd

Gladius



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Dzieje rzymskiej wojskowości są pełne zagadek. Jedna z nich dotyczy momentu przyjęcia przez armię krótkiego hiszpańskiego miecza (gladius hispaniensis) – broni, która stała się znakiem firmowym legionisty

Przyjmuje się, że nastąpiło to w czasie drugiej wojny punickiej (schyłek III w. p.n.e.), kiedy „synowie wilczycy" musieli stoczyć śmiertelny bój z celto-iberyjskimi wojownikami Hannibala. W niemal każdym elemencie uzbrojenia zaczepnego i ochronnego dopatrzyć można się militarnych wpływów nacji, z którymi Rzymianie toczyli wojny. Z początku dominowała taktyka przeniesiona rodem z Grecji, a triumfy święciła falanga, w której zasadniczą bronią piechurów były włócznie i okrągłe tarcze, natomiast miecze stanowiły jedynie uzupełnienie arsenału.

Straszliwe klęski ponoszone w IV w. p.n.e. z rąk sąsiadów Rzymu wpłynęły na radykalne organizacyjno-taktyczne zmiany. Odtąd legion zyskał na elastyczności – podzielony na manipuły ustawiał się do boju w trzech liniach. Pierwszą tworzyli hastati, drugą żołnierze zwani principes, trzecią zaś najbardziej doświadczeni triarii. Wraz z reformami na znaczeniu tracić zaczyna włócznia; zastępuje ją ciężki oszczep – pilum. Ta śmiercionośna broń, której pierwowzorów należy dopatrywać się u Etrusków, była narzędziem wysoce wyspecjalizowanym i przerażająco skutecznym. Miotana z kilkudziesięciu metrów w zwarte szeregi nacierających przeciwników pozbawiała ich życia (zdolność penetracji pancerzy była imponująca) lub też czyniła ich tarcze bezużytecznymi (konstrukcja oszczepu powodowała, że jego wyciągnięcie było praktycznie niemożliwe). Wówczas legioniści dobywali mieczy, kończąc dzieło.



Gladius był mieczem idealnym do walki w zwarciu, zarówno zza muru tarcz (zwanych scutum), jak i po przekształceniu się starcia w szereg indywidualnych pojedynków. Szkolenie walki mieczem należało do podstawowych w armii rzymskiej. Broń ta służyła przede wszystkim do kłucia – cios taki był zdecydowanie bardziej zabójczy aniżeli cięcie, które często powodowało tylko rany. Legionistów uczono celować w najbardziej newralgiczne punkty, tak aby doprowadzić sztych ostrza do najważniejszych organów wewnętrznych w ciele człowieka. Dobre wyważenie i stosunkowo niewielka waga gladiusa umożliwiały efektywny fechtunek. Legioniści kilka razy masakrowali np. Macedończyków, docierając, dzięki znacznej elastyczności szyku, do wnętrza falangi najeżonej długimi pikami-sarissami. Krótki gladius nieoceniony był także w walkach z Galami, których długie miecze nie były aż tak przydatne w bliskim zwarciu.

Po reformach Mariusza (schyłek II w. p.n.e.), które uczyniły legion formacją jeszcze bardziej uniwersalną, uzbrojenie piechurów uległo ujednoliceniu – odtąd każdy legionista miał kolczugę, hełm, tarczę, ciężki oszczep i oczywiście miecz. Kluczowa rola tego ostatniego była oczywista. Legioniści nosili miecz zawieszony po prawej stronie (na pasie zwanym balteus), oficerowie po lewej – w obu przypadkach po przeciwnej stronie znajdował się krótki sztylet – pugio. ©℗



„Myszka" z samolotu

Myszki lotnicze są to małe granaty do obrzucania celów żywych nieosłoniętych, z samolotów z niskich wysokości. Duże zastosowanie mogą znaleźć przy walce z kawalerią. Skorupa myszki wykonana ze stali, daje przy wybuchu wielką ilość odłamków; napełniona jest trotylem [...]. Zapalnik myszki lotniczej należy do zapalników działających siłą bezwładności" (za: „Bomby i rakiety lotnicze", op. Michał Bokalski, Wydawnictwo M.S. Wojsk. Departament Lotnictwa, Warszawa 1928).

Jednokilogramowa bomba odłamkowa wzoru niemieckiego z okresu pierwszej wojny światowej, tzw. myszka lotnicza nr 2, miała zapalnik uderzeniowy bezwładnościowy natychmiastowy. Należała do tzw. subamunicji, była elementem „bomby kasetowej", czyli skrzyni (kasety) zawieszanej w wyrzutniku samolotu i zawierającej kilkadziesiąt pocisków tego typu. Bomby tego wzoru zostały zdobyte przez Polaków na podpoznańskiej Ławicy podczas powstania wielkopolskiego w 1918 r. Wykorzystano je m.in. podczas wojny z Rosją Sowiecką w latach 1919–1920. ©℗

eprasa.pl 2fc267a1cd

Kopówka



W Wojsku Polskim po 1918 r. regulaminowym nakryciem głowy były rogatywki oraz furażerki. Dla elitarnego Korpusu Ochrony Pogranicza przewidziano natomiast czapkę okrągłą, tzw. kroju angielskiego, zwaną popularnie „kopówką" albo „szwoleżerką", ponieważ używano ich także w pułkach szwoleżerów. Występowała jedynie w wersji garnizonowej – usztywnionej. Nosili ją szeregowi i oficerowie. Denko nie było idealnie okrągłe, miało formę elipsy i podobnie jak bryty łączące je z otokiem wykonane było z materiału w kolorze ochronnym – we wzorze z 1935 r. była to tkanina czesankowa (kamgarn) w czapkach dla oficerów i sukno w wersji dla szeregowców i podoficerów. Fibrowy, usztywniony czarny daszek okuwano metalową listwą oksydowaną na stare srebro; tak samo oksydowano: orła wz. 19, klamerkę skórzanej podpinki oraz guziki mocujące podpinkę do otoku. Wokół krawędzi denka wszyta była zielona wypustka. Na granatowym otoku haftowane były oznaki stopnia, przy czym czapki oficerskie posiadały dodatkowo srebrny galon w miejscu łączenia otoku z brytami. Denko oraz podniesiony przód czapki usztywniano za pomocą stalowego drutu, natomiast otok tekturką i sztywnikiem. ©℗

Nakajima B5N



Ten trzymiejscowy (pilot, radiooperator, obserwator-bombardier) japoński pokładowy samolot torpedowo-bombowy, opracowany w 1937 r. i ochrzczony przez aliantów kodową nazwą „Kate", zapisał na swoim koncie kilka spektakularnych zwycięstw w zmaganiach na Pacyfiku. W maju 1942 r. w bitwie na Morzu Koralowym posłał na dno lotniskowiec USS „Lexington". Miesiąc później pod Midway odpowiadał za zniszczenie USS „Yorktown", a statystyki uzupełnił jeszcze w tym samym roku, zatapiając w październiku podczas starcia koło wyspy Santa Cruz kolejny lotniskowiec – USS „Hornet". Wersja B5N2, która weszła do produkcji w 1940 r., miała gwiazdowy silnik o mocy 1000 KM i osiągała prędkość 378 km/h na wysokości 3600 m; do wzniesienia się na wysokość 3000 m potrzebowała 7,7 minuty; zasięg wynosił ok. 1900 km. Uzbrojenie stanowiła 800-kilogramowa torpeda lub trzy 250-kilogramowe podwieszane bomby. Znaczącą wadą „Kate" było słabe uzbrojenie defensywne – zaledwie jeden karabin maszynowy kal. 7,7 mm tylnego strzelca. Powstało ponad tysiąc sztuk B5N różnych odmian. Były wykorzystywane bojowo do 1944 r. ©℗

eprasa.pl 2fc267a1cd





Piotr Zychowicz

Polska nie była w stanie skłonić Kijowa do zniesienia zakazu ekshumacji ofiar ludobójstwa. A prezydent Duda podpisał się pod ukraińską narracją

Osiemdziesiąta rocznica ludobójstwa na Wołyniu przyniosła rozczarowanie wszystkim, którym leży na sercu martyrologia naszych rodaków na Ziemiach Wschodnich. Nawet ci, którzy tego dnia nie spodziewali się wiele, przecierali oczy ze zdumienia.

Andrzej Duda razem z Wołodymyrem Zełenskim wzięli udział w uroczystej mszy w katedrze w Łucku. Obaj prezydenci złożyli wieńce, zapalili znicze. Zapowiadało się nie najgorzej. Po zakończeniu uroczystości na profilach twitterowych prezydenta Zełenskiego i Kancelarii Prezydenta RP znalazł się jednak następujący komunikat:

„Razem oddajemy hołd wszystkim niewinnym ofiarom Wołynia! Pamięć nas łączy! Razem jesteśmy silniejsi!".

To, że polski prezydent podpisał się pod takimi słowami, należy uznać za – pisząc delikatnie – wyjątkowo niefortunne. Po pierwsze, jako sprawca zbrodni został wskazany… Wołyń. Jest to absurd. Wołyń nie mógł nikogo zamordować, gdyż jest to nazwa geograficzna. Określenie historycznej krainy, w której w 1943 r. rozpoczęła się masowa rzeź Polaków dokonana przez ukraińskich nacjonalistów.

„Niewinne ofiary" nie zginęły więc z rąk jakiegoś mitycznego „Wołynia", tylko z rąk członków Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), zbrojnego ramienia Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). A także z rąk „siekierników", czyli pospolitego ruszenia chłopskiego, które upowcy zmobilizowali w wołyńskich wsiach sąsiadujących z polskimi miejscowościami.

Rocznica ludobójstwa / To nie była „wojna chłopska"

Wołyń '23 – wielka klapa

eprasa.pl 2fc267a1cd



Prezydenci Andrzej Duda i Wołodymyr Zełenski podczas mszy w katedrze w Łucku oddają hołd ofiarom rzezi na Wołyniu FOT. JAKUB SZYMCZUK/KPRP

Od prezydenta Polski i urzędników jego kancelarii można chyba wymagać, żeby w komunikacie upamiętniającym naszych pomordowanych rodaków mieli odwagę w sposób precyzyjny określić, kim byli ich kaci.

Tyle punkt pierwszy. Teraz punkt drugi. Nie tylko nie napisano, kim byli mordujący, lecz także nie wskazano, jakiej narodowości byli pomordowaniu. Formuła „składamy hołd wszystkim niewinnym ofiarom" na pierwszy rzut oka wydaje się godnym pochwały „ekumenizmem". Jednak dla każdego, kto ma choćby mgliste pojęcie o polsko-ukraińskiej debacie w sprawie ludobójstwa na Wołyniu, brzmi znajomo.

Określenie to wpisuje się bowiem w długoletnią narrację ukraińskich historyków, którzy gloryfikują UPA i starają się wybielić czarne karty dziejów tej organizacji. Na czele z byłym prezesem kijowskiego IPN dr. Wiatrowyczem. Badacze ci przedstawiają tragedię wołyńską jako wielki chaos.

Z jednej strony – pasmo obopólnych mordów na ludności cywilnej dokonywanych przez UPA i Armię Krajową. Z drugiej strony – „wojna chłopska". Czyli sąsiedzkie krwawe jatki, które urządzali sobie nawzajem polscy i ukraińscy włościanie. W przypadku tych ostatnich motywem miały być długoletnie prześladowania, których zaznawali ze strony Lachów – „krwiopijców i kolonizatorów".

Innymi słowy: nie ma mowy o żadnym „ludobójstwie". Obie strony obciąża dokładnie taki sam bagaż win. Oddajmy hołd „wszystkim niewinnym ofiarom" – Polakom i Ukraińcom – i zapomnijmy o tej niewygodnej dla obu stron sprawie.

Na takie stanowisko Polska zgodzić się nie może. Dysponujemy bowiem materiałem źródłowym, który potwierdza, że ludobójstwo na Wołyniu było zaplanowaną z zimną krwią, na najwyższych szczeblach OUN/UPA, operacją eksterminacyjną. Pochłonęła ona kilkadziesiąt tysięcy polskich ofiar na samym Wołyniu (w sumie ok. 100 tys.). Tymczasem polski odwet pochłonął kilka tysięcy ukraińskich ofiar na Wołyniu (w sumie kilkanaście tysięcy). Nie może więc być mowy o żadnej „symetrii win i ofiar".

Oczywiście sformułowanie użyte w komunikacie prezydentów nie było przypadkowe. Zostało ustalone przez polskich i ukraińskich dyplomatów (polityków?), którzy przygotowywali tegoroczne obchody. Jak widać, Ukraińcy w trakcie tych negocjacji wykazali się asertywnością i zdolnością do przeforsowania własnej narracji. A Polacy ustępliwością i brakiem zdolności do obrony swojego stanowiska.

Ekshumacje pomordowanych to – co tu dużo pisać – kwestia elementarnej przyzwoitości

Zresztą niewykluczone, że rację ma prof. Grzegorz Motyka, najwybitniejszy znawca relacji polsko-ukraińskich. Według historyka przedstawiciele strony polskiej, którzy zaakceptowali feralne sformułowanie, najprawdopodobniej nie mieli elementarnej wiedzy na temat ludobójstwa na Wołyniu i nie zdawali sobie sprawy z implikacji tych słów.

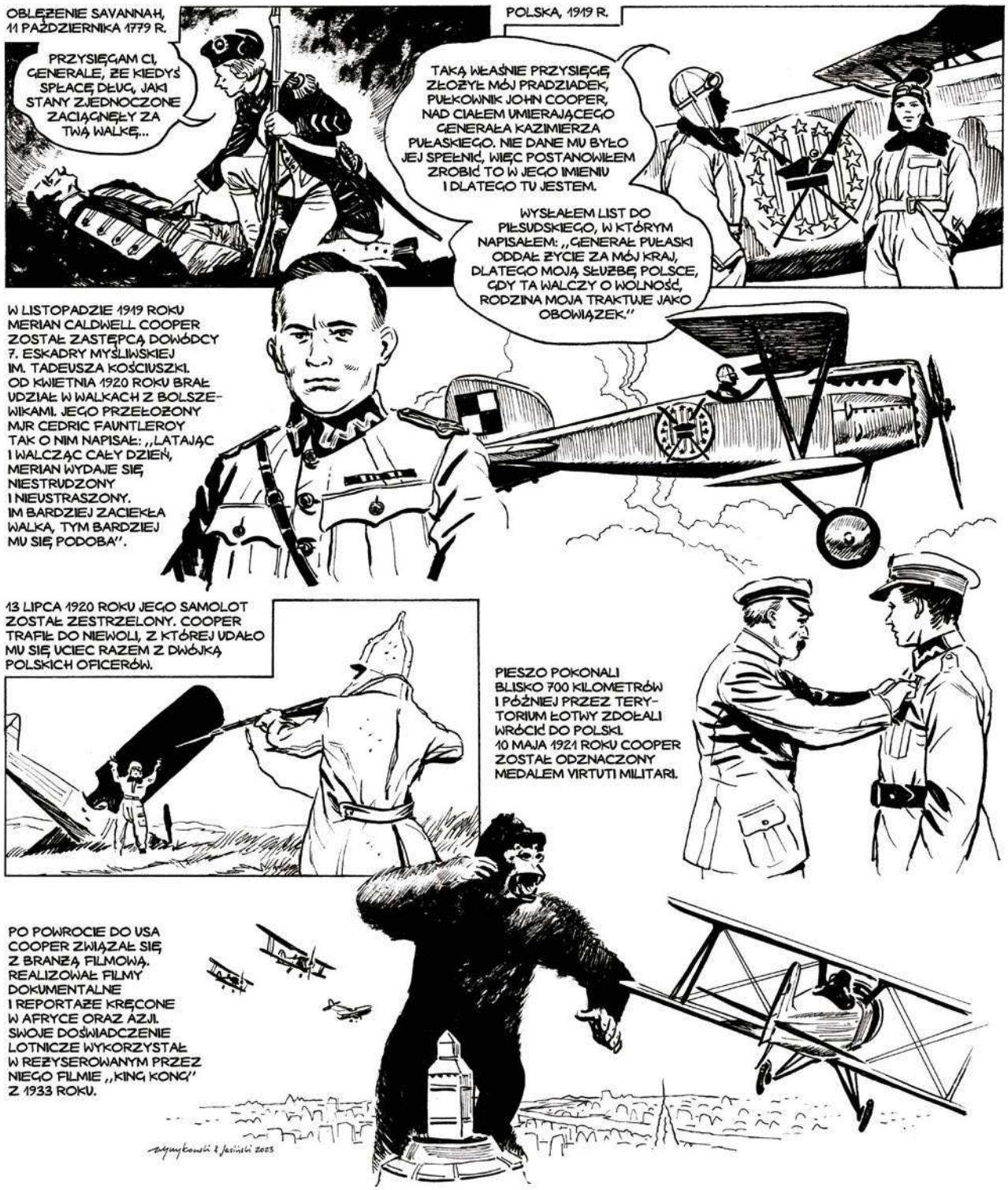
Ten felieton zacząłem od słów o rozczarowaniu, które przyniosły tegoroczne obchody. Największym jego źródłem był brak zniesienia przez stronę ukraińską zakazu ekshumacji polskich ofiar ludobójstwa na Wołyniu. Jest to sprawa konkretna i niezwykle ważna. O tysiąckroć ważniejsza niż jakieś abstrakcyjne „przeprosiny", których domaga się od Ukraińców część komentatorów. Ekshumacje pomordowanych to – co tu dużo pisać – kwestia elementarnej przyzwoitości.

Utrzymanie zakazu źle świadczy o stronie ukraińskiej, a także o stronie polskiej, która wykazuje się zdumiewającym wręcz brakiem skuteczności. Polski rząd przekazuje Ukrainie gigantyczną pomoc wojskową, finansową i polityczną. A w zamian nie jest w stanie wynegocjować tak elementarnej sprawy. Coś jest nie tak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2fc267a1cd

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński



eprasa.pl 2fc267a1cd

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ULRICH VÖLKLEIN: „MENGELE – DOKTOR Z AUSCHWITZ”

Nieprzeciętnie wykształcony człowiek: doktor filozofii i nauk medycznych – a zarazem lekarz obozowy w KL Auschwitz - Birkenau i urodzony sadysta. Skrzypek i domorosły poeta – a przy tym mizantrop i skończony cynik. „Piękny szatan”, „diabeł z Auschwitz” – tak opisywali swojego oprawcę ci, którzy ocaleli z największego nazistowskiego obozu śmierci.

Do dziś nie znaleziono przekonującej odpowiedzi na pytanie, kim naprawdę był Josef Mengele. Jak to możliwe, że ten niepozorny młody człowiek, obiecujący lekarz i antropolog, stał się ludobójcą? Jakich zbrodni naprawdę dopuścił się w obozie Auschwitz - Birkenau? Gdzie i w jaki sposób udawało mu się przez tyle powojennych lat ukrywać przed policją i wymiarem sprawiedliwości? I wreszcie: czy przez resztę życia dręczyły go wyrzuty sumienia? W książce „Mengele - doktor z Auschwitz” znany niemiecki historyk Ulrich Völklein mierzy się z tymi wszystkimi pytaniami.

Po wojnie Mengele dosłownie zapadł się pod ziemię. Początkowo ukrywał się w gospodarstwie rolnym w okolicach Rosenheim w Górnej Bawarii, a następnie - z pomocą nazistowskiej siatki – w Argentynie, Paragwaju i Brazylii. W ukryciu wspierała go rodzina, przyjaciele i dawni towarzysze. Rozgoryczony, przez dziesięciolecia żalił się na swój los.

Dopiero dzięki wnikliwej analizie obszernych akt śledztwa i poszukiwań prowadzonych przez zachodnioniemiecki wymiar sprawiedliwości, zasobów niemieckiego Archiwum Federalnego, ustaleń policji izraelskiej oraz osobistych zapisków Josefa Mengele jesteśmy w stanie dokładnie opisać zarówno sprawcę, jak i jego zbrodnie.



144 zł

oszczędność 42 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2fc267a1cd

Przyszłość. Już dziś

Najbardziej regulowana giełda kryptowalutowa w tym regionie Europy,
która od 2014 roku łączy świat tradycji z cyfrową przyszłością



Dumny sponsor strategiczny
Rakowa Częstochowa

zondacrypto × RKS RAKÓW CZĘSTOCHOWA 1921

zondacrypto
Trade tomorrow, today

zondacrypto.com

eprasa.pl 2fc267a1cd